



Magnolia



WADA

Opowieść o doskonałej miłości

IZA MACIEJEWSKA

Zmień swoje niedoskonałości w doskonałości.

Potrafisz.



Prolog

– Cholera jasna, zasnęłam! – Julia wyskoczyła z łóżka, potykając się o czarnego kota Iryska, który znalazł się tam, gdzie znaleźć się nie powinien. Zwierzak lubił się czuć bardzo potrzebny, a najbardziej wtedy, kiedy był niepotrzebny. Tak jak chociażby teraz, płacząc się pod jej nogami. Łapiąc równowagę, zgromiła go spojrzeniem, o udzieleniu słownej reprimendy nie zapominając. – Są osoby, których rano nie należy wkurzać. Jedną z nich jestem ja. Dlatego bardzo cię proszę, idź ćwiczyć te swoje kocie ruchy pięć metrów stąd, bo inaczej przerobię cię na pasztet! Na pewno byłbyś pysznym pasztetem!

Irysek spozjrzał na nią i z gracją godną królowej Elżbiety opuszczającej tron, ten dworski, nie w toalecie, ruszył przed siebie. Powolne kołysanie czarnego jak smoła zadka świadczyło o tym, że miał gdzieś wszelkie groźby rzucone w jego kierunku, a miało to miejsce przynajmniej trzy razy w tygodniu. Piętnaście minut później Julia Radosna, dwudziestopięcioletnia mieszkanka Łodzi, wielbicielka muzyki, fotografii, wszelkich książkowych romansów i ubrań z drugiej, a nawet i piątej ręki, biegła przez park Staromiejski i trzeba było przyznać, że nawet taka utytułowana lekkoatletka, jaką była Irena Szewińska, miałyby w tym momencie problem, żeby ją dogonić. Bo Julii naprawdę zależało na tym, żeby dostać tę pracę. Nie dość, że znajdowała się ona kwadrans spacerkiem od jej mieszkania usytuowanego w jednej z kamienic przy ulicy Franciszkańskiej, to warunki oferowane przez przyszłego pracodawcę mogły zadowolić i jej zawodowe aspiracje, i koszyk na zakupy, i wieczne głodnego kota też.

Możliwe, że stojąca zawsze w opozycji matka również byłaby zadowolona.

Praca, o którą ubiegała się Julia, była posadą asystentki u jednego z najlepszych w regionie specjalistów w dziedzinie psychoterapii – Marka Wenty. Julka co prawda nie miała pojęcia, jak ów ekspert wygląda, gdyż próżno było szukać jego zdjęć w internecie czy też w magazynach specjalizujących się w tematyce psychologii i pokrewnych dziedzin, niemniej z dobrze poinformowanych źródeł wiedziała, że w kontaktach z pacjentami nie miał sobie równych. Możliwość zbierania doświadczenia pod jego okiem byłaby dla niej nieoceniona.

Wenta, szukając asystentki, nie wystosował żadnego internetowego ogłoszenia w celu rekrutacji. Uznał, że szkoda mu czasu na przesiewanie setek ofert. Skorzystał za to ze starej i sprawdzonej metody poczty pantoflowej, prosząc swoich znajomych, wykładowców Uniwersytetu Łódzkiego, o wskazanie kandydatek, które mógłby wziąć pod uwagę. Zaznaczył przy tym, aby przy owych poleceniach nie kierowano się wielkością piersi, długością nóg i głębokością gardła. Julia nie miała pojęcia, że jej nazwisko zostało wymienione przez pięciu z siedmiu doktorów, a gdyby dowiedziała się, że polecił ją nawet Szeliga, ten dupek od socjologii, z którym prowadziła odwieczne kłótnie dotyczące się norm społecznych, uznałaby, że to jest ten moment, kiedy trzeba kłaść się do trumny.

Gdy stanęła przed jedną z kamienic na Piotrkowskiej, spojrzęła na zegarek. Rozmowa miała się zacząć o dziewiątej. Była ósma pięćdziesiąt sześć. Poprawiła nieco rozwiane podczas biegu włosy i z radosnym uśmiechem, bardzo adekwatnym do swojego nazwiska, weszła do budynku. To znaczy tak właśnie chciała zrobić, ale potknęła się o próg. Nie zauważyła go i z impetem wylądowała na środku ogromnego holu. Przez chwilę patrzyła na świat z pozycji na czworakach. Wstyd szarpał ją za bluzkę, smyrał po policzkach i szeptał do ucha, że jeśli chodzi o kompromitowanie się, jest coraz lepsza.

Julia pomyślała, że najlepszą pocieszycielką byłaby teraz butelka wódki. Ona by nie oceniła. Ona by wsparła i wytłumaczyła, że takie rzeczy zdarzają się każdemu.

– Żyje pani? – usłyszała nad sobą czyjś głos. Uniosła głowę, napotykać litościwe

spojrzenie niebieskich oczu recepcjonistki.

– Boli, więc żyję. – Wysiliła się na dowcip, a potem wzięła kilka głębokich oddechów i zaczęła wstawać. Oparła się o kontuar.

– W czym zatem mogę pomóc? – Blondynka pracująca w recepcji budynku chwilę na nią patrzyła, a potem zajęła oczy sprawdzaniem czegoś w swoim telefonie. Po dźwiękach dochodzących z urządzenia można było wywnioskować, że to Instagram lub Facebook.

– Jestem umówiona na rozmowę o pracę. Gdzie znajdę gabinet psychoterapeutyczny pana Wenty? – zapytała Julia, masując obolałe łokcie. Jak dobrze, że w pomieszczeniu nie było nikogo innego i jej spektakularną kompromitację widziała tylko ta kobieta.

– Pierwsze piętro, drugie drzwi po lewej. Swoją drogą powinna wisieć tam tabliczka informująca o tym, że to jaskinia ponuraka, a nie żaden gabinet psychoterapeutyczny. – Recepcjonistka udzieliła informacji, ale tak naprawdę gołym okiem było widać, że jedyne, co ją interesuje, to telefon. I pewnie dlatego powiedziała coś, czego powiedzieć nie powinna. Ekran smartfona zaaferował ją do tego stopnia, że nawet nie zauważyła swego słownego potknięcia. A może jednak je zauważyła, tylko miała to gdzieś?

– Jaskinia ponuraka? – zapytała Julia, chcąc się upewnić, że to jednak jakieś przejęzyczenie.

– Sama się pani przekona, jak go zobaczy. – Blondynka spojrzała na nią, uśmiechając się sztucznie, a chwilę później zamarła, co dla Julki było czymś absolutnie naturalnym. Posiadanie oczu o dwóch różnych kolorach tęczówek było zjawiskiem niezwykle rzadko spotykanym. Miała zdiagnozowaną heterochromię. Była to wada wrodzona, niepowodująca żadnych negatywnych zdrowotnych następstw, jedynie ciekawskie spojrzenia. Jej lewe oko było niebieskie, prawe zaś brązowe. Najwidoczniej recepcjonistka dopiero teraz to dostrzegła. – Albo zapomniała pani założyć szkło kontaktowe, albo zgubiła je podczas upadku. – Kobieta wskazała palcem na oczy Julii. Swoje natomiast, w pakiecie z ustami, rozszerzyła dość mocno. – Przyznam, że wygląda to ciekawie.

– Nie zapomniałam. Ja tak mam. – Julka spojrzała na zegarek. Nie miała czasu na tłumaczenie, na czym polega jej wada, uśmiechnęła się więc tylko i powiedziała: – To ja może sprawdzę, czy nie ma mnie na górze. – Popędziła w stronę schodów. Gdy dotarła na pierwsze piętro, zegar wskazywał ósmą pięćdziesiąt dziewięć. Otworzyła drzwi. W pomieszczeniu, do którego weszła, siedziały trzy kobiety. Obrzuciły ją ciekawskimi spojrzeniami, a chwilę później wróciły do przeglądania swoich telefonów. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte, więc Julia powiedziała tylko „dzień dobry”, przemierzyła całą długość sali i stanęła przy oknie. Położyła swoją torbę na parapecie, a potem z ciekawością powiodła wzrokiem po wnętrzu. Był to sporych rozmiarów pokój. Drewniana podłoga lśniła czystością, a pomalowane na białą ściany przyozdobione były kolorowymi obrazami. Na jednej z nich wisiało też duże lustro. W pomieszczeniu nie zabrakło także kwiatów. W pewnych odległościach od siebie poustawiano dwa żółte fotele i jeden szary, na których teraz siedziały pozostałe kandydatki na stanowisko asystentki.

Miło tutaj, pomyślała Julia, zerkając ukradkiem na swoje konkurentki. Wyglądały na bardzo pewne siebie. No i te ich stroje... Patrząc na głębokie dekolty, Julia zaczęła się zastanawiać, czy Wenta przypadkiem nie zataił przed nią tego, że to casting do burdelu. Odwróciła się w stronę okna i dyskretnie rozpięła dwa guziki swojej koszuli, a potem zaczęła przyglądać się temu, co działo się na zewnątrz. Piotrkowska tętniła życiem. Koniec czerwca, początek wakacji, piękna pogoda. Ktoś jechał rikszą, ktoś spacerował z dziecięcym wózkiem, ktoś chciał przejść przez ulicę z zakupami, ktoś inny wjechał w niego rozpędzoną hulajnogą. W momencie, w którym doszło do zderzenia starszej kobiety i mężczyzny jadącego elektrycznym

jednośladem i patrzącego w swój telefon zamiast przed siebie, otworzyły się drzwi oddzielające recepcję od kolejnego pomieszczenia.

– Pani Radosna? – Najpierw Julia usłyszała swoje nazwisko, a potem zobaczyła właściciela głosu. Dzielili ich może metr. Może półtora.

– To ja – wymamrotała, patrząc mu prosto w oczy. O cholera, pomyślała skonsternowana, w mig pojmując, dlaczego recepcjonistka z dołu określiła go mianem ponuraka. Miała nadzieję, że jej trwające kilka sekund gapiostwo, nie zostało zauważone. I że szczeka nie wypadła jej z zawiasów. Na wszelki wypadek uniosła dłoń i dotknęła nią brody, żeby upewnić się, że wszystko jest na swoim miejscu. Odwróciła się, by wziąć z parapetu torebkę. Nim weszła do gabinetu, zerknęła jeszcze na ulicę. To, co ujrzała, sprawiło, że jej wyciągnięta ręka zatrzymała się w powietrzu. Gdyby ktoś ją zapytał, ile czasu trwała w bezruchu, nie potrafiłaby udzielić mu odpowiedzi.

Albo nie – powiedziałyby, że stanowczo za długo.

Nie bacząc na nic ani na nikogo, wybiegła z pomieszczenia, zapominając o torbie oraz o tym, że za chwilę miała się odbyć jej rozmowa o pracę. A może pamiętała, ale coś okazało się ważniejsze?

Nawet jeśli Marek Wenta był zdziwiony tym, co przed momentem zobaczył, nie dał tego po sobie poznać. Sprężystym krokiem przemierzył odcinek dzielący go od parapetu, przy którym dopiero co stała najbardziej polecana kandydatka na jego asystentkę. Wyrzwał przez okno, rozpiął guzik od marynarki, oparł dłonie o parapet i patrzył przed siebie. Po pięciu minutach odwrócił się do pozostałych kobiet, które patrzyły to na niego, to na siebie, zastanawiając się, o co tutaj, do jasnej cholery, chodzi, i powiedział:

– Jeśli któraś z pań również ma zamiar zrezygnować, proszę o informację.

Odpowiedziała mu cisza.

– Świetnie. Pani pierwsza, zapraszam. – Wskazał dłonią na kobietę ubraną w obcisłą czarną sukienkę, a potem zniknął w swoim gabinecie.

Rozdział 1

– Co się stało? – Blondynka z recepcji, kiedy tylko zobaczyła Julię, gwałtownie wstała. – Wybiegła pani stąd tak szybko, jakby się czegoś bardzo wystraszyła. Czy on proponował wam zbiorowy seks? – Kobieta patrzyła na nią z taką miną, jakby chciała usłyszeć, że owszem, tam na górze o mały włos nie doszło do grupowej orgii.

– Zaszły pewne nieprzewidziane okoliczności, w których musiałam wziąć aktywny udział. – Julia wzruszyła ramionami. – Cóż, wszystko wskazuje na to, że nie zostaniemy koleżankami. Ja już raczej nie mam czego tutaj szukać. Poza swoją torbę oczywiście. – Dopiero w chwili, kiedy potrącona przez hulajnogę staruszka zapewniła, że nie ma powodów do niepokoju, Julia uzmysłowiła sobie, że właśnie zaprzepaściła szansę na zdobycie pracy. Małym pocieszeniem była otrzymana od poszkodowanej truskawkowa czekolada, którą trzymała w dłoni.

– Powiem pani w sekrecie, że Wenta to zadufany gbur, a każda z jego asystentek odchodzi po maksymalnie miesiącu, więc nie ma się czym przejmować. Lepiej spożytkuje pani ten czas, szukając sobie innej posady. – Recepcjonistka odłożyła telefon, podparła brodę dłonią i przez chwilę świdrowała ją spojrzeniem. – Te pani oczy są takie dziwne.

– Na wszelki wypadek potraktuj to jako komplement.

– Faceci lecą na takie coś? Podoba im się to? Przyznam, że pierwszy raz widzę takie oczy.

– Cóż, sądząc nawet po pani reakcji, wzbudzam dość dużą ciekawość. Natomiast w kwestiach damsko-męskich liczy się coś więcej niż kolor oczu.

– No, no – przytaknęła recepcjonistka, uśmiechając się sarkastycznie, a potem wzięła w dłoń telefon, odblokowała go i chwilę czegoś w nim szukała. Kiedy tylko znalazła, podsunęła Julii zdjęcie półnagiego mężczyzny. – Wiek, waga, wygląd, wzrost, stan konta, roczny dochód i rozmiar penisa. To się liczy najbardziej – powiedziała, śliniąc się do ekranu smartfona.

– Chodziło mi raczej o wnętrze. Liczy się wnętrze człowieka. – Najwidoczniej należało doprecyzować poprzednią wypowiedź.

– Mój były mówił, że najważniejsze jest wnętrze kobiety. Głębokie i wilgotne.

– Przepraszam, ale muszę iść po torebkę. Zostawiłam ją na górze. – Julia uznała, że pora się ewakuować, istniało bowiem prawdopodobieństwo, że za chwilę ta kobieta opowie jej o tym, jak straciła cnotę.

– A ja muszę sobie zmienić na próbę kolor oka. – Blondynka skupiła całą swoją uwagę na ekranie telefonu.

A ja muszę zmienić przepaloną żarówkę, pomyślała Julia, wchodząc po schodach. I jeszcze prakkę powinienam wymienić, i żwirek w kuwecie Iryska. I wiele wskazuje na to, że faceta też.

Kiedy tylko w głowie Julki pojawił się obraz Piotra – wiecznego chłopca o najpiękniejszym uśmiechu na świecie – w jej podbrzuszu rozgościło się dziwne uczucie. Niby szczęście, niby niepewność. Piotrek miewał swoje humorki i zrywał z nią średnio dwa razy w miesiącu, żeby po kilku dniach, jakby nic się nie stało, zapukać do drzwi mieszkania i władować się do środka. Wyżerał z lodówki zapasy, kładł nogi na ławie i oglądał powtórki KSW. Aha, dość istotne było to, że od kiedy ze sobą byli, a wliczając w to wszelkie zerwania, uzbierało się około roku, on nigdy nie został u niej na noc, ponieważ, jak sam twierdził, nie potrafiłby zasnąć w obcym łóżku. Na delikatną sugestię, że przecież może traktować jej łóżko jak swoje, prychnął tylko i mówił, że nie będzie spał w tym samym wyrku co ten zapchlony

sierściuch.

Piotrek i Irysek żyli ze sobą jak pies z kotem, natomiast Piotrek i Julia żyli ze sobą tak, jakby on przychodził do burdelu z cateringiem i salą kinową, a ona go obsługiwała. Za wszystko płacił cudownym uśmiechem i obietnicami szczęśliwej przyszłości. I trudno, że wiele wskazywało na to, że ta przyszłość nie doczeka się spełnienia, bo chociaż po każdym rozstaniu ona przyjmowała go z otwartymi ramionami, to on był przysłowiowym psem ogrodnika. Nie miał wobec tej uroczej szatynki matrymonialnych planów. Nie chciał, aby rodziła mu dzieci, aby poznała jego rodzinę, aby z nim zamieszkała. Traktował ją jak swoją własność, którą nudził się dość szybko, ale gdy tylko pomyślał o tym, że w jej życiu mógłby pojawić się inny mężczyzna, wstępowała w niego jakaś zła siła.

I właśnie dlatego wracał jak bumerang.

Za każdym razem, gdy z nią kończył, zakochany głosik, który mieszkał w głowie Julii, mówił, że przecież on tak naprawdę za kilka dni wróci i w gruncie rzeczy nie ma się czym przejmować. Czasem do głosu dochodził inny... głos, który sugerował jej, aby skończyła tę znajomość, bo przecież i tak nie ma dla nich żadnej przyszłości. Miotła się wtedy Julka strasznie. Ostatecznie potrzeba bliskości drugiego człowieka wygrywała z odważnym zakończeniem tej toksycznej relacji. Bo ona gdzieś w głębi czuła, że ta znajomość jej szkodzi. Że Piotrek ją wykorzystuje.

Cóż z tego, skoro nie potrafiła powiedzieć „dość”. Można nawet rzec, że była od niego uzależniona. A jeszcze trafniejszym określeniem będzie to mówiące, że on uzależnił ją od siebie. Piotrek był bardzo zręcznym manipulatorem, który nie dość, że mieszał jej w głowie, to jeszcze w duchu śmiał się z tego, że marzyła o pracy psychoterapeutki ratującej ludzi w potrzebie. Według niego Julia była klasycznym przykładem kogoś, kto potrafi doradzać wszystkim tylko nie sobie, co odbierał jako ogromny pozytyw. Doskonale bowiem wiedział, że gdyby jednak umiała spojrzeć w głąb siebie, kiedyś naprawdę nie otworzyłaby mu drzwi.

Ewentualnie zrobiłaby to i kazała spać.

Piotr był świetnie zbudowany, miał włosy w kolorze dojrzalej pszenicy, a jego oczy były zielone. Nie wyróżniał się imponującym wzrostem, za to nadrabiał uśmiechem, a urocze dołeczki w policzkach i łobuzersko zmrużone oczy mówiły, że to cudowny facet jest. Był wygadany, uwielbiał żartować i pasjonowały go motocykle. Prawdopodobnie właśnie dlatego Julia po każdym rozstaniu wpuszczała go ponownie i do swojego mieszkania, i do życia.

Mówił wtedy, że nie potrafi jej zostawić, że tęskni. Czemu miałaby mu nie wierzyć?

Julka otworzyła drzwi do holu, z którego wybiegła kilkadziesiąt minut wcześniej, ufając, że nie spotka tam Wenty. I chociaż uważała, że postąpiła słusznie, pomagając tej kobiecie na ulicy, to czuła, że konfrontacja z tym człowiekiem nie przysporzyłaby jej chwały. Mało tego, on naprawdę wyglądał jak ponurak. Chyba dlatego nie mogła nigdzie trafić na jego zdjęcia. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego podczas wykładów, gdy któryś z profesorów przytaczał jego nazwisko, co działo się bardzo często, zawsze kładziony był nacisk na nieocenianie ludzi po wyglądzie. Gdy stanął w drzwiach, wywołując ją, a ona na niego spojrzała, jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Brak uśmiechu, zdziwienia, relaksu, zmęczenia, złości, zniecierpliwienia, oczekiwania.

Nic.

Pomyślała, że chyba jakaś opatrność wysłała tego pozał się Boże kaskadera na hulajnodze, żeby ta rozmowa się w ogóle nie odbyła.

Podeszła do parapetu, na którym leżała jej torba, wyciągnęła po nią dłoń i odwróciła się,

aby wyjść, kupić po drodze swój ulubiony lek na poprawę nastroju – torebkę żelek i pudełko lodów orzechowych – i jak najszybciej schować się pod kocem. Kiedy chciała zrobić krok w stronę drzwi wyjściowych, do jej uszu dobiegła fortepianowa muzyka. Zastygła w bezruchu. Im dłużej słuchała, tym wyraźniejsze stawały się dźwięki.

– *Yesterday* – wyszeptała i odwróciła głowę w stronę, z której dobiegała do niej ta najcudowniejsza na świecie melodia. Jej dziadek Julian, zagorzały wielbiciel Beatlesów i niezwykle utalentowany multiinstrumentalista, grał ten utwór zawsze, kiedy nachodził go melancholijny nastrój i odzywała się w nim tęsknota za babcią Lenką. Dziadek zmarł dwa lata temu, babcia – cztery, a ona wciąż nie potrafiła pogodzić się z ich odejściem.

Julia miała wrażenie, że jakaś niewidzialna siła chwyta ją za dłoń i prowadzi w kierunku drzwi, w których wcześniej widziała Wentę. Nacisnęła na klamkę i je popchnęła. Pomieszczenie, do którego weszła, było nieco mniejsze od tego, które pełniło funkcję recepcji, a urządzone zostało w podobnych, bardzo ciepłych kolorach. Na środku stało ogromne dębowe biurko, na którym panował nieskazitelny porządek. Naprzeciwko okazałego mebla ustawiona została skórzana kanapa, sprawiająca wrażenie takiej, co to niejedno już słyszała. Ściany, podobnie jak te w holu, pomalowane były na biało i podobnie jak tam powieszono na nich kolorowe obrazy. Przy oknie stał czarny fortepian, a mężczyzna, który przy nim siedział i wygrywał tak dobrze jej znaną melodię, patrzył jej prosto w oczy. Zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie plecami i przymknęła na chwilę powieki. Jeśli nawet ta sytuacja była dziwna, a nie ma co ukrywać – była i kwalifikowała się do głębszej psychiatrycznej analizy, to ona udawała, że jest inaczej. Że znowu ma osiem lat, lepi z babcią pierogi i jedzie z dziadkiem na wycieczkę rowerową. Że jak każdego wieczora całą trójką siadają w kuchni, popijają herbatę, słuchają dziadkowego grania i bawią się przy tym doskonale.

Muzyka ucichła, a ona, nie otwierając oczu, zapytała:

– Mógłby pan zagrać coś jeszcze?

– Mógłbym. – Barwa jego głosu była wyrazista, ale też ciepła. Wtedy, kiedy usłyszała go po raz pierwszy, nie zwróciła na to uwagi, była zbyt zajęta studiowaniem jego twarzy. Po kilku sekundach zaczął grać ponownie. Wybrał *My Immortal* Evanescence, co wywołało na ciele Julki dreszcze. Podekscytowana, otworzyła oczy. On cały czas na nią patrzył, nie odrywając przy tym dłoni od klawiszy. Zaiste, był to najdziwniejszy koncert, na jakim kiedykolwiek była.

Gdy Wenta skończył grać, odchrząknął i rzekł:

– Pani Radosna, dobrze pamiętam?

– Tak. – Uciekła wzrokiem, speszona jego spojrzeniem. Patrzyła teraz na swoje dłonie, myśląc też o tym, że jak nic weźmie ją za wariatkę. Nie pozostało zatem nic innego, jak przeprosić i wyjść w poczuciu wstydu. – Chciałam pana przeprosić za to, że nie pojawiłam się na rozmowie. I za to, że wtargnęłam teraz do pana gabinetu, też chciałam przeprosić. Nie mogłam się powstrzymać. – Może nie była to najbardziej stosowna odpowiedź, jakiej powinna udzielić w tym momencie, ale przecież coś, cokolwiek, powiedzieć wypadało. Gdy skończyła mówić, rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Ciekawość była silniejsza niż zażenowanie.

– Nie mogła się pani powstrzymać przed ucieczką czy przed wtargnięciem do mojego gabinetu? – Mężczyzna podszedł do biurka. – A może przed jednym i drugim?

– Coś w tym stylu. Jeszcze raz przepraszam za zmarnowany czas. Pójdę już. – Uznała, że tłumaczenie się nie ma sensu, a poza tym, co chyba było najważniejsze, ten człowiek patrzył na nią w sposób tak przenikliwy, że chciała schować głowę w piasek. W tym przypadku, z braku owej substancji, do swojej torby. Widząc jego spojrzenie, chyba nawet Napoleon zarządziłby odwrót.

– Nie jest już pani zainteresowana pracą? – Zdjął marynarkę i usiadł w fotelu, nie

spuszczając z niej wzroku. Był potężny, szeroki w barach, dużo od niej wyższy. Miał ciemne, gęste włosy, mocno zarysowaną szczękę i delikatny zarost. Błąkała w myślach o uśmiech, który dodałby jej nieco otuchy.

– Jestem, ale przecież zachowałam się bardzo nieprofesjonalnie, kiedy stąd wybiegłam.

– Powiedzmy, że pani zachowanie, owszem, było dziwne. Niemniej jeśli już pani się tutaj pofatygowała i chciałaby ze mną porozmawiać, proszę usiąść. Jeżeli jednak nie jest pani zainteresowana, proszę nie marnować czasu swojego i mojego i zamknąć drzwi po drugiej stronie.

Bardzo zdziwił ją taką bezpośredniością. A co mi tam, uznała, już bardziej się chyba nie skompromituję.

– Chętnie wysłucham tego, co ma pan do powiedzenia. – Usiadła na kanapie, która była tak wygodna, że Julia z trudem powstrzymała się przed tym, żeby nie ściągnąć butów, wyciągnąć z torby czekolady i zrobić sobie małej chwili relaksu.

– Niech mnie pani przekona do tego, żebym panią zatrudnił. Im bardziej niekonwencjonalnej metody pani użyje, tym lepiej. A coś czuję, że potrafi pani zrobić takie wrażenie, że wszystko inne schodzi na dalszy plan. – Wpatrywał się w nią intensywnie.

Był bardzo onieśmielający.

Czyżby to był pierwszy człowiek na świecie, na którym moje dwukolorowe oczy nie robią wrażenia? I o jaką, do cholery, niekonwencjonalność mu w tym momencie chodzi? Mam wczougać się pod biurko, rozpiąć mu rozporek i zrobić loda? Wzrok Julki, całkowicie pozbawiony kontroli, powędrował w okolice jego krocza, tak pięknie wyeksponowanego pod blatem biurka. W ostatniej chwili powstrzymała się przed palnięciem otwartą dłonią we własne czoło.

– Cóż, jestem pracowita, sumienna i punktualna. – I mam zajebistego pecha, dodała w myślach. Jeśli potrzebny jest atak szarańczy, nie ma problemu, załatwię go w kwadrans. Ale stać mnie też na dużo więcej, daj mi tylko trochę czasu. Na pewno tego pożałujesz.

Czym ty chcesz go ująć?, pytał znajomy głos mieszkający w jej głowie. Punktualna to ty nie jesteś. I co niesztampowego jest w twojej pracowitości i sumienności? Masz zamiar być pożyteczna jak taśma klejąca albo papier toaletowy? A poza tym, po co się męczysz, skoro nawet recepcjonistka powiedziała, że po miesiącu wszystkie jego asystentki się zwalniają? Chcesz pobić ten rekord?

– Standardowa nuda, która z miejsca panią dyskwalifikuje. Potrzebuję czegoś, co mnie zaskoczy. Czegoś, co mi pokaże, że mam do czynienia z kimś wyjątkowym. – Najwidoczniej Wenta był tego samego zdania co przemądrzały głos, który rozpanoszył się w jej umyśle.

– I robi pan to, o co go poproszę? – Nagle w jej głowie zaświtała pewna myśl. Może ciut głupia, może bezczelna, a może... Cóż, może to właśnie było to?

– Jeśli mnie pani przekona...

– W sobotę planowałam zrobić mały remont w mieszkaniu. Chciałam pomalować ściany i przestawić meble, niestety nie ma mi kto pomóc, bo mój... – Zawahała się, uznając, że nie będzie mieszkała Piotra w swoje ewentualne życie zawodowe. – Po prostu nie ma mi kto pomóc, a pan wydaje się idealnym kandydatem. Wygląda pan na silnego. – Już chciała sobie gratulować w myślach takiej pomysłowości, kiedy doszła do wniosku, że to, co przed momentem powiedziała, nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

Świadczyła o tym jego obojętna mina.

– Chodzi pani o tanią siłę roboczą? Sprytnie – uznał, po czym oparł łokcie na biurku i stykając ze sobą palce obu dłoni, studiował jej twarz.

– Nie, nie chodzi mi o tanią siłę roboczą. Jestem w stanie zrobić wszystko, o czym

powiedziałam, sama. Tylko zajmie mi to o wiele więcej czasu niż wtedy, gdy ktoś mi pomoże. I właśnie o pomoc mi chodzi. Taką bezinteresowną. Kiedy ostatnio ktoś obcy poprosił pana o coś takiego?

– Nigdy. – I znowu nie dostrzegła w jego twarzy emocji.

– Nigdy? Ale jak to nigdy?

– Po prostu, nigdy.

– To jakim cudem ma pan taką renomę wśród pacjentów? – wypaliła bez zastanowienia, a potem zakryła twarz dłonią. – Przepraszam, nie to chciałam powiedzieć.

– Dokładnie to chciała pani powiedzieć. Moja, nazwijmy to, skuteczność nie ma nic wspólnego z bezinteresownością i wynika między innymi z tego, że za swoje usługi pobieram opłaty. Jak jednak rozumiem, pani propozycja nie wzięła się z powietrza, lecz z doświadczenia. Własnego. – Spojrzał na zegarek. – Ostatnio miało to miejsce jakieś pół godziny temu.

– Widział pan, jak pomogłam tamtej kobiecie na ulicy? – Uniosła podbródek. Piersi natomiast wypięła do przodu, jakby czekała, aż przypnie jej tam jakiś order za szlachetność. Duma ją rozpierała.

– Widziałem i jest to postawa godna naśladowania, aczkolwiek mam pewne zastrzeżenia.

– Ma pan zastrzeżenia do bezpłatnego pomagania drugiemu człowiekowi? To znaczy bezinteresownego? To jakiś żart?

– Nie, to nie jest żart.

– Nie rozumiem. – Rozłożyła dłonie, wpatrując się w niego tak, jakby zamiast źrenic miała umieszczone w gałkach ocznych wielkie znaki zapytania.

– Odniosłem wrażenie, że troszczy się pani bardziej o innych niż o siebie, więc posunę się do stwierdzenia, że byłaby pani w stanie poświęcić własne szczęście w dobrej, pani zdaniem, sprawie, nie zastanawiając się przy okazji nad konsekwencjami. Gdy natomiast znajduje się pani w sytuacji stresującej, miota się pani, próbuje wielu rozwiązań, gorączkuje w stopniu bardziej niż znacznym, podczas gdy, jeśli tylko by się pani na chwilę uspokoiła i spojrzała na to z dystansu, okazałoby się, że najlepsze są najprostsze sposoby. Rozumiem oczywiście, że wynika to z braku doświadczenia.

– I wysnuł pan ten wniosek na podstawie... przepraszam, czego? – Brev Julki przesunęła się wysoko do góry. Gdyby nie naturalna mięśniowa blokada, najpewniej wylądowałaby ona na jej plecach. Albo i niżej, na pięcie. Lewej.

– Kilkuminutowej obserwacji. – Strasznie poirytowało ją to, jak ogromny nacisk położył na słowo „obserwacji”.

– Czuję się głęboko wzruszona. Jak gleba po orce – prychnęła. Już wiedziała, że nie ma mowy, aby u niego pracowała. – Ja jednak podziękuję za propozycję współpracy. Jest pan... jest pan człowiekiem, u którego nie powinnam pracować. Żegnam. – Wstała, odwróciła się do niego plecami i pomaszzerowała w stronę drzwi. Wyświadczyła mu wielką przysługę, że nie obrała przeciwnego kierunku i nie kopnęła go w krocze. Oj, jak świerzbiła ją noga, żeby to zrobić! Ale wiedziała też, że mimo wszystko musiała wykazać się opanowaniem i zamiast głosu unieść co najwyżej brew.

– Brakuje pani pokory – usłyszała za plecami jego spokojny głos. I właśnie to ją rozsierdziło.

Odwróciła się, czując, że jej policzki płoną z wściekłości. Zmrużyła swoje dwukolorowe oczy do rozmiarów niebezpiecznych szparek, wymierzyła w niego palcem i powiedziała:

– Jeśli mnie brakuje pokory, to pan jest przemądrzałym palantem, który przyszedł na ten świat tylko po to, aby marnować powietrze. Rozumiem, że ma pan bardzo wysokie mniemanie o sobie, a poziom pewności siebie sprawia, że budząc się rano, wali pan głową w sufit.

Zastanawiam się tylko, czy wynika to z kompleksów, czy z manii wielkości pełnoobjawowej. Cóż, ja w przeciwieństwie do pana swojej wartości nie mierzę w centymetrach. – Skoro i tak nie miała zamiaru pracować dla tego dupka, mogła sobie pozwolić na takie „uprzejmości”. No i najważniejsze, w swej wypowiedzi zachowała grzecznościową formę „pan”.

– Szczerze mówiąc, nie wróżę pani jakiejś zawrotnej kariery w gabinecie terapeutycznym. Może praca z ludźmi, dajmy na to w sklepie, jako kasjerka, byłaby dla pani dobrym rozwiązaniem? Tam można spotkać się z wieloma różnymi zachowaniami. Z całego serca polecam taką formę treningu, połączoną z obserwacją otoczenia. No i ta pokora, naprawdę warto nad nią popracować, bo u pani widzę ogromne niedobory w tym temacie. Ogromne. Mówię to z życzliwego serca. I uprzedzając pani komentarz, mam je.

– Jest pan chamem.

– Za to pani zachowanie to szczyt elegancji.

Już miała podejść do niego i naprawdę kopnąć go w klejnoty. Powstrzymała się jednak, uznając, że wygląda na takiego, co to mógłby jej oddać. Uniosła głowę bardzo wysoko, rzuciła mu spojrzenie pod tytułem „Bujaj się”, odwróciła się do niego plecami i zamknęła za sobą drzwi. Zrobiła to najciszej, jak tylko mogła. Dopiero kiedy znalazła się po drugiej ich stronie, dotarło do niej to, że naprawdę chciała mu wygarnąć, że on nie ma serca.

Rozzłościło ją to jeszcze bardziej.

Rozdział 2

– Wiesz, Irysku, co mi ten dupek powiedział? Wiesz? – Kot oczywiście doskonale wiedział, co Marek Wenta powiedział jego ludzkiej przyjaciółce, bo od kiedy wróciła do domu, poinformowała go o tym już pięć razy. Liczył, bo umiał. – I wiesz co? Ja też go zdiagnozowałam! I wiesz, co jeszcze zrobię? Wyślę mu tę diagnozę na maila! Tak właśnie zrobię! – Tak jak powiedziała, tak też uczyniła. Sekundę po tym, jak swoim, w tym momencie najbardziej na całym świecie mściwym, palcem nacisnęła ikonkę „Wyślij”, pożałowała tej decyzji. Oj, bardzo pożałowała. Tak bardzo, że zamknęła na moment swoje dwukolorowe oczy, łudząc się, że to sprawi, iż ten mail zaginie w czeluściach internetu. – Przecież ja taka nie jestem. Co też we mnie wstąpiło? – Poczuła się zażenowana jak wtedy, kiedy została przyłapana przez mamę na kradzieży, czego następstwem było wyrzucenie z domu i zamieszkanie z dziadkami. I tak jak wtedy, tak i teraz nie mogła cofnąć czasu.

Kot przeciągnął się leniwie, oblizał lewą łapkę i wskoczył na fotel, moszcząc się wygodnie na kolanach Julii. Swoim czarnym łebkiem zaczął pocierać o jej dłoń, domagając się pieszczot. Zaczęła drapać go za uszkiem, wodziła ręką po grzbiecie i podbrzuszu. Dźwięk nadchodzącego SMS-a sprawił, że zaprzestała głaskania, co nie spodobało się pupilowi.

Piotrek: Będę za pół godziny, zrób mi coś do jedzenia.

– Zaraz przyjdzie Piotrek. Zachowuj się – powiedziała do kota tak, jakby ją rozumiał. Uwielbiała z nim rozmawiać. Uwielbiała tego czarnego grubaska.

Irysek z kolei nie lubił Piotra.

Od pierwszego dnia, kiedy mężczyzna pojawił się w mieszkaniu, darli ze sobą przysłowiowe koty. Gdy pewny siebie ludzki samiec stanął w drzwiach, roztaczając wokół specyficzny zapach, Irysek podszedł bliżej, chcąc otrzeć się o nogę mężczyzny i sprawdzić, czy jego kosmiczne zmysły go nie zawodzą. Nie zawiodły do tego stopnia, że ledwo dotknął łydki, został brutalnie odepchnięty. Spojrzenie, jakim uraczył go wtedy Piotr, pozostało w pamięci Iryska już na zawsze i utwierdziło go w przekonaniu, że musi zrobić wszystko, aby chronić swoją ludzką przyjaciółkę.

Nawet jeśli tym wszystkim było sikanie do butów Piotra.

Julia spojrzała na kota, a potem wskazała głową na ekran laptopa, z którego chwilę wcześniej wysłała wiadomość o wyjątkowo chamskim zabarwieniu.

– Czasem zazdroścę ci tego, że masz wszystko w dupie. – Zaczęła pisać drugiego maila, w którym przeproszała za swoje zachowanie, zrzucając winę na swojego kota, trudne dni, brzydką pogodę, ból zęba, nieciekawą sytuację polityczną i problemy ze znalezieniem pracy. Nim go wysłała, rozdzwonił się telefon. Odebrała.

– Halo – powiedziała zrezygnowanym głosem. Była zrozpaczona, zdruzgotana i zdecydowana pójść do jakiegokolwiek pracy, jeśli tylko taka by się trafiła.

– Dzień dobry. – Od razu rozpoznała głos Wenty, co na chwilę jakby zbiło ją z pantafyku. Miała teraz dwie możliwości: albo szybko się rozłączyć i zablokować jego numer, albo wysłuchać tego, co ten człowiek ma jej do powiedzenia, i chyba, cóż, przeprosić.

Wybrała drugi wariant.

– Zanim pan cokolwiek powie, proszę przeczytać maila, którego teraz do pana wysłałam. O teraz. W tym momencie. Ma go pan?

– Mam. Czytam.

– I? – zapytała, gdy uznała, że zdążył przeczytać jej wiadomość co najmniej trzy razy. A może i pięć.

– Zrozumiałem.

– Nie powinnam pisać takich rzeczy. – Odczuwała ogromną ulgę, że nie znajduje się w tym samym pomieszczeniu co on i purpura, jaka wykwitła na jej twarzy, nie jest dla niego widoczna. Dla niej natomiast poziom upokorzenia w skali jeden na dziesięć ograniczył się zaledwie do mocnej ósemki. Zawsze to lepsze niż dziesiątka.

– Mówiąc „takich rzeczy”, ma pani na myśli to, że mam znamienne niedobory w korze mózgowej, co bardzo negatywnie wpływa na moje postrzeganie świata i matematyczne zdolności?

– Co? Ja przecież niczego takiego nie napisałam. – Błyskawicznie otworzyła folder z wysłanymi wiadomościami i zaczęła czytać tę, którą do niego wystosowała jako pierwszą.

– Napisała pani, cytując: „Bezmózgi jełop, który uważa się za najmądrzejszego na świecie, a tak naprawdę gówno wie i pewnie nawet liczyć nie potrafi”.

– Po co pan tak właściwie do mnie dzwoni? – Słyszając jego słowa, czuła się tak, jakby prowadzono ją na szafot, a droga wiodła przez rozwścieczony tłum żądny jej krwi. Warto oczywiście wspomnieć, że sama sobie wybrała taką trasę. I nie tłumaczyło jej to, że kierowały nią emocje.

– Pomimo tego, co się stało, a może właśnie przez to, uważam panią za bardzo ciekawą osobowość. Dawno nikt mnie tak nie zaintrygował, co spowodowało, że postanowiłem zgodzić się na pani propozycję.

– Na moją propozycję? – Była w takim szoku, że kompletnie zapomniała, o jaką propozycję chodzi.

– Pomocy przy remoncie.

– Ale ja panu ubliżyłam przecież. Dwukrotnie, w gabinecie i w mailu. I mimo to pan bierze w ogóle pod uwagę naszą współpracę? Nie ma lepszej kandydatki? Takiej mniej pyskatej?

– Powiedzmy, że pozostałe kandydatki nie trafiły w mój typ. Powiedzmy też, że dopóki nie dostałem od pani maila naszpikowanego obelgami wszelkiego kalibru, wcale nie brałem pod uwagę pani osoby. Muszę jednak przyznać, że zaintrygowało mnie to, z jaką łatwością operuje pani słowem pisanym. Ma pani talent i bardzo oryginalny styl, a ja po przeczytaniu maila nabrałem do pani, nazwijmy to, świeżego szacunku. – Jego głos był bardzo wyważony, więc trudno było stwierdzić, czy robi sobie z niej żarty, czy jednak mówi poważnie.

– Panie Marku, czy pan sobie ze mnie drwi? – Musiała się go o to zapytać. – Ja pana obraziłam. Mam przeliterować to, co powiedziałam?

– Jestem bardzo poważny. Bardzo. I wiem, jak się pisze „jełop”. To co, jest pani zainteresowana?

Milczała przez dwie minuty, w trakcie których kalkulowała, i to wcale nie na zimno, bo było jej bardzo gorąco z wrażenia. Przeciwno było to, że wyzwała go od najgorszych i zapewne będzie o tym pamiętała, i się tego wstydziła już do śmierci. I może nawet jeszcze trzy dni po. I najpewniej nie wpłynie to pozytywnie na ewentualne ubieganie się o podwyżkę. Natomiast za przemawiało to, że potrzebowała pieniędzy. No i praca u Wenty... Cóż, miała świadomość, że ta robota byłaby spełnieniem jej wcale nie takiego małego marzenia.

– Jeśli po tym wszystkim, co dziś zrobiłam, nie zakwalifikował mnie pan do zawinięcia w kaftan bezpieczeństwa i zaklejenia ust szarą taśmą, to tak, jestem zainteresowana. – Wypowiadając te słowa, uszczypnęła się kilkukrotnie, żeby sprawdzić, czy to wszystko się jej czasem nie śni. Ból, jaki poczuła, utwierdził ją w przekonaniu, że jednak nie. Że to prawda i Wenta rzeczywiście rozważy jej kandydaturę. Kurde, zdążyła jeszcze powiedzieć sobie w myślach, jeśli on mnie przyjmie, to może powinnam pomyśleć o otwieraniu drzwi do jego gabinetu z kopa. Na pewno zrobi to na nim piorunujące wrażenie.

– Proszę wysłać mi SMS-em swój adres. I do zobaczenia w sobotę. Może być o dziesiątej?

– Tak.

Gdy się rozłączył, Julia zastygła w bezruchu i w lekkim bezdechu.

– Co to było, do jasnej ciasnej? – zapytała Iryska i będąc ciągle w niemałym szoku, wysłała swój adres. Potem odłożyła telefon na ławę, położyła się na kanapie i patrzyła w sufit, próbując zrozumieć to, co przed momentem się wydarzyło. Gdzie tam przed momentem... Przez cały dzień. Myślała, dumiała, marszczyła nos i czoło, drapała kota za uchem. Chwilę później usłyszała dźwięk przekręcania klucza w drzwiach. – Piotrek! – wrzasnęła i popędziła do kuchni. Zapomniała zupełnie o tym, że miała mu zrobić coś do jedzenia. Pech chciał, że czarny kot zaplątał się pod jej nogami w momencie, w którym jej ubrana w skarpetkę stopa znalazła się na śliskiej kuchennej płytce. Chcąc złapać równowagę, chwyciła za rączkę od patelni stojącej na kuchence. Nie zrobiła tego dlatego, że poczuła, iż przedmiot ten przybędzie jej z pomocą niczym rycerz na białym koniu i powstrzyma przed katastrofą. Nic z tego. Rączka od patelni była pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy, a jak to się mówi, tonący brzytwy się chwyta. W chwili, w której ją złapała i zrozumiała, że nie ma szans na cofnięcie dłoni, przypomniała sobie, że na patelni znajduje się krwistoczerwony sos do spaghetti, a ona ma na sobie nową, białą i drogą koszulę, którą tak naprawdę miała zamiar oddać zaraz po rozmowie kwalifikacyjnej.

Z tej okazji nawet metki z niej nie zdjęła.

– Jestem głodny – usłyszała głos Piotra, który wszedł do mieszkania. Miał swój komplet kluczy, więc nie musiała otwierać mu drzwi. W tym samym czasie zawartość patelni poszybowała w górę, aby chwilę później wylądować na stojącej w dziwnym rozkroku Julii, jej nowej koszuli, kocie, podłodze i ścianach.

– Kurwa! – Jeśli bluźniła, znaczyło to, że dzieje się coś wyjątkowego. Zarówno pozytywnie, jak i negatywnie. I Piotrek doskonale o tym wiedział.

– Co się... – Zatrzymał się w pół zdania, wytrzeszczając oczy. Julia stała na środku kuchni i wyglądała tak, jakby przed momentem zabiła kogoś patelnią, którą dzierżyła w dłoni, a ciało upchnęła w szafce pod zlewem. Jej włosy, twarz i część ubrania, które na sobie miała, utyłane były czerwonym mięsem.

– O nic nie pytaj. – Posłała mu zbolale spojrzenie, to znaczy ociekające sosem do spaghetti.

– Piłaś! – warknął.

– Jeszcze nie. Ale zaraz to naprawię. – Przeniosła swój wkurzony wzrok na Iryskę, który... zabrał się za zlizywanie sosu z podłogi. Bardzo chciała w tym momencie być zła na swojego kota, ale jakoś nie umiała. Z wielkim trudem panowała nad tym, żeby się nie rozeźmiać.

– Mam nadzieję, że to nie jest mój obiad, bo jeśli tak, to będę zły. Wiesz, że jak jestem głodny, to jestem zły? – zapytał, a w jego głosie dało się słyszeć poirytowanie.

– To twój obiad. Irysek wszedł mi pod nogi i straciłam równowagę. – Kiedy to mówiła, patrzyła na kota. Ten z kolei wyglądał tak, jakby niezmiernie bawiła go cała ta sytuacja, co swoją drogą było wręcz nieprawdopodobne.

– Pieprzony sierściuch! Ile razy ci mówiłem, żebyś go wyjebała? Jeśli ty tego nie potrafisz zrobić, to ja się tym zajmę! – Ruszył w stronę kota, który wyczuwając zagrożenie, najeżył się i zaczął prychać.

– Zaraz zrobię ci coś do jedzenia. Doprowadzę się do porządku i dostaniesz obiad. Przecież tak naprawdę nic wielkiego się nie stało. – No dobra, pomyślała, poza tym, że muszę teraz zostawić sobie koszulę, która kosztowała ponad trzy stówy. No i przecież te czerwone ściany też trzeba będzie pomalować, bo trochę jak w rzeźni się zrobiło. Nie planowałam malować

kuchni. Czyli będzie potrzeba więcej farby i innych rzeczy. A to wszystko kosztuje. Dobra, potem się tym zajmę. – Usiądź. Daj mi pół godzinki...

– Jakie pół godzinki? Nie po to tłukłem się przez całe miasto, żeby teraz czekać na jedzenie pół godzinki! Gdybym wiedział, jak mnie ugościsz, pojechałbym do siebie. I wiesz co, tak zrobię. Aha, jeszcze jedno: póki on tutaj będzie – wskazał na Iryską – mnie nie zobaczysz.

– Przecież wiesz, że nigdy nie pozbędę się tego głupola. Ja go kocham.

– Wolisz tego zapchlonego sierściucha ode mnie? – Rozbryzg śliny Piotr miał, doprawdy, imponujący.

– Piotrusiu, daj już spokój. Uwielbiam was obu. – Wyciągnęła dłoń w kierunku swojego chłopaka, ale ten ją odtrącił. Agresywnie.

– Zabieraj łapy. Więcej mnie tu nie zobaczysz. – Klucze od jej mieszkania rzucił na podłogę. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, jego już nie było.

– Zadowolony jesteś? – Spojrzała na kota. – No pewnie, że zadowolony.

Odpowiedziało jej radosne miauknięcie.

Weszła do łazienki, stanęła przed lustrem i przechyliła lekko głowę w prawą stronę, a potem w lewą. Po kilku sekundach zaczęła się śmiać, sama tak naprawdę nie wiedząc z czego. Ściągnęła ubranie, chwyciła za rączkę od prysznicy i spłukała z siebie pozostałości obiadu, a potem odkręciła kurek, moszcząc się wygodnie w zagłębieniu wanny. Podłożyła sobie pod głowę ręcznik, przymknęła powieki i oddała się głośnym przemyśleniom:

– Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że twój chłopak żeruje na tobie jak lichwiarz, a ty z największą ochotą oddajesz mu wszystko to, co jest dla ciebie cenne. Zawartość lodówki, swoją pochwę, czas i serce. Coraz trudniej ci z nim być, ale boisz się też zostać sama. A wiesz przecież, że dorosłość polega na tym, że podejmuje się też trudne decyzje. Nie tylko kupuje legalnie wódkę.

Sięgnęła po telefon, który zawsze miała pod ręką, zważając na to, że jej mama może zadzwonić o każdej porze dnia i nocy. Gdyby nie odebrała, tamta gotowa była wsiąść w pierwszego lepszego busa i przyjechać do Łodzi. Nie wiązało się to z jakąkolwiek troską, raczej sposobnością do zbesztania córki. Honorata Radosna nosiła w sobie mnóstwo żalu do swojej jedynaczki, która wiele lat temu śmiała wyjąć jej z portfela pięćdziesiąt złotych i zaprosić koleżanki na lody. Zresztą nie tylko to było powodem do tego, aby traktować własną córkę źle. Julka miała mnóstwo kompleksów, w które wpędziła ją jej własna matka. Odtrącona przez rówieśniczki, które wyśmiewały jej dwukolorowe oczy, paranoicznie wręcz łaknęła ich uwagi. Dzieci z jej klasy chodziły po lekcjach na lody, ale jej nikt nie zapraszał. Nie śmiała prosić w domu o pieniądze, z góry zakładając, swoją drogą słusznie, że ich nie dostanie. Gdy któregoś wieczora mama poszła się myć, ona podeszła na paluszkach do jej torby i drżącymi dłońmi wyjęła banknot. Kiedy następnego dnia zobaczyła, że koleżanki zmierzają do sklepu, pobiegła za nimi i nim któraś się odezwała, zaprosiła je na lody.

Z miejsca została zaakceptowana.

Leżąc w wannie z telefonem w dłoni, postanowiła zrobić przeprosinowe zdjęcie dla Piotra. I chociaż w gruncie rzeczy nie czuła się szczególnie winna zaistniałej sytuacji, to coś jej podpowiedziało, żeby tak właśnie postąpiła. Żeby się ukorzyła, żeby zamiotła wszystko pod dywan i żeby już było dobrze. Gdy uznała, że poza, którą przyjęła, ocieka seksem, zrobiła sobie fotkę. Miała smykałkę do fotografii, a w połączeniu z programem do obróbki graficznej spod jej ręki wyszło małe artystyczno-erotyczne dzieło sztuki.

Jej pełne usta były lekko rozchylone, a mokre włosy tworzyły seksowną kompozycję, przyklejając się do czoła, policzka i ramion. Wpatrywała się intensywnie w obiektyw, trzymając jedną dłoń na piersi w taki sposób, żeby sutek był bardzo mocno wyeksponowany. Takie

pociągające widać i nie widać. Uśmiechając się, napisała wiadomość do Piotra.
Julia: Mam nadzieję, że taka forma przeprosin wystarczy. Przyjmujesz?
Odpowiedź przyszła po minucie.



Rozdział 3

Marek Wenta był człowiekiem, którego mało co potrafiło zaskoczyć. Dzwoniąc do Julii Radosnej, nie spodziewał się tego, że ona pół godziny później wyśle mu swoje zdjęcie.

Swoje do połowy nagie zdjęcie.

Nie miał jakichkolwiek wątpliwości co do tego, że wiadomość, którą otrzymał, trafiła do niego przez pomyłkę. Tego akurat był pewien. Odpisał na SMS-a szybciej, niż powinien. Tak naprawdę szybciej, niż pomyślał. Można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że autorem zwrotnej wiadomości było jego przyrodzenie.

Marek: Niezapowiedziane zdjęcia od atrakcyjnych kobiet są zawsze mile widziane.

Wątpił, aby autorka SMS-a odpisała mu w przeciągu kilku najbliższych godzin. Mogło jej to zająć nawet kilka dni, albo i lat. Jeśli w ogóle to zrobi. Trzymał w dłoni telefon, nie mogąc oderwać wzroku od jej dwukolorowych oczu, które fascynowały go do granic możliwości, a w połączeniu z kuszącą pozą, jaką przybrała, pełnymi ustami i sterczącym sutkiem, który prezentowała na fotografii, spowodowały, że przez całe jego ciało przeszedł spazmatyczny dreszcz i koniec końców ulokował się w podbrzuszu. Doszedł do wniosku, że taka wada to zaleta.

Ta fotografia wywarła na nim ogromne wrażenie, jednak zdawał sobie sprawę z tego, że z największą łatwością może pokazać jej, że jest inaczej. Tylko co z Julią? Co, jeśli ona uzna, że zapada się pod ziemię, i nie będzie chciała u niego pracować? Będąc obiektywnym, po tym, co przed momentem zobaczył, było to jedyne słuszne rozwiązanie. Tylko że... Tylko że on nie wyobrażał sobie takiego scenariusza. Już nie.

Napisał do niej kolejną wiadomość.

Marek: Rozumiem, że wysłała Pani do mnie to zdjęcie przypadkowo – jeśli to Panią uspokoi, pragnę poinformować, że takie pomyłki się zdarzają, a ja mogę udawać, że zapomniałem o tym, co zobaczyłem. I tak, zdaję sobie sprawę z tego, jak dziwnie to brzmi, ale w perspektywie całego dzisiejszego dnia, poczynszy od spotkania w moim gabinecie, a skończywszy na mailu od Pani, to tak naprawdę niespecjalnie jestem zaskoczony. Jest Pani bardzo intrygującą osobą. Pokuszę się nawet o stwierdzenie, że nie ma Pani konkurencji. Pozdrawiam serdecznie i, mam szczerą nadzieję, do zobaczenia w sobotę.

Gdyby miał obstawiać, co ona teraz robi, jego zdaniem bardzo prawdopodobne było, że właśnie zapisywała się na operację plastyczną i składała wniosek o zmianę danych osobowych. Oby go odrzucili, pomyślał rozbawiony, bo ta kobieta wraz ze swoim nazwiskiem była tak oryginalna, że aż go skręcało, żeby się przekonać, na co jeszcze ją stać.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, uznał, że ma do czynienia z osobą lekko niepoczytalną, żeby nie powiedzieć nienormalną. Osąd taki spowodowało jej nagłe i bardzo energiczne opuszczenie pomieszczenia. Podszedł wtedy do okna, aby przez nie wyrzeć, czując, że właśnie tam znajdzie odpowiedź na zadawane w myślach pytanie: dlaczego ona tak nagle wybiegła i jaki jest stopień jej upośledzenia, o którym nikt nie raczył go poinformować?

Jak się chwilę później okazało, powodem była chęć niesienia pomocy, całkiem słuszna zresztą, za co musiał ją w duchu pochwalić. Jednak to, w jaki sposób zaczęła jej udzielać, dało mu jasno do zrozumienia, że ma do czynienia z kobietą wrażliwą, w zasadzie przewrażliwioną, dość chaotyczną i nad wyraz empatyczną. Opierając się o parapet w recepcji swojego gabinetu, obserwował przez kilka minut to, w jaki sposób udzielała pomocy starszej kobiecie. Niewątpliwym plusem była bezinteresowność, jaką wykazała się w tym momencie, ale bardzo szybko okazało się też, że jest ona łatwym celem dla pazernych pijawek. Gdy zaczęła podnosić

kobietę, podszedł do niej bezdomny, proszący o zapomogę. Marek znał tego typu. Facet miał tutaj swój rewir i był bardzo namolny, a czasem nawet agresywny w tym swoim żebractwie. Julia złapała się odruchowo za ramię, a potem klepnęła w czoło otwartą dłonią. Pewnie w tym samym momencie przypomniła sobie o torbie spoczywającej na parapecie. Wsadziła dłoń do kieszeni spodni, po chwili przeniosła ją do drugiej i coś z niej wyjęła. Nawet z dość znaczącej odległości można było zobaczyć, że był to banknot.

Ech, pomyślał, patrząc na ten obrazek, już jesteś na jego liście płac.

Kiedy bezdomny odszedł, uśmiechając się, a jakże, radośnie, i wszedł do najbliższego monopolowego, ona ponownie zajęła się pomaganiem staruszce. Chciała to zrobić szybko i jak to się mówi, wszystko naraz. W jednym momencie zbierała z ulicy porozsypywane zakupy, podnosiła kobietę i kogoś też wołała. Z jej ust wydobywały się jakieś słowa. To wszystko wystarczyło mu do tego, aby wyrobić sobie o niej zdanie. Gdy skończył rozmawiać z pozostałymi kandydatkami, z których każda kolejna wydawała mu się nudniejsza od poprzedniej, usiadł przy fortepianie. Nie miał na dziś umówionych żadnych wizyt, a nikt niezapowiedziany go nie odwiedzał. Na nadmiar przyjaciół nie narzekał, a ludzie, którzy pracowali w tym samym budynku co on, raczej od niego stronili, nazywając go ponurakiem od czubków.

Marek zdawał sobie sprawę z tego, że wada genetyczna, która mu doskwiera, powoduje bardzo mylne postrzeganie jego osoby przez społeczeństwo. On z kolei zbudował wokół siebie bardzo wysoki i bardzo trwały mur. I chociaż od dziecka łaknął przyjaźni innych chłopców – bo ile można grać w piłkę, mając za partnera drzwi garażowe? – to nie okazywał swoich słabości. Wytykany palcami, wyśmiewany, odrzucany, zamknął się na wszystkich dookoła. Tylko jego mama zdawała sobie sprawę z tego, ile musiał włożyć pracy w to, aby znaleźć się tam, gdzie był obecnie. Tylko ona wiedziała, jak wiele wysiłku kosztowało go zyskanie miana jednego z najlepszych w mieście specjalistów w swojej dziedzinie.

Gdy Julia Radosna otworzyła drzwi do jego gabinetu, był zdziwiony. A gdy zamknęła je za sobą, oparła się o nie plecami i poprosiła go o to, aby coś dla niej zagrał, szczeka opadła mu na stopy. Metaforycznie, wiadomo. Niemniej widok tej kobiety podziałał na niego bardzo mocno, natomiast kolor jej oczu, o tak, to była wisienka na torcie. O ile jeszcze do tej pory nie spotkał się z kimś, kto „cierpiał” na heterochromię, tak kiedyś czytał o tym fascynującym zjawisku. Na żywo było jeszcze bardziej intrygujące niż w trakcie lektury.

Oczywiście ona nie mogła domyślić się tego, że wywarła na nim tak duże wrażenie. Jego wadliwy kamuflaż był w tym przypadku sprzymierzeńcem.

A potem ta kobieta wyszła z gabinetu, zamykając za sobą cichutko drzwi, chociaż Marek dałby sobie obciąć wszystkie kończyny, że marzyła o tym, aby pieprzyć nimi tak mocno, że wyleciałyby z futryny. Ewentualnie mogłaby też pieprzyć jemu. Mimo że wydawała się odpowiednią kandydatką, to jednak nie zaiskrzyło pomiędzy nimi tak, jak powinno. Tak mu się przynajmniej wydawało, bo kiedy wrócił do domu i odpalił laptopa, aby odczytać zaległe maile, przyszedł też jeden od niej, zatytułowany, a jakże, „Diagnoza Marka »Dupka« Wenty?”. Zaśmiał się w duchu na wspomnienie tekstu i wymyślnych przymiotników, jakimi określiła jego osobę. I właśnie wtedy postanowił do niej zadzwonić i dać szansę – wszystko wskazywało na to, że im obojgu – na nawiązanie współpracy. Teraz z kolei patrzył na jej zdjęcie w swoim telefonie i widok ten działał na niego bardzo pobudzająco.

Sygnal kolejnej wiadomości sprowadził go na ziemię. Przez chwilę wpatrywał się w ekran swojego smartfona i dumał nad tym, co odpisać. W grę wchodziły tylko dwie odpowiedzi: tak lub nie. Napisała do niego Tamara, z którą od czasu do czasu chodził do łóżka, nie roszcząc sobie żadnych praw do jej serca czy też do zapasowych kluczy od mieszkania. Ona

do pewnego czasu również traktowała ich znajomość w podobnej kategorii, ale od mniej więcej dwóch miesięcy stała się jakaś taka bardziej zainteresowana jego osobą. I wcale nie chodziło o coraz to nowsze pozycje seksualne. Do tej pory ich znajomość ograniczała się tylko do seksu, co dla Marka było bardzo wygodne. To nie tak, że z powodu swojej wady uznał, że nigdy nie zwiąże się z żadną kobietą na stałe. Nie, nie, aż tak radykalny w swych poglądach nie był. Nie miał zamiaru składać na ofiarnym stosie swojego kawalerstwa, jednak do chwili obecnej nie spotkał kobiety, która sprawiłaby, że jego serce zabiłoby mocniej. Miał czterdzieści lat i poczucie, że może w następnym wcieleniu się uda. Spotykał się z Tamarą od mniej więcej roku, nie spowodowało to jednak, że zapalał do niej jakimś głębszym uczuciem i przynajmniej chciał spróbować coś z nią zbudować. Nie czuł się z tego powodu źle, ponieważ już na samym początku znajomości oświadczył jej, że ich relacja nie ma przyszłości, dlatego niech ona dobrze przemyśli, czy chce się w nią pakować. Tamara z kolei, uważając siebie za kobietę silną, skupioną przede wszystkim na pracy, uznała, że nie ma mowy, aby zakochała się w Wencie. No bo jak w ogóle można zakochać się w kimś, kto sprawia wrażenie beznamiętnego robota? Jej zdaniem na pierwszy rzut oka więcej emocji niż on miał w sobie zszywacz do papieru. Patrząc na Marka, można było pokusić się o stwierdzenie, że pod grubą skórą kryją się najróżniejsze kable, a zamiast krwi w jego żyłach płynie olej silnikowy. Nie ona jedna zachodziła w głowę, jak to możliwe, że do tego człowieka ustawia się tak długa kolejka pacjentów.

Co zatem spowodowało tak nagłą zmianę zdania? Co sprawiło, że ilekroć myślała o nim, jej serce zaczynało bić szybciej i szybciej, chcąc zapewne pobić jakiś zakochany rekord i trafić do wiadomej księgi?

Marek w łóżku zachowywał się jak rycerz i brutal w jednej osobie, a ona zawsze miała problem z tym, co jej się podoba bardziej – czy to, że trzyma ją mocno za włosy, gryzie sutki i brutalnie ścisną za szyję, czy może to, gdy znęca się nad nią przez długie minuty i odwleka upragniony orgazm, obsypując jej spragnione rozkoszy ciało tysiącem delikatnych pocałunków? Był też stanowczy, pewny siebie i inteligentny.

Fascynował ją.

To dla niego zaczęła dbać o swoją sylwetkę, to dla niego zaczęła zakładać seksowną, żeby nie powiedzieć ordynarną, bieliznę, to dla niego powiększyła sobie usta. To dla niego zerwała seksualne kontakty z innymi mężczyznami. Miała oczywiście w głowie słowa Marka mówiące o tym, że pomiędzy nimi nigdy do niczego poważniejszego nie dojdzie, ale gdy stała przed lustrem, w samej bieliźnie i seksownej pozie, była pewna, że to tylko kwestia czasu, aż ten facet zapala do niej uczuciem.

Od dobrych dwóch miesięcy nad tym pracowała.

Marek, cóż, zdawał sobie sprawę, że w zachowaniu Tamary zaszła zmiana, ale nie robił sobie z tego nic, ściśle trzymając się swoich postanowień. Potrzebował chwili, aby zdecydować, czy ma ochotę na spotkanie z nią. Może minutę po tym, jak jej odpisał, na jego telefon przyszedł kolejny SMS od Julii Radosnej. Treść wiadomości dość mocno go zaskoczyła, jednak gdyby w tym samym pomieszczeniu co on znajdowała się jakaś postronna osoba, absolutnie nie zauważyłaby jego poruszenia.

Jego wyraz twarzy świadczył o tym, że jest mu raczej wszystko jedno, co przed momentem przeczytał.

Rozdział 4

– Co ja najlepszego narobiłam?! – Julia zamknęła oczy, marząc, aby spowiła ją ciemność i aby poczucie wstydu jej nie odnalazło. Uznała, że jak będzie bardzo, bardzo ciemno, to ten wstyd się zgubi i pójdzie do sąsiadów, i na pewno będzie miał tam co robić, bo gdy ci uprawiali seks, to słyszeli ich wszyscy lokatorzy mieszkający w kamienicy. A może i ci z sąsiedniego osiedla też. Tak, wstydzie, pomyślała upokorzona, idź sobie do Nowaków. – Boże, jak ja mogłam pomylić numer telefonu i wysłać obcemu mężczyźnie swoje nagie zdjęcie? No jak? Jak? To przez ciebie! – Rzuciła ręcznikiem w kota, który zwabiony jej spazmatycznymi jękami wszedł do łazienki. – Jesteś najgorszym kotem na całym świecie! Straciłam przez ciebie godność i dobre imię! I chyba zaraz palnę sobie w łeb. Tylko jeszcze nie wiem czym. Może suszarką? Albo nie! Wrzucę ciebie i suszarkę do wanny!

Sierściuch miauknęła, chcąc dać jej do zrozumienia, że on wcale nie poczuwa się do jakiegokolwiek odpowiedzialności, a jeśli ona naprawdę chce kogoś obwiniać, to niech weźmie pod uwagę Piotrkę, a karą dla niego będzie wieczna banicja. Julka spojrzała na swojego pupila i na chwilę zamarła, gdyż odniosła wrażenie, takie półsekundowe, że jej kocur stał przy drzwiach do łazienki i uśmiechał się dość wrednie.

– Muszę się przewietrzyć, bo chyba mam halucynacje. – Nim opuściła mieszkanie, rozlała na korytarzyku pod drzwiami swojej sypialni wodę, a wszystko to dzięki uprzejmości Iryska, który drugi już raz dziś wszedł jej pod nogi. Kręcąc z rezygnacją głową, doszła do wniosku, że to nie jest jej dzień i ona naprawdę musi wyjść, żeby przewietrzyć mózg. Uznała, że podłogę wytrze, jak tylko wróci. Mieloną rzeź, która zdobiła płytki, szafki i ściany w kuchni, również zostawiła na później. Istniała oczywiście szansa, że już nigdy nie wróci, bo najwidoczniej dziś spotkała ją kumulacja wszystkich piątków trzynastego z całego roku i wcale by się nie dziwiła, gdyby na deser spadł jej na głowę sopel lodu i ją zabił.

Przecież w czerwcu mogą występować anomalie pogodowe.

Wychodząc z domu, zabrała ze sobą telefon i worek ze śmieciami. Było tak gorąco, że najchętniej poszłaby do parku i zanurzyła stopy w fontannie. I nawet fakt, że sikały tam psy i inne, także dwunożne, ssaki, szczególnie w trakcie weekendu, nie odstraszył jej przed spełnieniem tej fantazji. Dziś miała to gdzieś. Nim jednak skierowała swoje kroki do pobliskiego parku, podeszła do pojemników na śmieci stojących przed wejściem do kamienicy i wrzuciła worek do jednego z nich, myśląc cały czas o tym nieszczęsnym zdjęciu, które wysłała Wencie. Po przejściu trzystu metrów zrobiło się jej gorąco, i wcale nie dlatego, że tak bardzo zmęczył ją ten dystans albo że temperatura wzrosła.

– Jasna cholera! – wykrzyknęła, zrobiła w tył zwrot i zaczęła biec w stronę kamienicy. Gdy znalazła się na miejscu, przy kontenerach, z wielką niechęcią wgramoliła się do pojemnika, do którego kilka chwil wcześniej wrzuciła swoje odpady.

I klucze od mieszkania przy okazji też.

– Brakuje jeszcze tego, żeby mama złożyła mi dziś wizytę. Dopiero wtedy uznam ten dzień za do szpiku pechowy – mamrotała pod nosem, przerzucając worki z rzeczami, których, gdyby tylko miała wybór, nie dotknęłaby dwumetrowym kijem. Kwadrans później oparła czoło o zardzewiały rant kontenera. Klucze przepadły. Wyparowały. Zniknęły. Najprawdopodobniej wpadły w takie miejsce, do którego Julka bała się zajrzeć. Było jej już naprawdę wszystko jedno. I trochę niedobrze też.

– Co pani tam robi? – usłyszała głos sąsiadki z parteru, Weroniki Malinowskiej.

– Wrzuciłam przez przypadek klucze do pojemnika na śmieci i zostałam bezdomna. – Nie

podnosząc głowy, udzieliła jej wyczerpującej odpowiedzi.

– Nawet pachnie pani jak bezdomna. – Malinowska nachyliła się lekko do przodu, żeby wrzucić swoje odpadki do tego samego pojemnika. Robiąc to, zacisnęła z całej siły dłoń na szaszetce z kluczami. Jej reumatyzm był dość mocnym przeciwwskazaniem do łażenia po śmietnikach. – Nie zaproszę pani do siebie, bo poprałam firanki, wytrzepałam dywany i umyłam podłogę. Za czysto mam w domu na przyjmowanie gości.

– Jasne, posiedzę sobie tutaj, aż zakwitnę. Albo przekwitnę, bo oczywiście nie znam żadnego porządnego włamywacza. A może pani zna? – Tego pytania Malinowska już nie usłyszała, gdyż zniknęła w kamienicy. Obie panie nieszczególnie za sobą przepadały, a wszystko dlatego, że Julka któregoś dnia zapomniała o tym, że mieszka w mieście, nie na wsi, i z rozpędu wylała brudną wodę z wiadra po umyciu podłogi przez swój balkon. Pech chciał, że akurat przechodziła tamtędy Weronika Malinowska. I akurat wracała od fryzjera. Po trwałej ondulacji.

Kiedy w końcu Julia pogodziła się z tym, że dziś będzie spała na klatce schodowej, i chciała wyjść z kontenera, coś obok jej nogi zaczęło się ruszać. Chwilę później poczuła, że to coś wlało na jej stopę. Na jej prawie bosą, obutą jedynie w sandał stopę.

– SZCZUR!!! – W ułamku sekundy znalazła się na zewnątrz kontenera. Aż ją wzdrygnęło. – To się nie dzieje – sapała. – To jest jakiś koszmar. – Pokręciła głową, zwieszając ją smętnie, a potem ruszyła w kierunku kamienicy. Wstukując kod na domofonie, naiwnie wierzyła, że może z tego wszystkiego zapomniała zamknąć mieszkanie na klucz.

Na nieszczęście nie zapomniała.

– Irysku... – Przytuliła głowę do drewnianej powierzchni oddzielającej ją od wnętrza dwupokojowego azylu. – Możesz mi otworzyć? – Nagle ją otrzeźwiło, gdyż te słowa uświadomiły jej, że w mieszkaniu został samotny kot. Naturalnie w tym momencie zapomniała o tym, że już nieraz zostawiała go na cały dzień. Dziś poczucie winy sprawiło, że uznała się za niegodną posiadania zwierzaka. Gdyby miała do tego głowę, złożyłaby sama na siebie donos do odpowiedniej instytucji. – Irysku? Irysku, słyszysz mnie? – Zapukała w drzwi z nadzieją, że jej kot w jakiś magiczny sposób je otworzy. Ogonem może.

Odpowiedziała jej cisza.

Wyciągnęła z kieszeni spodni telefon, który szczęśliwie nie podzielił losu kluczy, i wybrała numer do Piotrka. Trzykrotnie odrzucił jej połączenie, a gdy napisała mu wiadomość, informując go, w jakie wpakowała się tarapaty, odpisał, że nie obchodzi go to, bo oni nie są już parą, a poza tym nie ma go w mieście i niech mu Julia dupy nie zawraca. Osunęła się po ścianie i usiadła na zimnej posadzce. Nie pozostało jej nic innego jak poszukanie jakiegoś ślusarza, bo wątpiła, żeby rabusie ogłaszali się w internecie.

Trzech fachowców miało wyłączone telefony, jeden rzucił jej taką cenę, że od razu się rozłączyła, rozważając nocleg na dworcu. Ostatni, do którego zadzwoniła, odebrał i powiedział podchmielonym głosem, że właśnie zaczął długi weekend i „Sorry, niech se paniusia radzi sama, he, he, he”.

– Długi weekend we wtorek? – Pokręciła głowę z rezygnacją. Nie miała zbyt wielu znajomych, do których mogłaby się zwrócić o pomoc. Tak Bogiem a prawdą nie sądziła, aby ktokolwiek, kto znajduje się w jej dość ubogiej książce kontaktowej, był skory do pomocy. Mimo wszystko postanowiła spróbować. Wybrała numer Adrianny, którą poznała przez Piotra. Gdy dziewczyna odebrała, nawet nie dopuściła jej do głosu, mówiąc, że właśnie opala się nad jeziorem i jest świetnie i w ogóle cud-miód, malina. Paplała tak przez dwie albo trzy minuty, a na koniec rozmowy kazała serdecznie pozdrowić Piotrusia. Ten monolog włączył w głowie Julki skuteczną blokadę na szukanie pomocy u innych znajomych.

Siedziała pod swoimi drzwiami, w jej oczach szkliły się łzy, a świadomość, że po drugiej

stronie znajduje się samotny kot, sprawiła, że jej serce zaczęło pękać. Może gdyby wiedziała, że Irysek właśnie w tym momencie wygrzewa się na nasłonecznionym parapecie i ma cały świat w okolicach nasady ogona, byłaby spokojniejsza.

Może...

Julia mieszkała w Łodzi od sześciu lat. Mieszkanie, od którego zgubiła klucze, kupili jej dziadkowie, gdy dostała się na studia. Uznali, że nie ma sensu, aby codziennie dojeżdżała z położonego blisko siedemdziesiąt kilometrów Łowicza, bo to strata czasu. Lepiej, aby spożytkowała go na naukę. Tak też zrobiła. Dziadkowie postawili jej jeszcze jeden warunek, na który absolutnie nie chciała przystać, ale koniec końców się zgodziła. Z racji tego, że sprzedali sporo ziemi i mogli sobie pozwolić na wcale nie takie małe szastanie pieniędzmi, zakomunikowali jej, że nie musi pracować, bo oni będą ją utrzymywać. Ona ma się uczyć.

Były na tym świecie dwie rzeczy, do których nie potrafiła przekonać babci Lenki, a dziadek Julek... Cóż, on szedł za swoją żoną jak w dym.

Pierwszą z tych spraw było umiarkowanie w jedzeniu. Gdy przyjeżdżała do dziadków na weekendy, miała wrażenie, że cały czas je. Mało tego, miała wrażenie, że w jednym posiłku zawierały się wszystkie pozostałe. No bo czy zjedzenie na śniadanie jajecznicy, chałki z powidłami, sernika, sałatki jarzynowej, śledzi, bigosu i kanapek z wędliną i jajkiem nie było lekką przesadą? O podlaniu tego wszystkiego kompotem z wiśni nie wspominając.

Dla niej, owszem, było. Dla babci wcale.

Drugą rzeczą była próba wyperswadowania dziadkom pomysłu z łożeniem na jej studenckie życie. Wystarczyło, że dostała od nich mieszkanie, natomiast na wszystko to, co potrzebne do przetrwania, chciała zapracować sama. Dziadkowie byli innego zdania.

– Dzisiejszy dzień mnie wykończył. Najpierw Wenta, a teraz... – powiedziała i aż się wyprostowała. – Już chyba bardziej skompromitować się przed nim nie mogę – wyszeptwała, obracając w dłoniach telefon i dumając nad czymś intensywnie. Przed zrobieniem tego, co zrobić musiała, a czego tak naprawdę nie chciała, przeczytała jeszcze raz obie wiadomości, które wysłał do niej Marek Wenta. No jak byk widniało, że pomimo *faux pas*, jakie popełniła, on w dalszym ciągu jest zainteresowany współpracą i nawet obiecał puścić w niepamięć jej roznegliżowane zdjęcie. Nim wysłała SMS-a, poddała go ośmiokrotnej redakcji. I trudno, że jeszcze pięć minut temu była pewna, że mowy nie ma, aby chciała mieć z tym człowiekiem jakikolwiek kontakt.

Plany planami, a życie i tak ma swoje pomysły. I zajebiste poczucie humoru, jak widać.

Julia: Panie Marku, to nie jest mój dzień. To nie jest nawet mój tydzień ani rok, ale nie chcę tego roztrząsać. Chcę, żebyśmy oboje zapomnieli o tej kompromitacji, bo terminy na operację plastyczną są zbyt odległe. Obawiam się jednak, że muszę pana prosić o bezinteresowną pomoc już dziś. Zgubiłam klucze od mieszkania w kontenerze na śmieci. Nim zapyta Pan, czy nie próbowałam ich szukać, skoro wiem, gdzie się znajdują, odpowiem twierdząco i negatywnie – próbowałam i nie znalazłam, a dalsze grzebanie w pojemniku pozbawione było sensu, o uwłaczaniu mojej godności nie wspominając. Napadł mnie też dziki szczur. Jestem wystraszona i śmierdząca. Moja psychika nie daje sobie już rady. I tutaj pojawia się moje pytanie: zna pan ślusarza albo włamywacza? Może jakiś rabuś po nieudanym skoku potrzebował kiedyś pańskiego mentalnego wsparcia? Byłabym niezmiernie wdzięczna za pomoc. Z poważaniem, Julia, w tym momencie wcale nie radosna.

– Teraz to już naprawdę uzna mnie za wariatkę – zawyrokowała po wysłaniu wiadomości.

Jej telefon rozdzwonił się chwilę później. Może po minucie, może dwóch. Gdy zobaczyła na wyświetlaczu numer Wenty, zrobiło się jej najpierw zimno, potem gorąco. Nim odebrała, policzyła do pięciu. Bała się trochę, że jak zacznie liczyć do dziesięciu, on się rozmyśli i przestanie dzwonić, a potem wyłączy telefon i pójdzie gdzieś imprezować. Chociaż nie

wyglądał na takiego, co to by lubił imprezy.

Chyba że stypy.

– Dzień dobr... – zaczął, ale mu przerwała.

– Jak tylko zobaczyłam pana numer, to znaczy niech sobie pan nie myśli, że ja mam go zapisanego... Po prostu bardzo łatwo zapamiętać końcówkę. W każdym razie, jak go tylko zobaczyłam, poczułam się tak, jakbym miała menopauzę. To znaczy, ja nie wiem, jak to jest mieć to ustrojstwo, ale tak mi się jakoś skojarzyło. Nieważne. Może mi pan pomóc? Ja wiem, jak to wszystko brzmi po całym dzisiejszym dniu i po tym, jak się skompromitowałam, ale... nie mam nikogo, kto mógłby mi pomóc. Dodatkowo na mojej klatce schodowej jest popsute światło, a wiele wskazuje na to, że będę musiała tutaj dziś nocować. Musi pan wiedzieć, że nie radzę sobie w ciemności, bo nie jestem nietoperzem. – Wszystko to powiedziała może nie na jednym wdechu, ale bardzo szybko.

– Dzień dobry po raz kolejny – słysząc jego głos, oparła głowę o ścianę i przymknęła powieki. – Tak się składa, że mogę pani pomóc.

– Jejku! Naprawdę!?! – krzyknęła rozentuzjasmowana.

– Naprawdę. Będziemy w przeciągu pół godziny.

– A będzie pan ze ślusarzem czy z włamywaczem?

– Tajemnica zawodowa. Pani adres mam. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia. – Przywołując na usta radosny uśmiech, wysłała mu SMS-em kod do domofonu.

Rozdział 5

– Przecież byliśmy dziś umówieni. – Tamara opadła na fotel i wygięła usta w podkówkę. Marek oczywiście nie mógł tego widzieć. Wielce prawdopodobne jednak było, że gdyby zobaczył teraz smutną minę swojej łóżkowej partnerki, przyjąłby to z obojętnym wzruszeniem ramion.

– Przecież ci powiedziałem, że muszę zmienić plany, ponieważ coś mi wypadło. – Zachował dla siebie informację, że to „coś” ma dwukolorowe oczy i najwyraźniej posiada niezwykle umiejętność pakowania się w kłopoty kilka razy dziennie.

– A nie możemy zobaczyć się później? Chyba nie będziesz zajęty przez cały wieczór? – W jej głosie dało się słyszeć dość potężny wyrzut. Tuż przed tym, jak Marek odwołał spotkanie, skończyła się malować. A teraz co? Na co to całe ubieranie się, makijaż i nastrój?

– Nie wiem sam, ile czasu zajmie mi ta sprawa, więc nie będę składał żadnych deklaracji.

– A czy możemy się umówić tak, że jeśli skończysz względnie wcześniej, to do mnie przyjedziesz?

– Zdzwonimy się jutro.

– Ale...

– Tamara, muszę kończyć. Cześć. – Poczował ulgę, że jednak nie musi się z nią dziś widzieć, chociaż jeszcze kilka chwil temu miał na to ochotę. Złapał za dokumenty i kluczyki od samochodu i po chwili mknął przed siebie.

Cel jego podróży zlokalizowany był przy ulicy Wojska Polskiego. Stał pod kamienicą, której elewacja świadczyła o tym, że jej mieszkańcy sympatyzują z jednym z miejscowych klubów, Widzewem – informowały o tym grafiki zdobiące mury. Zatrąbił. Kilka minut później z budynku wyszedł lekko zgarbiony mężczyzna. Gdy wsiadł do samochodu, wyszczerzył kilka zębów. Pozostałe już dawno mu powypadały.

– Mareczku! Jak żyjesz, dzieciaku? – Przybili piątkę.

– Dobrze.

– Jak zwykle żeś wylewny jak ta lala. – Zenek gruchnął śmiechem, uderzając się przy okazji dłonią w udo. Znał Marka wiele lat i przyzwyczał się do tego, że jego młody przyjaciel zawsze wygląda tak samo. Nie robiło to na nim wrażenia.

– Jak zwykle. – Marek potwierdził i włączył się do ruchu.

Skąd znał Zenka?

Z ulicy. Poznali się dwadzieścia lat temu i gdyby Marek miał kogokolwiek nazwać swoim przyjacielem, byłby nim właśnie blisko sześćdziesięcioletni dziś Zenek z Bałut, jednej z dzielnic Łodzi. Któregoś dnia, a było to jakoś pod koniec roku akademickiego, wracał z uczelni do domu. Idąc jedną z mniej uczęszczanych uliczek, natrafił na przeszkodę w postaci trzech mężczyzn. Szukali zaczepki. Marek wydał im się idealnym kandydatem do obicia ryja i zabicia czasu.

Kolejność dowolna, najważniejszy był efekt końcowy.

– Gdzie? – zapytał pierwszy, zagradzając mu przejście. Od razu było widać, że to główny prowodyr i agresor. Taki herszt bandy.

– Gdzie? – Podłapał drugi, stając obok kumpla.

– Gdzie? – Trzeci dołączył i do chórkę, i do tej ludzkiej barykady.

– Gównno was to obchodzi. – Marek, mimo młodego wieku, bo ledwo skończył dwadzieścia lat, mógł się poszczycić imponującym wzrostem i taką samą muskulaturą. A gdy dołączyć do tego ostre rysy twarzy i beznamiętne spojrzenie, mógł wzbudzać niemałą konsternację.

– Fikasz? – zapytał pierwszy, zbliżając się do niego jeszcze bardziej, tak że ich nosy prawie się o siebie ocierały.

– Fikasz? – Drugi, a jakże, papugował po koledze.

– Fikasz? – Trzeci, uważający się za największego żyjącego indywidualistę, również chciał mieć coś do powiedzenia.

Na pierwszy rzut oka można było przyjąć, że siły nie są wyrównane, bo trzech na jednego to żadna równowaga, ale gdyby tylko podejść nieco bliżej, no tak na trzydzieści centymetrów, to ten jeden, z plecakiem – najwyższy i najmłodszy z nich wszystkich – wcale nie wyglądał tak, jakby się czegokolwiek bał. I właśnie to zaimponowało pierwszemu, Zenkowi. A wiadomym było, że jeśli Zenon dawał na coś swoją aprobatę, nie mając pojęcia, że takie słowo w ogóle istnieje, to Bolek i Waldek zawsze mu przytakiwali. Tak było i tym razem.

– Mocny jesteś, młody. Podobasz mi się. – Zanim któryś z jego kompanów potwierdził te słowa, Zenek wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę papierosów. Caro, czerwone. – Palisz?

– Nie, nie palę. – Marek daleki był od szukania zaczepki. Wręcz przeciwnie, postanowił wykorzystać tę dziwną, aczkolwiek sprzyjającą okazję. Zdjął plecak i wyjął z niego czteropak piwa. Raz na dwa, trzy tygodnie, zazwyczaj w piątek, pozwalał sobie na zakup kilku browarów. Uznał, że potraktuje to jako inwestycję w badanie społeczne.

Od tej chwili synek, jak cała trójca zwykła mówić na Marka, był nie do ruszenia na dzielnicy. Miał immunitet, bo Zenek go polubił. A Zenek mało kogo lubił. To znaczy kiedyś wręcz uwielbiał ludzi, ale od momentu, gdy zwłoki jego syna zostały znalezione w jednym z pustostanów, zamienił się w agresywnego i nieznoszącego sprzeciwu tyrana. Kiedy tego zimowego popołudnia stał wraz ze swoimi kompanami na ulicy i szukał zaczepki, próbując w taki sposób ukoić ból po śmierci potomka, nagle zeszywniał i przetaił oczy.

– Robuś – wyszeptał na widok wysokiego mężczyzny, który zmierzał w ich kierunku. Ale to nie był jego syn Robert. To przecież nie mógł być Robert. Rozwścieczyło to Zenka strasznie i właśnie dlatego stanął Markowi na drodze. Chciał sprowokować go do bitki. Chłopak się postawił. Robuś też się stawiał. Miał swoje zdanie. Był mocny i w gębie, i w pięści. Ten chłopak i jego zmarły syn byli do siebie bardzo podobni. Mimo że Marek kompletnie nie zdawał sobie z tego sprawy, Zenek usynowił go wtedy w myślach.

– Za fatygę. – Nim wyszli z samochodu, Marek wyjął z portfela stułotowy banknot i podał go swojemu pasażerowi.

– Synek – Zenek uwielbiał się tak do niego zwracać – nie obrażaj mnie, bo wiesz, wskutek obrażeń ludzie umierają. Ale synek, wiesz ty co? – Omiótł wzrokiem kamienicę. – Ja znam to miejsce. Bywałem tutaj.

– Nie wątpię.

– Aj, synek, nie na grabarce. U panny bywałem – powiedział to jakimś dziwnym tonem. Wysiedli z samochodu.

Wchodząc na drugie piętro, na którym mieszkała Julia, Marek czuł podekscytowanie. Widok siedzącej pod drzwiami kobiety podzielał na niego bardzo rozczulająco. Ona natomiast, gdy tylko go zobaczyła, skrzyżowała ramiona na piersiach i oblała się pąsem. Starła się też unikać patrzenia mu prosto w oczy. W sumie normalna reakcja, jak na zaistniałą sytuację.

– Uszanowanie, panienko. Rubacha jestem. Zenon Rubacha. Zaraz rozwiążemy problem. – Zenek nachylił się i ucałował jej dłoń... a trzydzieści sekund później otworzył drzwi od jej mieszkania.

– Ile? – Spojrzał na Marka.

– Pół minuty.

– Cholercia, długo, wyszedłem z wprawy. Wzrok już nie ten.

– O cholera. – Julia wytrzeszczyła swoje dwukolorowe oczy, spojrzała na dłonie Zenona, na swoje drzwi i znowu na dłonie Zenona i zapytała: – Nauczy mnie pan tego? Tak na wszelki wypadek.

Zenek parsknął, natomiast reakcją Marka było przełknięcie śliny. Co za bufon, pomyślała Julia, niemniej była mu bardzo wdzięczna za to, że przyprowadził tutaj tego pana Zenka, którzy uprzejmię zgodził się włamać do jej mieszkania.

– Jest pan najmilszym włamywaczem, jakiego znam. To znaczy nie znam żadnego, ale gdybym znała, oni na pewno nie byłiby tacy mili jak pan. Napije się pan herbaty? – Spojrzała na Marka i szybko się poprawiła. – Napijcie się herbaty?

– Chętnie. – Odpowiedź Marka połączona była ze świdrującym wzrokiem.

– Ja będę się zbierał. – Zenon, w związku z wykonywanym przez siebie zajęciem, był świetnym obserwatorem. Oczywiście już co prawda w stanie spoczynku i traktował to swoje włamywanie jako zakurzone hobby, ale mimo wszystko coś mu tam pozostało. Od razu zauważył, że ta panienska wpadła w oko Mareczkowi. Niech sobie gołąbki pogruchają, pomyślał, ucałował ponownie dłoń dziewczyny, ucisnął rękę Marka i ruszył w stronę wyjścia. Gdy znalazł się na parterze, spojrzał tęsknie w kierunku jednego z mieszkań. Podszedł do brązowych drzwi i zaczął się im przyglądać z zaciekawieniem. W tym samym momencie, w którym je studiował, otworzyły się z impetem.

– Czego tu szukasz? – Zenek prawie się przewrócił, a kobieta, która mu otworzyła, patrzyła na niego jak na łotra spod ciemnej gwiazdy. Mogła być w jego wieku. Miała na sobie żółty fartuch typu podomka w zgniłozielone grochy. Spod spodu wystawała granatowa spódnica, natomiast górą jej garderoby była biała bluzka z kołnierzykiem i żabotem. Włosy miała krótkie i kręcone, jak u pudła. Kolor siwy fiolet. Okulary na nosie à la lata osiemdziesiąte. Zenek jakby się jej troszkę wystraszył.

– Szanowna pani wybaczy. – Skłonił się nisko. Lubił flirtować z kobietami, może nie takimi jak ta tutaj, ale grzeczny był zawsze. Tym razem nie przewidywał wyjątku. – Dawnymi czasy w tym mieszkaniu wraz z rodzicami pomieszkiwała moja bliska przyjaciółka. Kiedyś wryłem serduszko z naszymi inicjałami na drzwiach i...

– Na drzwiach? Na moich drzwiach? – Kobieta wytrzeszczyła oczy. – Na tych drzwiach?

– Tak. I jeśli się nie mylę – wyciągnął dłoń i wskazał ledwo widoczne serduszko – jest, o tutaj. Proszę zobaczyć. Jeszcze trochę widać.

Spojrzała na drzwi, a potem na mężczyznę, który przed nią stał.

– To jest jakiś żart? – zapytała, łapiąc się pod boki.

– Jaki tam żart, pani kochana, to prawda. Miała na imię Zofia i bardzo mnie kochała. Tak jak i ja ją. Jak żadną inną kobietę. – W głosie mężczyzny dało się słyszeć smutek. Skłonił głowę i wyszedł, zostawiając Malinowską samą.

Tymczasem dwa piętra wyżej, w mieszkaniu Julii Radosnej trwała niezręczna cisza, przeplatana miauczeniem kota, który gdy tylko zorientował się, że drzwi od jego domu się otwierają, zeskoczył z parapetu na kanapę i zaczął obserwować otoczenie. Po zapachu wyczuł swojego człowieka, chociaż tym razem zapach ten był jakiś dziwny, bo Julka pachniała trochę sobą, a trochę popsutą rybą. Dodatkowo dało się wyczuć coś jeszcze. Tym razem woń była męska i słodka. Przyjemna. A przecież odór Piotra był kwaśny i przypominał Iryskowi zdechłą mysz.

– Ja... Proszę mi na chwilę wybaczyć, ale muszę się najpierw umyć. I przepraszam za ten bałagan w kuchni. Nikogo nie zabiłam. To latający potwór spaghetti. No, tak jakby –

wymamrotała Julia i trzymając ciągle ręce splecione na piersiach, skierowała swoje kroki do łazienki. Kiedy zniknęła w środku, oparła się plecami o drzwi, położyła dłonie na twarzy i pokręciła głową z rezygnacją. Niespecjalnie cieszyła ją obecność Wenty w salonie, ale co miała zrobić? Przypomnieć sobie nagle, że skończyło jej się wszystko do picia, albo nakłamać mu, że ma odciętą wodę? Gdy spojrzała w lustro, jej twarz była czerwona, natomiast uczucie, które szalało w dole brzucha, sprawiło, że zbierało się jej na wymioty. Dodatkowo pachniała tak, jakby przed chwilą wytarzała się w pojemniku na śmieci.

Wróć, tak przecież właśnie zrobiła.

Splukując włosy pod natryskiem, myślała o tym, że musi powiedzieć swojemu nie do końca proszonemu gościowi, że mimo wszystko nie ma takiej możliwości, aby z nim współpracowała. To byłoby niestosowne. Wysuszyła włosy, owinęła się ręcznikiem, bo oczywiście nie pomyślała o tym, aby zaopatrzyć się w świeże ubrania, i wychyliła głowę z łazienki. Wenta siedział na fotelu, plecami do niej.

– Proszę dać mi jeszcze chwilkę – powiedziała, przemykając szybko do swojej sypialni. – Zaraz zrobię panu... – Nie powiedziała co mu robi, ponieważ poślizgnęła się i straciła równowagę.

Oraz przytomność.

Rozdział 6

Kiedy Julka weszła do łazienki, Marek zaczął się rozglądać po mieszkaniu. Najbardziej zaintrygowała go wspomniana przez nią kuchnia, a że wraz z salonem tworzyła jedno pomieszczenie, nie miał większych problemów ze zlokalizowaniem jej. Pierwsze wrażenie było, doprawdy, przerażające i krwistoczerwone.

– Widzę, kocie, że nieźle się tutaj bawicie – zwrócił się do Iryśki, który co rusz ocierał się o jego kostki. Wyszedł z kuchni, skierował swoje kroki do części wypoczynkowej i usiadł w fotelu. Chwilę później na kolana wskoczył mu kot i zaczął wczepiać swoje pazurki w jego spodnie. Kiedy uznał, że już może się wygodnie położyć, cierpliwy Marek zaczął drapać go po łebku. Spotkało się to z aprobatą sierściucha.

Rozglądał się po mieszkaniu. Na półce z książkami królowały nazwiska polskich pisarzy, na stoliku, który zajmował centralne miejsce, leżała pomadka oraz zapachowa świeczka. Pomiędzy zieloną kanapą a tapicerowanym fotelem przedstawiającym łowickie motywy kwiatowe stała pomalowana na biało skrzynka na owoce, w której leżało... Cóż... gdyby Marek powiedział, że w środku znajdowało się wyposażenie sklepu z rzeczami za pięć złotych, byłby zapewne bardzo bliski prawdy. Pod nogami miał dywan w kolorowe kwadraty. Przy oknie stała ogromna paproć. Zasłony zwisające z karnisza były bordowe, firany białe. Na jednej ze ścian wisiała różowa rama od roweru, na drugiej telewizor.

Taki przytulny chaos. Miał wrażenie, że bardzo pasujący do właścicielki.

Głaskał kota i nasłuchiwał odgłosów, które dochodziły z łazienki. Szum wody, szum suszarki. Gdy drzwi za jego plecami się otworzyły, usłyszał kobiecy głos informujący go o tym, żeby dał jej jeszcze chwilkę, a ona zaraz mu zrobi... Nie usłyszał co, chociaż był pewien, że herbatę. Zbyt krótko się znali na robienie innych rzeczy. Usłyszał za to potężny huk i nic więcej. Kot momentalnie zerwał się z jego kolan i popędził tam, skąd dobiegł hałas. Marek wstał z fotela i poszedł za nim.

To, co zobaczył... To, co zobaczył, kwalifikowało się do zabrania do łóżka i namiętnego pieszczenia. Nie minęła doba, od kiedy poznał Julię Radosną, a już dwukrotnie miał okazję oglądać ją nagą. Najpierw co prawda do połowy, na ekranie swojego telefonu i miała wtedy otwarte oczy. Teraz natomiast leżała jak długa na podłodze, a ręcznik, którym była owinięta... Cóż... ręcznik się odwinął.

Całkowicie.

Można było uznać to za bardzo miłe spotkanie w niemiłych okolicznościach.

Długie nogi, kremowa skóra, mnóstwo pieprzyków na ciele i biodra z takim wcięciem, że musiał na chwilę zamknąć oczy, żeby się uspokoić. Były też oczywiście piersi i chociaż widział je już kilka godzin wcześniej, to na żywo... O tak, na żywo prezentowały się fantastycznie. Zaklął w myślach sam na siebie, bo zamiast rzucić się jej z pomocą, co robił?

Gapił się!

Przyklęknął obok leżącej na ziemi kobiety i okrył jej ciało ręcznikiem. Przynajmniej na tyle, na ile mógł. Potrząsnął delikatnie za jej ramiona, a ona zaczęła powoli mrugać. Odzyskiwała przytomność, więc nie musiał robić jej sztucznego oddychania, chociaż gdy patrzył na te pełne wargi, zupełnie nieświadome tego, co się wokół nich dzieje, miał ochotę ich posmakować. Wszystko trwało może minutę. Po kolejnej Julka zamrugowała i półprzytomnym wzrokiem spojrzała na mężczyznę klęczącego obok niej.

– Jak długo byłam nieprzytomna? – zapytała, próbując ogarnąć rzeczywistość.

– Pół roku. – Powaga słyszalna w jego głosie sprawiła, że podniosła się z wrażenia.

Ręcznik, którym była przykryta, zsunął się z jej piersi, a do niej dotarło to, że wychodząc z łazienki, była nim owinięta.

– O Boże! – krzyknęła i podciągnęła go na siebie. Jej reakcja nie tyczyła się tego, co on powiedział, lecz tego, że ponownie zobaczył jej piersi. To, że mógł zobaczyć coś więcej, gdy ona leżała jak długa na podłodze, wyparła ze świadomości.

– Żartowałem. Może dwie minuty. Może ciut mniej.

– Pan... pan znowu widział mnie nago. – Spłonęła taką czerwienią, że gdyby szukali twarzy do reklamy gaśnic przeciwpożarowych, byłaby idealna.

– Nie będę z tego tytułu składał reklamacji. – Przeniósł wzrok na jej zawstydzoną twarz. Te jej oczy, ona cała... Była taka słodka, tak uroczo zawstydzona. – Jeśli jest taka potrzeba, możemy przeanalizować ten temat od samego początku.

– Nie chcę z panem o tym rozmawiać.

– A jak przejdziemy na ty?

– Mam do pana mówić „ty”? – Zacisnęła z całej siły dłoń na ręczniku, jakby to miało uchronić ją przed jego wzrokiem.

– Byle nie „ty debilu”. Wystarczy „Marku”. – Wyciągnął dłoń w jej kierunku. Krygowanie się w tej sytuacji było zbędne. Odwzajemniła uścisk, bełkocząc coś pod nosem. Marek, nim wstał, zapytał: – Możesz wstać sama?

– Mogę.

– Boli cię coś?

– Tyłek i duma. Zanim wyszłam z domu, chciałam podlać kwiaty, ale mój kot, który co chwilę włazi mi pod nogi, a dziś to już naprawdę przesadził, uznał chyba, że musi mnie wyprowadzić z równowagi. I tej fizycznej, i psychicznej.

– Chyba nie jest aż tak źle?

– Jest. Widział mnie... widziałeś mnie nago. I to na pewno nie zmieni świata na lepsze.

– Mój zmieniło – powiedział i opuścił korytarz, dając jej czas na dojście do siebie. Sytuacja była tak nieprawdopodobna, że Marek nie mógł uwierzyć w to, że wszystko, co go dziś spotkało, wydarzyło się naprawdę. Ponownie usiadł na fotelu i ponownie na jego kolana wskoczył kot. Ona za chwilę tutaj przyjdzie i mi powie, że nie może u mnie pracować, pomyślał, a myśli te wprawiły go w smętny nastrój.

W swoim czterdziestoletnim życiu miał do czynienia z wieloma kobietami. Jednak żadna z nich nie potrafiła zrozumieć jego specyficznego zachowania, a on, cóż, nie czuł z żadną więzi tak silnej, aby którejkolwiek powiedzieć, dlaczego jest taki.

Właśnie taki.

Ileż to razy słyszał, że jest dziwny, inny, nienormalny. Ileż razy jego zachowanie odbierane było jako gburowate. Ileż razy mówiono mu, że się wywyższa i zadziera nosa. A jeszcze wcześniej, gdy był dzieckiem, a potem nastolatkiem, wmawiano i jemu, i jego mamie, że jest niepełnosprawny i wykracza poza przyjęte normy społeczne.

Czy naprawdę taki był? Czy naprawdę był inny?

Pod względem fizycznym, owszem, mógł być tak postrzegany. Jeśli natomiast chodzi o aspekt intelektualny... tutaj też wykazywał się „innością”. Markowi wystarczyło czasem tylko spojrzeć na człowieka, aby sporządzić jego portret psychologiczny. W jaki sposób to robił? Czuł. Dosłownie. Każdy, z kimkolwiek się stykał, emanował energią, a Marek czuł ją całym sobą. Kiedy miał do czynienia z kimś obłudnym, jego ciało spinało się w nieprzyjemny, wręcz bolesny sposób. Kiedy ktoś chciał go oszukać, bolało go czoło, a gdy spotykał na swojej drodze osobę, która naprawdę potrzebowała pomocy, wzdłuż kręgosłupa przebiegał mu prąd. Było tego dużo więcej i tak naprawdę każdą emocję drugiego człowieka mógł włożyć do odpowiedniej szufladki

i ją nazwać. Minęło jednak wiele czasu, nim nauczył się tych swoich zdolności, nim je okiełznał i zaakceptował, nim pojął to, jak przyporządkować odczuwanie do konkretnych zachowań, i nim odnalazł odpowiednie narzędzia, które pomagały mu w odkrywaniu prawdy. Powiedzenie „trening czyni mistrza” w jego przypadku okazało się bardzo symboliczne, wymowne i prawdziwe.

– Myślę, że musimy porozmawiać – usłyszał za plecami cichy głos, a potem zobaczył Julię. Ubrana była w krótkie spodenki i szarą, zdecydowanie za dużą bluzę. Męską.

– Rozmawiamy zatem. – Posłał jej przenikliwe spojrzenie, nie przestając przy tym głaskać kota. Usiadła na kanapie, w dość sporej odległości od niego.

– Irysek cię polubił, a on raczej nie przepada za mężczyznami. – Słyszac te słowa, jej kot podniósł łebek do góry, sprawiając przy tym wrażenie niezwykle inteligentnego zwierzaka. W rzeczy samej właśnie takie miał o sobie zdanie. I tak naprawdę, gdyby Julia rozumiała jego mowę, mógłby jej powiedzieć, że każdy mężczyzna, który kiedykolwiek był obecny w jej mieszkaniu, chciał ją wykorzystać. Człowiek, u którego ułożył się na kolanach, wydalał intensywny zapach świadczący o tym, że chciałby ją bardzo mocno przytulać. Ale było w nim coś jeszcze. Coś, co bardzo się Iryskowi spodobało, dlatego właśnie udzielił mu swojej miauczącej aprobaty.

– Ludzie mnie raczej nie lubią, dlatego wdzięczny jestem za każdą oznakę sympatii. – Marek podrapał kocura po łebku, co spowodowało, że zwierzak zwinął się na jego kolanach w kłębek, cichutko przy tym mrużąc.

– Ja nie mogę u pana pracować. To znaczy u ciebie. Nie po tym wszystkim, co się dzisiaj stało. I chociaż jestem bardzo wdzięczna za pomoc, to jest mi też wstyd i już myślę nad zmianą nazwiska – wypowiedziała te słowa tak szybko, że ledwo sama siebie zrozumiała.

– Masz cudowne nazwisko, a ja widziałem w swoim życiu tyle piersi, że kolejne nie robią mi różnicy. – Przecież nie powie jej, że akurat te konkretne piersi zrobiły na nim ogromne wrażenie.

– Zaraz – nagle ją olśniło – ty jesteś gejem?

– Nie.

– Nie? To co jest nie tak z moimi piersiami, że nie zrobiły na tobie wrażenia?

– Z twoimi piersiami jest wszystko okej i wywarły na mnie bardzo pozytywne wrażenie. – Jego wzrok na chwilę zatrzymał się na wysokości jej piersi. I nawet teraz, gdy były przykryte bluzą, on potrafił uruchomić swoją wyobraźnię i je zobaczyć. Spojrzał jej w oczy. – To ze mną nie wszystko jest tak, jak powinno.

– Jeśli nie gej to, przepraszam, kto? Impotent? Nie staje ci? – Tym razem to ona przeniosła wzrok na jego krocze. Może trzy sekundy później oblała się czerwienią i zakryła twarz rękami. – Przepraszam – wymamrotała. – Moją największą wadą jest to, że najpierw coś powiem albo zrobię, a dopiero potem, najczęściej za późno, przychodzi olśnienie, że lepiej byłoby, gdybym się zamknęła. Najlepiej w jakiejś piwnicy, jak to zwykła mawiać moja mama.

– Ja zawsze staję na wysokości zadania. Zawsze. – Może tylko ktoś, kto miał problemy ze słuchem, nie zdawałby sobie sprawy z tego, że zdanie to było seksualną prowokacją.

– Hmm, dobrze wiedzieć... to znaczy... to znaczy...

– Masz piękne oczy. Najpiękniejsze, jakie widziałem. – Poczł, że musi jej to teraz powiedzieć.

– Dziękuję. – Julia nieraz słyszała komplementy i zachwyty dotyczące się jej dwukolorowych oczu. Nigdy jednak nie odebrała ich tak, jak w tym momencie. Z miłym mrowieniem w całym ciele. – To taka moja genetyczna wada. Lubię ją. Kiedyś nie lubiłam.

– Twoja wada jest cudowna. – Na chwilę zatrzymał swoją dłoń, którą dopiero co drapał

kota, i zacisnął ją w pięść. Mało kiedy się denerwował. Mało kiedy nie wiedział, czy to, co chciał powiedzieć, było właściwe. Mało kiedy miał dylemat. – Ja też... – odchrząknął – chciałem powiedzieć, że twoje oczy są tak intrygujące jak ty. I moja propozycja pracy jest nadal aktualna.

– Ale...

– Poczekaj. – Powstrzymał ją ruchem ręki. – Zdawałoby się, że od momentu, kiedy przekroczyłaś próg mojego gabinetu, a nawet i wcześniej, w recepcji, wszystko szło nie tak, jak powinno. Chyba się ze mną zgodzisz?

– No raczej. – Przygryzła lekko wargę. Postanowiła mu nie mówić, że tak naprawdę w jej przypadku standardem jest mieć takiego pecha. No może to, co skumulowało się dziś, można było rozłożyć na cały tydzień.

– A jeśli ci powiem, że tak właśnie miało być? Że wszechświat miał na ciebie i na mnie taki plan?

– To ja odpowiem, że ten, kto tam na górze kieruje moim losem, musiał dziś cierpieć na potworny ból głowy i popił tabletki przeciwbólowe wódką. Przedawkował, trudno mi tylko stwierdzić, czy prochy, czy alkohol, a potem poszedł się rządzić moim życiem.

– Powiedziałem ci dziś rano, żebyś mnie zaskoczyła swoją pomysłowością, i uwierz mi, zrobiłaś to. Nieplanowanie, ale zrobiłaś.

– Serio? Bo wyglądasz tak, jakby nic na tobie nie robiło wrażenia.

– Taką mam taktykę. Trudno jest się wyzbyć pewnych nawyków. – Jeśli chwilę temu coś mu szeptano, aby podzielił się z nią swoją tajemnicą, tak teraz absolutnie nie chciał tego robić. Pomyślał, że woli, aby postrzegała go jako ponurego gbura, niż się nad nim litowała. – Moim zdaniem drugi etap rekrutacji przeszedł bardzo pomyślnie i teraz tylko od ciebie zależy, czy przyjmiesz moją ofertę, czy nie. Oczywiście pomogę ci w remoncie, niemniej jestem usatysfakcjonowany tym, co od ciebie dostałem. – Oboje doskonale wiedzieli, o jaki rodzaj satysfakcji mu chodzi. Oboje zgodnie go przemilczeli.

– I to, że widziałeś moje piersi, nie wpłynie negatywnie na nasze stosunki? – Gdy z jej ust padło słowo „stosunki”, po raz kolejny, przestała już nawet liczyć który, chciała się dziś zapaść pod ziemię. Szybko to wyprostowała. – W pracy. Chodzi mi oczywiście o stosunki w pracy.

– Nasze stosunki w pracy, mam taką nadzieję, będą przyjacielskie. – Głos w jego głowie jak zwykle stał na posterunku i wygłaszał swe życiowe mądrości, informując go o tym, że przyjacielskie stosunki z kobietą zawsze kończą się seksem. Zawsze. Odchrząknął, chcąc go zagłuszyć, i dodał: – Nie musisz odpowiadać mi dziś, dajmy sobie trochę czasu. Powiedzmy tydzień.

– Recepcjonistka powiedziała mi, że twoje asystentki odchodzą maksymalnie po miesiącu. Czy to prawda?

– Nie, nie jest to prawdą. Zazwyczaj po dwóch tygodniach.

– Co jest powodem?

– Poza tym, że zapewniam im godziwe warunki pracy, stałą pensję i możliwość rozwoju? Zapewne mój sposób bycia. Nie każdemu odpowiada to, jakie mam podejście do świata.

– To znaczy? – Niech go kule biją, intrygował ją z minuty na minutę coraz bardziej, a jego stoicki spokój był wręcz fascynujący.

– Żeby to zrozumieć, musisz mnie poznać.

– I to wystarczy?

– Nie, musisz jeszcze wspiąć się na pomnik Kościuszki na placu Wolności, a potem zabić smoka, który terroryzuje miasto i porywa dziewczęce.

– Słucham?

– Żartowałem. Będę się zbierał.

– A herbata? Przez to wszystko wyleciało mi z głowy, że miałam zrobić herbatę. A potem zapomniałam, że o tym zapomniałam. Jeśli oczywiście wiesz, co mam na myśli.

– Wiem. – Wstał z zamiarem wyjścia. – Liczę, że będzie jeszcze kiedyś okazja napić się tej herbaty.

– Co do tego remontu, to ja go jednak nie zrobię. Nie mam teraz do tego głowy. – Bardziej chodziło jej o to, że na przeszkodzie stoją względy finansowe, bo dziś doszło kilka dodatkowych wydatków, takich jak chociażby kupno zupełnie niepotrzebnej koszuli i wymiana zamka, ale nie miała zamiaru mu tego mówić.

– Jasne, rozumiem. – I znowu zero reakcji z jego strony. Może lekki zawód słyszalny w głosie. A może jej się to tylko zdawało. – Nie zabieram ci więcej czasu. Do widzenia.

– Do widzenia. – Zamknęła za nim drzwi. Przez chwilę stała o nie oparta plecami, próbując ułożyć tę dziwną układankę w całość. Było to niezwykle trudne. O wiele szybciej uporała się z bałaganem w kuchni. Marek z kolei miał świadomość, że nie ma wpływu na to, jaką decyzję podejmie Julia. Jedyne, co czuł, to że ona się waha. Czyli nic nie było przesądzone. Nim dojechał do domu, zatrzymał się na stacji benzynowej i zatankował auto. W momencie, w którym przekręcił kluczyk w stacyjce, odezwał się jego telefon. Dostał SMS-a.

Julia: Chciałabym spróbować. Kiedy mogę zacząć?

Marek: Od poniedziałku, ale jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym przez weekend wdrożyć Cię we wszystko. Zapraszam w sobotę do mojego gabinetu. O dwunastej.

Julia: Będę.

Uśmiech, jaki zagościł w jego sercu, rozgrzał go od środka.

Rozdział 7

– Co takiego ważnego cię wczoraj zatrzymało? – Tamara położyła się na boku i patrzyła na Marka, który oparł plecy o wezłowie łóżka.

– Moja nowa pracownica. – No może nie taka moja, uznał w duchu, bo przecież jeszcze oficjalnie tego nie przyklepaliśmy. Tamara nie musiała tego wiedzieć. – Nie mogła się dostać do mieszkania i poprosiła mnie o pomoc.

– Nie ma faceta, który mógłby to zrobić? – Głos kobiety zawierał w sobie odrobinę zazdrości. Chociaż nie, nie odrobinę. Dawka była dość duża, ale jeszcze nie śmiertelna. Jeszcze.

– Nie wiem, nie pytałem. – Nad tym, czy Julia kogoś ma, Marek zastanawiał się od momentu, kiedy wyszedł z jej mieszkania. Szara bluza, którą na siebie założyła, mogła albo należeć do jej obecnego partnera, albo do byłego. Mogła też zostać kupiona po to, aby być namiastką mężczyzny w domu.

– Ile ma lat? – Tamara próbowała udawać obojętność. Wychodziło jej to nad wyraz kiepsko.

– Dwadzieścia pięć.

– Ładna? – zapytała zniecierpliwionym głosem.

– Ładna. – Dziesięć minut temu zdjął prezerwatywę, a ta rozmowa nastroiła go do tego, żeby założyć kolejną. Wystarczyło bowiem tylko, aby pomyślał o piersiach, które od wczoraj prześladowały go we śnie. I na jawie też. Nachylił się nad Tamarą i wyszeptał jej do ucha: – Odwróć się do mnie plecami.

Z ociąganiem, ale spełniła jego prośbę. Nie żeby nie miała ochoty na kolejne zbliżenie. Tyle tylko, że w tym momencie jej myśli zaprzętała jakaś kobieta, której imienia nawet nie знаła, o jej wyglądzie zewnętrznym nie wspominając. Słowo „ładna” w ustach Marka brzmiało bardzo zwyczajnie. Bez emocji i jakiegoś większego zainteresowania tematem. I ta jego mina również nie wyrażała niczego, co mogło wzbudzić ciekawość. Problem tylko w tym, że Marek był człowiekiem jednej miny. Gdy na samym początku znajomości zapytała go o to, dlaczego się nie uśmiecha i zawsze wygląda tak samo, odpowiedział jej, że „ten typ tak ma”. A gdy zaczęła drażnić temat, patrzył na nią przez pół godziny, nie odzywając się słowem. Od czasu do czasu mrugał tylko powiekami, zupełnie tak, jakby mu się przypominało, że musi to zrobić. Jego zachowanie skutecznie odstręczyło ją od zadawania dalszych pytań.

A miała ich wiele, oj, miała.

Położyła się jednak na boku i czekała na to, co tym razem od niego dostanie. Bo tego, że orgazm będzie zacy, była pewna. Dłoń Marka najpierw błędziła po jej udzie, a następnie podążyła w górę, w kierunku piersi. Tamara z kolei przywarła do jego podbrzusza, napierając na nie swoimi pośladkami. Z jej ust wydobywały się jęki.

Marek chwycił ją w pasie i pociągnął w taki sposób, że chwilę później on opierał się plecami o zagłówek łóżka, a ona dosiadała go tyłem. Jedna jego dłoń złapała ją za gardło, druga powędrowała w stronę krocza. Zakleszczył ją w swego rodzaju imadle, ponieważ nie mogła ruszyć rękoma, które zwiślały wzdłuż ciała. Poruszała tylko tyłkiem, a on coraz mocniej pieścił ją palcami. W pewnym momencie dotyk jego dłoni zrobił się tak intensywny, że chciała mu się wyrwać, ale nie pozwolił jej na to, tylko jeszcze szybciej zaczął poruszać ręką. Dłoń spoczywająca na szyi zacisnęła się mocniej. Brutalniej.

To on rządził. To on decydował o tym, co się za chwilę stanie.

– Jak tylko dojdiesz, ściągniesz mi prezerwatywę i będziesz go ssać.

Na zachętę wsadził jej w usta dwa palce, które zaczęła łapczywie lizać. Kiedy dochodziła,

nie zabrał dłoni – dalej zataczał opuszkami palców kółeczka na jej w tym momencie najbardziej wrażliwym fragmencie ciała. Przez chwilę leżała oparta o jego tors, wierząc, że w taki sposób jeszcze bardziej się do siebie zbliżają. Cóż, to było tylko jej zdanie. Marek chrząknął wymownie, dając jej tym samym znać, żeby zaczęła pieścić go ustami. Kiedy tylko zbliżyła swój język do nasady jego członka, położył dłoń na jej głowie, uniemożliwiając patrzenie w górę.

Czyli na niego.

Lubił czuć jej język na swoim penisie. Lubił to, w jaki sposób go pieściła. Lubił przedłużać moment spełnienia, dlatego od czasu do czasu łapał ją mocniej za włosy, aby chociaż na chwilę powstrzymać przyjemność. Czekał, aż wszystko minie, i dopiero wtedy dawał przyzwolenie na ponowne sprawianie mu rozkoszy. Lubił też kończyć w jej ustach.

Zawsze dochodził w ciszy.

– Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz zostawać u mnie na noc. Albo dlaczego ja nie mogę zostawać u ciebie – powiedziała pół godziny później, kiedy zaczął się ubierać. Już od pewnego czasu chciała przeprowadzić z nim tę rozmowę, uznała więc, że w zasadzie w ich przypadku każda okazja jest dobra.

– Ponieważ nasza relacja nie opiera się na wspólnych śniadaniach. Spotykamy się dla przyjemności. Cieleśnej. Tak ustaliliśmy na samym początku naszej znajomości.

– Moglibyśmy to zmienić. – Wciąż leżała w łóżku, dlatego przekręciła się na bok i posłała mu zalotne spojrzenie. Nawijanie pukła włosów na palec było w tym momencie bardzo wskazane.

Marek zatrzymał na chwilę wzrok na jej piersiach. Potem przeniósł go na twarz.

– Czy to nie jest przypadkiem łagodny wstęp do układania mi życia?

– Jeśli nawet tak, to co?

– Jeżeli chcesz czegoś więcej, ode mnie tego nie dostaniesz. Zastanów się więc nad tym, czy nie marnujesz ze mną czasu. I tak, Tamara, mam świadomość, że angażujesz się coraz bardziej, tyle tylko, że ja nie mam zamiaru cię zwodzić i okłamywać. Skoro przez miniony rok nie poczułem do ciebie nic, co można by nazwać jakimś głębszym uczuciem, nie sądzę, aby kiedykolwiek uległo to zmianie.

– Bo nie chcesz dać nam szansy. – Ścisnęła palce i uderzyła pięścią o pościel.

– Owszem, nie chcę, bo nie czuję potrzeby wiązania się z tobą na stałe.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie zamierzasz się nigdy z nikim wiązać na stałe? – Zabrzmiało to jak próba wymuszenia deklaracji. Bardzo nieudolna zresztą.

– Nie, nie chcę ci tego powiedzieć.

– To znaczy, że co? – krzyknęła. – Ja jestem tylko do seksu? A do miłości ktoś inny?

– Jeśli mnie pamięć nie myli, a nie narzekam, właśnie tak miało być. Pragnę ci też przypomnieć, że bardzo chętnie przystałaś na tę propozycję, śmiejąc się z tych kobiet, które tak szybko się angażują. Mało tego, to ty mi powiedziałaś, żebym się pilnował, bo w tobie zakochują się wszyscy faceci, a potem, gdy przychodzi czas rozstania, mają problem ze zrozumieniem tego, że nie chcesz już z nimi utrzymywać kontaktów. Poinformowałaś mnie również o tym, żebym się nie dziwił, że któregoś dnia możesz mi ot tak powiedzieć, że to koniec, bo poznałaś kogoś innego. – Miał świadomość, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Jak możesz mnie tak traktować? – Tamara była coraz bardziej wzburzona i poirytowana tym, że Marek tak dokładnie ją wypunktował.

– Tak? To znaczy jak? – On z kolei zachowywał spokój. Jak zwykle zresztą.

– Jakby między nami nic nie było!

– Czy ja ci cokolwiek obiecałem?

– Nie, ale myślałam, że to się zmieni. Że się do siebie zbliżymy. Dlaczego nie chcesz

choć spróbować? – zapytała go, a w jej głosie wybrzmiewało błaganie.

– Ponieważ nie czuję, abyś była kobietą, z którą mógłbym zbudować trwałą relację. I nie myśl, że zrobiłaś coś, co mnie do ciebie zniechęciło. Jesteś inteligentna i piękna, ale od początku byłem też z tobą szczery. Chyba przyznasz mi rację? – Jej mina świadczyła o tym, że nie ma zamiaru przyznawać mu w czymkolwiek racji. Dlatego zignorowała to jakże retoryczne pytanie.

– Ale w seksie jestem dobra, prawda? – warknęła.

– Jesteś.

– Chodzi o tę twoją nową pracownicę! – W oczach Tamary można było dostrzec coś bardzo złego. – No tak. Młodsza, ładniejsza. Już ją pieprzyłeś?

– Wiek i wygląd nie mają tutaj nic do rzeczy. I nie, Tamara, nie pieprzyłem jej. Nie mam w zwyczaju sypiać z kilkoma kobietami jednocześnie.

– Wiesz co, Marek? Pieprz się! Pieprz się i wynoś się z mojego domu! Natychmiast!

– W tym momencie rządzą tobą emocje. – Wstał i ruszył w kierunku drzwi. Nim wyszedł z sypialni, odwrócił się do niej i powiedział: – Każdy z nas ma wybór. Każdy z nas powinien też pamiętać o tym, że nie może budować swojego szczęścia kosztem innych. Fundamenty nie będą wtedy zbyt trwałe.

– Zachowaj to pierdolenie dla swoich pacjentów. I wiesz co? Pojęcia nie mam, co ja w tobie widziałam. Twoja wiecznie niezadowolona mina powinna mi już dawno dać do myślenia. Ty nie masz serca. W tobie nie ma żadnych emocji. Żadnych. Jesteś nijaki. A teraz wypierdalaj. Między nami koniec. Idź sobie do tej swojej pracownicy. – Choć w trakcie przemowy ani razu nie podniosła głosu, w środku cała się trzęsła. I Marek to czuł.

Wyszedł.

Tamara odczekała kilka chwil, wyskoczyła z łóżka i przekręciła klucz w drzwiach wejściowych, a potem stała na środku salonu z zaciśniętymi w pięści dłońmi i ciężkim oddechem. Życzyła mu wszystkiego, co najgorsze. Upust jej wściekłości miał dać pomarańczowy dzbanuszek roztrzaskany na podłodze. I zielony talerzyk, który podzielił jego los. I niebieski kubek do herbaty. I dwa kieliszki do wina też. Powiedzieć, że była w tym momencie rozżalona, to jak nic nie powiedzieć.

W chwili, w której Tamara przeklinała Marka, on zmierzał w kierunku samochodu. Tamara mieszkała na Manhattanie – tak była nazywana jedna z łódzkich śródmiejskich dzielnic, stworzonych z ośmiu wieżowców o różnej wysokości. Wszędzie było stąd blisko. Do domu Marka, usytuowanego na obrzeżach miasta, nieco dalej. Musiał najpierw dojechać do miejsca, gdzie zbiegały się aleje dwóch marszałków – Piłsudskiego i Kopcińskiego – i skręcić w lewo. Potem mijał rondo Solidarności, przejeżdżał przez znane mieszkańcom Łodzi Doły i odbijał w prawo, w ulicę Brzezińską. Stamtąd to już naprawdę rzut beretem i chwilę później parkował swoje czerwone BMW na podjeździe przed domem.

Do tej pory uważał, że jest szczęśliwy. Jednak dopiero dziś zrozumiał, że brakuje mu radości. Takiej specyficznej radości. Takiej, której potrafiłby nadać imię, wygląd i cechy charakteru.

Rozdział 8

– I ja mam to wszystko ogarnąć? – Julia opadła na kanapę w gabinecie Marka. Od dwóch godzin opowiadała jej o obowiązkach, które na nią spadną, a ona z coraz większym zdumieniem odkrywała, że on stosuje zupełnie inne metody leczenia pacjentów niż te, o których mówiono jej na wykładach i o których pisano w mądrych podręcznikach. To znaczy ona domyślała się tego, że doktor Marek Wenta – dla niej już Marek, bo pokazała mu piersi, co w sumie można było porównać do zapoznawczego bruderszaftu – był człowiekiem niekonwencjonalnym. Tylko, do cholery, o jakim on czuciu mówił? O jakiej energii? Brakowało jeszcze szklanej kuli i czarnej kury. No chyba że dojdą do tego w dalszej części rozmowy.

I jeszcze ta jego wiecznie posępna mina. Julkę świerzbili język, żeby zapytać go wprost o to, dlaczego jest taki nijaki na twarzy. Tylko na twarzy, ma się rozumieć, bo jego osobowość była fascynująca.

– Jeśli naprawdę uwierzysz w to, że nie dasz sobie rady, to tak będzie. To akurat jest proste. Dostajesz od życia to, czego chcesz. Zarówno w pozytywnym, jak i negatywnym tego słowa znaczeniu, tak że uważaj, o co prosisz, bo może ci się spełnić.

– Chyba potrzebuję wina, żeby to wszystko zrozumieć. – Wbiła w niego spojrzenie, które wyrażało mnóstwo skrajnych emocji. Niby to, co mówił, miało sens, ale jednak gdzieś z tyłu głowy miała zakodowane, że to, co od niego usłyszała, jest jakieś takie... no, dziwne.

– Potrzebujesz czasu i tylko od ciebie będzie zależało, czy go sobie dasz, czy może jednak będziesz sama sobie przeszkadzała.

– Przynajmniej teraz wiem, dlaczego twoje asystentki tak szybko rezygnowały z pracy.

– Dlaczego?

– Nie czuły tego – powiedziała, a potem zaczęła się śmiać ze swojego żartu. Marek tylko na nią patrzył. No i jeszcze kilka razy zamrugał powiekami.

– Widzę, że poczucie humoru ci dopisuje – rzekł, a potem spojrzał w okno.

– W przeciwieństwie do ciebie – powiedziała i zamilkła, ale tylko na chwilę i tylko po to, aby dać sobie moment na zadanie mu pytania. O dziwo, tym razem najpierw pomyślała o tym, co chce powiedzieć. Zazwyczaj robiła odwrotnie. – Nie chcę wyjść na niegrzeczną, ale skoro biorę pod uwagę to, że mamy razem pracować, chciałabym cię o coś zapytać.

Przeniósł na nią wzrok. Wiedział, o co będzie chciała go zapytać.

– Pytaj.

– Dlaczego ty się nie uśmiechasz? Dlaczego cały czas masz taką samą minę? Nie rozumiem tego.

– Mam zdiagnozowany syndrom Moebiusa – powiedział na głos to, co siedziało mu w głowie zawsze wtedy, kiedy ktoś patrzył na niego i doszukiwał się w jego wyglądzie źródła ułomności. Bez względu na to, czy był szczęśliwy, smutny, wściekły, pobudzony albo podniecony, zawsze wyglądał tak samo. Nie tracił jednak czasu na informowanie ludzi o swojej chorobie, uważając, że niepotrzebne mu są współczujące spojrzenia i niewygodne pytania. Tym razem poczuł, że powinien zrobić inaczej.

– Syndrom Moebiusa? A co to takiego?

– Nie potrafię się uśmiechać. Nie używam mięśni twarzy, nie mrużę oczu i nie marszczę brwi.

– Jak to nie potrafisz się uśmiechać? Ale że wcale? Nigdy? – Była tak zdziwiona jego słowami, że nawet nie zauważyła tego, że ekran jej telefonu od kilku minut się świecił, dając tym samym znać, że ktoś się do niej co chwilę dobija. Tuż przed wejściem do gabinetu wyłączyła

dźwięki.

– Wcale.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– To bardzo rzadko występująca choroba genetyczna, w obecnych czasach niemożliwa do wykrycia nawet w trakcie ciąży. Powód występowania tej przypadłości opiera się głównie na przypuszczeniach, które mówią o tym, że dużą rolę odgrywa genetyka oraz środowisko, a także przyjmowanie przez przyszłą matkę leków i innych substancji. Ta wada charakteryzuje się szeregiem zaburzeń neurologicznych i porażeniem nerwów czaszkowych. Łagodny przebieg może pozostać niezdiagnozowany przez całe życie chorego. W moim przypadku choroba ogranicza się tylko do braku ekspresji z użyciem mięśni twarzy, co mimo wszystko umożliwia mi normalne funkcjonowanie. Nie każdy jednak ma tyle szczęścia, co ja. – Nie brzmiał, a już na pewno nie wyglądał na kogoś, kto ma szczęście.

– To może być jeszcze gorzej?

– Mógłbym mieć zrosnięte palce, czyli cierpieć na syndaktylię. Mogłoby mi też kilku z nich brakować. To zaburzenie z kolei nazywa się adaktylią. Mógłbym mieć zdeformowany język i szczękę, tym samym borykałbym się z problemami stomatologicznymi i zaburzeniami w rozwoju mowy. Moje oczy mogłyby być tak wrażliwe, że musiałbym cały czas chodzić w przeciwsłonecznych okularach. U jakichś trzydziestu procent chorych pojawia się również autyzm. U mniej więcej piętnastu procent wykrywa się upośledzenie umysłowe. U chorego często występuje zez zbieżny albo niemożliwość poruszania gałkami ocznymi. Pojawiają się problemy ze słuchem. Sfera ruchowa również może być zaburzona. Jeśli natomiast choroba ogranicza się do braku mimiki twarzy, tak jak w moim przypadku, ludzie są postrzegani jako aspołeczni debile. O takich jak ja mówią „kamienna twarz”, tak że tak, Julio, mogę czuć się szczęściarzem. Musiałem tylko wyrobić u siebie odruch mrugania, bo niestety nawalił. – Odchylił się na fotelu i wpatrywał w nią.

– Naprawdę nie ma możliwości, żebyś się kiedykolwiek uśmiechnął?

Wykonał przeczący ruch głową i powiedział:

– Fizycznie nie. Mój śmiech brzmi tak. – Z jego gardła wydobył się dźwięk, coś jak powiedzenie słowa, a raczej dwóch literek: „hy”.

– To straszne. No a twoi pacjenci? Jak oni cię odbierają?

– Krążą pogłoski, że jestem profesjonalistą.

– Nie przeszkadza im twój wygląd?

– Nie, ponieważ podczas terapii mają cały czas zamknięte oczy. Wspominałem ci o tym.

– No tak. To w sumie wiele wyjaśnia. Masz piękną i ciepłą barwę głosu. – Spuściła wzrok na swoje dłonie. Możliwe, że za chwilę spojrzałaby na Marka ponownie, ale w tym samym momencie zerknęła na ekran telefonu. Dzwoniła jej mama, do tego Julia zobaczyła jeszcze sześć nieodebranych połączeń. Nawet bez sprawdzania wiedziała, że wszystkie są od niej. Popatrzyła przepraszącym wzrokiem na Marka, a potem odebrała.

– Mamo, ja...

– Dobijam się do ciebie od godziny! – Piekliła się po drugiej stronie Honorata Radosna, która nazwisko otrzymała od swojego męża, ale mało kiedy korzystała z zawartej w nim radości.

– Przepraszam. Jestem właśnie na rozmowie o pracę i...

– Skończyły się pieniądze od dziadków i teraz trzeba się wziąć do roboty? Tyle razy im mówiłam, że jesteś pasożytem, a oni swoje! Tyle razy im mówiłam, że puścisz ich z torbami, że do grobu ich wpędzisz, a oni ci jeszcze mieszkanie kupili! Pozwolili ci wejść sobie na głowę! Żeby taka gówniara nimi rządziła! Mówiłam im, żeby to mieszkanie zapisali na mnie, nie na ciebie! I co? Tylko patrzeć, jak wszystko zaprzepaszczysz!

– Mamo, proszę cię... – Julia czuła, że cała jej twarz robi się gorąca. Była pewna, że Marek dostrzegł to zmieszanie. Chociaż nie, to nie było zmieszanie, to był wstyd.

– Trzeba wypielić ogródek i umyć okna – powiedziała matka głosem nieznoszącym sprzeciwu. Gdyby ktoś usłyszał ten fragment rozmowy, w życiu nie powiedziałaby, że prowadzona jest ona pomiędzy tak blisko ze sobą spokrewnionymi osobami. Honoracie Radosnej bliżej było do handlarza niewolnikami niż kochającej matki.

– Przyjadę za tydzień – padło z ust Julii, a Marek dałby sobie odciąć jedną z kończyn, że w jej głosie słyhać było strach wymieszany z rezygnacją.

– Przyjedziesz jutro.

– Ale ja od poniedziałku zaczynam nową pracę i...

– Przyjedziesz jutro – powtórzyła.

Nastąpił koniec rozmowy.

Honorata odłożyła telefon na stół pokryty kraciastą ceratą i zaczęła mieszać łyżeczką w szklance z herbatą. Dziesięć razy w prawo, dziesięć razy w lewo. Fusy zaczęły opadać na dno, ona natomiast patrzyła przed siebie wzrokiem pozbawionym radości.

Co zatem można było w nim zobaczyć?

Zawziętość, dumę, złość, rozczarowanie, upór i brak wybaczenia, o braku miłości do własnego dziecka nie wspominając. Zresztą jakiego dziecka? To wybryk natury był.

– Wszystko gra? – Julia usłyszała głos Marka. Od momentu, kiedy skończyła rozmawiać, patrzyła na telefon. Miała świadomość, że on nie słyszał całej dyskusji, ale tylko kretyń nie domyśliłby się, że coś jest nie tak. Marek kretyńcem nie był.

– Tak, to tylko... to moja mama. Muszę do niej jutro jechać.

– A chcesz?

– Słucham? – Spojrzała na niego. Jej oczy były zaszkłone, co jeszcze bardziej uwydatniało ich różną barwę.

– Powiedziałas, że musisz jutro spotkać się ze swoją mamą, a ja zapytałem, czy chcesz to zrobić.

– Muszę. To znaczy chcę. – Ponownie spuściła wzrok. – Nie, nie chcę. Ale muszę. – Tym razem jej głos był bardzo cichy.

– Co czujesz, kiedy spotykasz się ze swoją mamą? – zapytał, patrząc na siedzącą na kanapie Julię. Wyglądała źle. Spuszczona głowa, trzęsące się ramiona, nerwowe splatanie dłoni, nieznaczące poruszanie ciałem w przód i w tył. Poza tym wszystkim Marek czuł też jej smutek, lęk i brak wiary w siebie. O dziwo, wcześniej, przed rozmową z matką, sprawiała wrażenie osoby przekonanej o swojej wartości i możliwościach.

Julia po każdej telefonicznej rozmowie ze swoją mamą czuła się tak, jakby rozłożyła ją ciężka grypa – z temperaturą i podłym bólem głowy oraz mięśni. Dochodziła do siebie zazwyczaj przez kilka dni. O wiele gorzej było wtedy, kiedy musiała spotykać się ze swoją rodzicielką twarzą w twarz. Nie dość, że przebywanie w tym samym pomieszczeniu co ona sprawiało jej tak wiele dyskomfortu, to ogarniało ją jeszcze poczucie winy, wielkie jak dziesięć boisk do piłki nożnej. Kto jak kto, ale Honorata Radosna była mistrzynią w poniżaniu swojej córki, uważając, że ma do tego wszelkie prawo. Wszak to ona musiała ją urodzić i siedzieć z nią w domu, a tym samym zrezygnować ze swoich marzeń.

– Kiedy jestem u mojej mamy, czuję się tak, jakbym się dusiła. To uczucie jest bardzo dziwne, a ja tak naprawdę jeszcze nigdy się nad tym nie zastanawiałam – usłyszała swój własny głos. Nawet nie starała się go powstrzymać przed dalszym mówieniem. – Boli mnie wtedy głowa,

czuję się źle i mam wrażenie, że dookoła mnie jest mnóstwo brzydkich zapachów. Ale to pewnie przez ten ból głowy. Teraz też mnie boli. Jestem taka zmęczona. – Nie mówiąc nic więcej, zrzuciła buty i położyła się na kanapie w pozycji embrionalnej.

Przymknęła powieki.

– Potrzebujesz czegoś?

– Przydałaby się wódka. I listek apapu – wyszeptała, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, że ta rozmowa odbywa się naprawdę. A potem zasnęła.

– Musi ci wystarczyć moja marynarka. – Marek zdjął część swojej garderoby z fotela, na którym siedział, i podszedł do sypialni Julii. Okrył ją, a potem wsadził dłonie do kieszeni spodni i przez dłuższą chwilę na nią patrzył. Kiedy już się napatrzył, usiadł ponownie przy biurku i zajął się wypełnianiem dokumentów. Świadomość tego, że ona znajduje się kilka metrów od niego, wcale nie przeszkadzała mu w pracy.

Kiedy Julka się ocknęła, a nastąpiło to półtorej godziny później, potrzebowała jeszcze kwadransa, aby dojść do siebie i zrozumieć, że właśnie leży na kanapie, w gabinecie swojego przyszłego szefa, o ile oczywiście on dalej będzie chciał zatrudnić rozchwianą emocjonalnie asystentkę.

– Przepraszam – wybąkała, podnosząc się i siadając. Zapobiegawczo przyklepała sobie też grzywkę, która, była tego pewna, sterczała na wszystkie strony świata. No i chyba powinna się jakoś wytłumaczyć, tyle tylko, że nie bardzo wiedziała jak. I jeszcze wygniotła mu marynarkę, którą on musiał ją przykryć. Odłożyła ją na bok, starannie składając.

– Jak się czujesz? – padło z ust Marka.

– Niezbyt wyśmienicie.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Niekoniecznie.

– Rozumiem. A pytania dotyczące się pracy masz?

– Mam w ogóle szansę na tę pracę? – Potarła dłonią twarz, uznając, że nie ma sensu owijać w bawełnę. – Bo odnoszę wrażenie, że od momentu, kiedy przekroczyłam próg twojego gabinetu, dzieje się wszystko, abym skompromitowała się w twoich oczach. I obawiam się, że jestem w tym bardzo skuteczna.

– Jeśli chodzi o mnie, sprawa jest aktualna.

– Musisz wiedzieć, że zatrudniając mnie, podejmujesz olbrzymie ryzyko. – Poczula się zobligowana do tego, aby przedstawić mu swoje CV w wersji słownej. Konkretnie chodziło o to, dlaczego w żadnej pracy nie zagrzała miejsca dłużej niż kilka tygodni. – Z poprzedniej pracy, tej, o której nie wspomniałam w swoich papierach ze względu na staż, zostałam zwolniona po dwóch dniach. Siedziałam przy biurku i robiłam zapiski w notesie, kiedy nagle poczułam, że ktoś się nade mną nachyla. Wystraszyłam się i odchyliłam głowę do tyłu. No i trafiłam mojego kierownika w szczękę. Wybiłam mu jedynekę. To było w czwartek. W sobotę miał się żenić.

– Jak na moje oko nie zachował należytego dystansu.

– Dokładnie to samo powiedziałam dyrektorowi, ale nikt nie chciał mnie słuchać – powiedziała, kręcąc głową z rezygnacją. – Kiedyś też pracowałam na produkcji. Kazali mi przewieźć wózkami widłowymi paletę z tysiącem szklanych butelek. Warto wspomnieć, że były pełne. Pracowałam tam kilka dni i niestety nie zdążyłam jeszcze opanować za dobrze instrukcji obsługi tego pojazdu, i wjechałam nim w wózek kolegi, doprowadzając do stłuczki. Ucierpiały wszystkie butelki. Nie obciążyli mnie kosztami, ale kazali trzymać się w bezpiecznej odległości od magazynu, sugerując, że najlepiej, aby wynosiła ona minimum dwadzieścia kilometrów. Innym znowu razem w firmie, w której sprzątałam, ktoś zostawił spleśniałe sery i wędliny w lodówce. Od razu wyniosłam je do śmieci, bo tak bardzo śmierdziały. Byłam w szoku, że

nikomu to nie przeszkadzało. Okazało się, że to były bardzo drogie produkty, a kupił je jeden z szefów, będąc akurat na wycieczce w Szwajcarii. Miał je rozdać pracownikom. Ja bym nie wzięła. Raz też pracowałam jako kelnerka w restauracji, do której już mnie nie wpuszczają. Odgrązali się nawet, że powieszą na drzwiach moje zdjęcie ku przestrodze. Był wieczór paniński, który obsługiwałam. Dziewczyny miały zamówiony tort dla przyszłej panny młodej. Ja miałam zanieść go na salę, ale się potknęłam, tort wypadł mi z rąk i wpadł do wiadra z brudną wodą. Tego samego, które tam postawiłam dziesięć minut wcześniej. Miałam też epizod w zakładzie fryzjerskim. Ale to jest tak straszne, że chyba nie chcę sobie o tym przypominać. – Zakryła twarz dłońmi.

– To znaczy?

– Spaliłam klientce włosy – wybełkotała po chwili ciszy. – Zaczynałam wtedy pracę w tym zakładzie i poza zamiataniem podłóg nie kazano mi robić nic innego. A tu nagle szefowa kazała mi zrobić klientce ondulację, bo ona musiała wyskoczyć na pilne spotkanie. Jeśli ci powiem, że zrobiła mi kurs w pół godziny, w toalecie, każąc oglądać filmiki w internecie, to mi uwierzysz?

– Jestem w stanie uwierzyć we wszystko, co powiesz. Każdemu może trafić się gorszy moment w życiu.

– Chciałeś chyba powiedzieć gorsze dwadzieścia pięć lat. Musisz mieć świadomość, że ja jestem bardziej niebezpieczna od odbezpieczonego granatu. Tam przynajmniej widać, że nie ma zawleczonej. W moim przypadku to stąpanie po polu pełnym min. Na oślep. Nigdy nie wiesz, na co nadepniesz. – Rozłożyła dłonie w bezradnym geście, ale była też dumna z tego, że powiedziała mu o tym wszystkim. Można by rzec, że w pewnym sensie zabezpieczyła się na wypadek jakiejś katastrofy, którą oczywiście ona by wywołała. No i mogła mieć w zapasie stare i jakże znane „A nie mówiłam?”.

– Sugerujesz, że pewnego dnia mogę przyjść do pracy, a budynek zostanie zmieciony z powierzchni ziemi, bo go przypadkowo wysadzisz w powietrze?

– Może się tak stać. I naprawdę zrobię to przypadkowo.

– Cóż, uprzedzałaś. – Patrzył na nią, wiadomo, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Ty tak na poważnie? Słyszając to wszystko, chcesz mnie zatrudnić? Nie wolałbyś kogoś... mniej pechowego?

– Już bardziej poważny być nie potrafię i nie, nie wolałbym zatrudniać kogoś mniej pechowego.

– Ale dlaczego? Dlaczego akurat ja?

– Bo mnie intrygujesz.

– Proponuję zatem wykupienie dodatkowego ubezpieczenia na życie. – Nim wstała z kanapy, założyła buty. Potem podeszła do Marka i wyciągnęła dłoń, a on ją uściśnął. – Dziękuję za to, że dajesz mi szansę. Będę się bardzo starała, abyś był ze mnie zadowolony. Mam mnóstwo wad, jednak robię wszystko, żeby je zwalczać.

– Twoje wady to nie słabości. Nie zwalczaj ich, akceptuj je.

– Idealne hasło na plakat wyborczy. Masz mój głos. – Wyszczrzyła do niego zęby, kompletnie zapominając o tym, że dopiero co leżała zwinięta na kanapie stojącej za jej plecami, a powodem tego wątpliwego relaksu była jej osobista matka i jej wieczne pretensje do świata. To znaczy do niej.

– Zaczynam lubić cię coraz bardziej – powiedział. Od momentu, kiedy Julia podała mu swoją dłoń, nie wypuścił jej z uścisku. Ona z kolei nie czuła potrzeby wyszarpywania jej. No ale jakby powinna to zrobić. I zrobiła. Niechętnie, ale zrobiła.

– Idę, ale wrócę. Jak wysypka.

– Wróc, będę cię drapał z przyjemnością. – Gdyby ktokolwiek miał wątpliwości, owszem, flirtowali ze sobą. Na swój własny, pokręcony sposób.

Julia pożegnała się i wyszła. Marek zaczął zbierać swoje rzeczy i też zamierzał wyjść. Kiedy chciał otworzyć drzwi, jego telefon się rozdzwonił. Na wyświetlaczu zobaczył imię Tamary. Nie miał do niej żalu o ten ostatni raz, mając świadomość, że działała w emocjach, a te bardzo często rządzą człowiekiem i działają wbrew jego woli.

Odebrał.

Rozdział 9

Julia przytuliła czoło do zaparowanej szyby busa, a potem uniosła dłoń i zaczęła rysować palcem na oknie. Obraz, jaki się tam znalazł, odzwierciedlał również jej nastrój.

Smutna twarz.

Zaledwie dwie kropki i wykrzywiona linia, te trzy pociągnięcia palcem wyrażały więcej niż tysiąc słów. Więcej niż całe, pieprzone pudełeczko z raffaello. Poczuli, że jej telefon wibruje. Na ekranie pojawiło się imię Marka. On też pasował do tego obrazka. Przez chwilę zastanawiała się, czy odebrać. Czy ma siłę na rozmowę? Czy się czasem nie rozplącze w trakcie?

Zaryzykowała.

– Halo – przywitała go głosem pozbawionym radości, za to przepełnionym rezygnacją i, cóż, smutkiem.

– Chciałem cię poinformować o tym, że jutro masz wolne. W zasadzie ja też mam wolne. W naszym budynku padła wczoraj kanalizacja i nie jest to twoja wina. – Jego głos z kolei był bardzo ciepły. Kojący wręcz.

– Rozumiem.

– Jak się czujesz?

– Kiepsko.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Sama nie wiem. – Zagryzła na chwilę wargę. – Chociaż chyba mógłbyś mi pomóc. Zabierzesz mnie dziś na drinka? Bardzo tego potrzebuję.

– Wróciłaś już od mamy?

– Właśnie wracam. – Spojrzała na zegarek. – Będę w domu za pół godziny.

– Ale nie będziemy tego traktowali jak wyjścia szefa i podwładnej?

– Nie zrozum mnie źle, ale jest mi naprawdę wszystko jedno, jak będziemy to traktować. Potrzebuję dziś towarzystwa kogoś, kogo znam, komu ufam i kogo lubię. Wcześniej rozpatrywałam kandydaturę mojego kota, no ale skoro już do mnie dzwonicz, to co, podasz mi pomocny kieliszek?

– Przyjadę po ciebie o dwudziestej.

– Ale...

– Taksówką.

– Dziękuję.

Nacisnęła czerwoną słuchawkę i ponownie oparła czoło o szybę. Była zmęczona. Dawno nie czuła się tak podle jak dziś. No tak, w końcu dawno nie odwiedzała swojego rodzinnego domu. Słowo „odwiedzała” jakoś się jednak Julii gryzło z tym, czego doświadczała, przebywając w miejscu, w którym dorastała. Nie miała jednak siły na szukanie zamienników, została więc przy tych nieszczęsnych odwiedzinach.

I własnych myślach, w których rozmawiała z dziadkami.

Wy od zawsze wiedzieliście, że ona mnie nie chce. Że wini mnie za śmierć taty, chociaż ja przecież nie zrobiłam mu nic złego. Ciągłe słyszę tylko, że gdyby nie ja, ojciec by żył. Ja przecież ledwo go pamiętam, i to tylko dzięki wam. A ona, Boże mój, chyba przestaję myśleć o niej jak o mojej matce. Ona mnie tylko urodziła, a potem wyrzuciła z domu, traktując jak najgorszego przestępcę. Dziś mi wygarnęła, że najlepiej jej było wtedy, gdy się mnie pozbyła. I wiecie co, mnie wtedy też było najlepiej. Bo byłam z wami. Bo czułam się kochana. Bo nikt mi nie mówił, że jestem dziwadłem. Bo wy widzieliście we mnie wszystko to, co najpiękniejsze.

Bus zatrzymał się na przystanku, a Julia, powłócząc nogami, ruszyła w stronę kolejnej

wiaty. Nie miała ochoty na spacer, wsiadła więc w tramwaj, który podwiózł ją pod sam dom. Do przyjazdu Marka zostało jakieś pół godziny, czyli zdąży się wykąpać i doprowadzić do porządku.

– Cześć, łapserdaku. – Przywitała kota pocałunkiem w nosek. – Szkoda, że nie umiesz mówić.

Irysek spojrzał na nią, przechylając łebek to w lewo, to w prawo, co miało znaczyć, że on uważa podobnie i wielka szkoda, że ona nie potrafi miauczeć. Potem zaczął się kręcić pod nogami Julki, czyli wszystko było na swoim miejscu, a już najbardziej on. Julia weszła do łazienki, potykając się o kota. Kiedy wyszła, też się potknęła.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że tam, skąd pochodzę, z takich podstępnych istot jak ty robi się skórki, które pomagają w walce z różnymi schorzeniami? A mnie coraz bardziej zaczynają boleć plecy. – Pogroziła mu palcem, czego on oczywiście nie wziął na poważnie. Popatrzył na nią, ziewnął, ukazując ostre ząbki, i unióśł ogon, a potem podreptał przed siebie. To znaczy w kierunku drzwi wejściowych. Usiadł naprzeciwko i wpatrywał się w nie intensywnie.

Po chwili rozległo się pukanie.

– O cholera, już dwudziesta? Idę! – Julia pobiegła otworzyć drzwi. – Cze...

– Cześć. – Po drugiej stronie stał Piotrek. – Widzę, że nadal masz to bydło u siebie. – Spojrzał ze wstrętem na kota, a potem wszedł do mieszkania, czując się jak u siebie.

– Co ty tutaj robisz? – Julia nie była dziś w nastroju na towarzyskie spotkania. To znaczy była, ale nie z nim.

– To co zawsze. – Usiadł na kanapie, położył stopy na ławie, w dłoń chwycił pilota od telewizora. – Przynieś mi browara i zrób coś do jedzenia. Umieram z głodu.

– Przecież zerwaliśmy. Cztery dni temu. Konkretnie to była twoja decyzja. – Po raz pierwszy, od kiedy ze sobą byli, Julia użyła takiego argumentu. Zazwyczaj, kiedy po „rozstaniu” Piotrek pojawiał się w jej mieszkaniu, ona witała go z uśmiechem i otwartą butelką piwa. Sama go tego nauczyłaś, to teraz się z nim męcz, powiedział ten, który wszystko wiedział, czyli głosik w jej głowie.

– Daj spokój. – Machnął ręką. – Gdyby nie ta wyliniąta ściera – wskazał na Irysa – nie musiałbym wychodzić. Powinnaś się cieszyć, że już mi przeszło. Gdzie to piwo? – Pstryknął palcami.

– Jestem umówiona, więc musimy przełożyć naszą rozmowę na inny dzień. – Trudno było stwierdzić, kogo bardziej zdziwiły te słowa. Julię, że je powiedziała, czy Piotra, który je usłyszał i odpowiedział jej śmiechem. Nie był to miły śmiech, można go było raczej zakwalifikować do ironicznego chichotu.

– Ty jesteś umówiona? Ciekawe z kim? Z dostawcą pizzy? – Posłał jej litościwe spojrzenie. Dosłownie chwilę później rozległo się kolejne pukanie do drzwi.

– Właśnie przyszła odpowiedź na twoje pytanie, więc zaraz się dowiesz. – Skąd nagle w Julii znalazło się takie bojowe nastawienie, trudno było stwierdzić, najważniejsze jednak, że się znalazło albo może lepiej: odnalazło. Otworzyła drzwi, a nim Marek cokolwiek powiedział, przyciągnęła go do siebie i wyszeptwała: – Błagam, udawaj, że ci się podobam. Mam nieproszonego gościa. Potem ci wszystko wyjaśnię. – Ujęła go za dłoń i pociągnęła za sobą.

Marek był zdziwiony. Oczywiście nie wyglądał, co w tym przypadku było Julii bardzo na rękę.

– Piotr, poznaj, proszę, Marka, mojego szefa. Marku, to Piotrek. Złożył mi niezapowiedzianą wizytę, ale za chwilę wychodzi. – Akcent, jaki położyła na ostatnie słowo, nie umknął nikomu, nawet Iryskowi, który miauknął z radością.

– Cześć. – Marek skinął głową w kierunku mężczyzny. Powietrze w pokoju zgęstniało.

– Cześć – padło z ust wkurwionego Piotra. Tego to on się nie spodziewał. Na co zatem liczył? Na to co zwykle. Piwo, jedzenie i seks. No to się przeliczył, bo w ofercie hotelowej nie było mowy o wielkim facecie, który patrzył na niego tak, jakby był jakimś robakiem.

– Zostawię was na chwilę samych. – Julia odwróciła się i czmychnęła do sypialni. Dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, poczuła, że chyba wpakowała się w kłopoty. Tylko, kurde, tym razem naprawdę to nie była jej wina ani jej niedopatrzenie, ani tym bardziej jej pomyłka. Był to wprost idealny moment na uświadomienie sobie tego, że za każdym razem, gdy Piotr z nią kończył, ona wcale się tym nie przejmowała, wiedząc, że za kilka dni wróci. No ale teraz było jakby inaczej, bardzo inaczej i jeśli miała być szczerą, po raz pierwszy wzięła to zerwanie na poważnie, chociaż przecież żadnych podstaw ku temu mieć nie powinna. Może tak właśnie miało być, pomyślała pełna nadziei, może inaczej nigdy nie odważyłabym się na zakończenie tego związku? Odnotowała też w myślach, że trzeba przeprosić Marka. Postanowiła jednak, że jeszcze przez chwilę będzie podpieraa drzwi.

No tak z pięć minut przynajmniej.

W momencie, w którym Julka masowała kręgosłup drewnem najwyższej jakości, Piotr i Marek patrzyli na siebie z nienawiścią. To znaczy Piotrek tak patrzył, bo Marek, jak wiadomo, miał wypisane na twarzy bardzo poważne „mam na ciebie wyjebane”. Oliwy do ognia dołał Irysek, który bez ostrzeżenia wskoczył na kolana Marka i się na nich umościł.

– Powinna pozbyć się tego gałgana już dawno. – Piotr zapoczątkował konwersację, która wcale nie miała być miłą.

– Masz na myśli kota czy dywan?

– Kim ty właściwie jesteś? Moja kobieta nic mi o tobie nie wspominała – powiedział, kładąc bardzo wymowny nacisk na słowa „moja kobieta”.

– Mnie o tobie też nic nie mówiła – powiedział Marek, nie przestając głaskać Irysa, który zaśmiewał się w duchu z Piotra. W końcu, pomyślał uradowany kocur, w końcu ktoś zapędził tego szczura w koci róg. Tfu, w kozi.

– Czyli będzie z tobą pracowała? – zapytał Piotr przez zaciśnięte zęby. Jego dentysta by tego nie pochwalił.

– Owszem, będzie. I prawdę mówiąc, już się nie mogę doczekać.

– Jestem gotowa. – W salonie pojawiła się Julka.

Marek poczuł uderzenia przyjemnego gorąca w całym ciele, Piotra ogarnęła wściekłość, a Irysek miauknął z aprobatą. Julia założyła czarną, dopasowaną sukienkę sięgającą jej do połowy uda, podkreślała wszystko to, co powinno być podkreślone. W dłoniach trzymała sandały. Pogoda sprzyjała takiej garderobie.

Piotr nawet nie krył irytacji. Jego nozdrza zaczęły poruszać się coraz szybciej, knykcie mu pobielaly, a twarz zrobiła się czerwona. Posłał Julii wściekłe spojrzenie, w którym można było doszukać się zazdrości, zaborczości i żądzy zemsty. Taka nieco pojebana zasada trzech Z.

I pewnie właśnie dlatego z jego ust wypłynęło obelżywe pytanie.

– Sypiasz z tym palantem?

– Jeszcze nie miała tej przyjemności – odpowiedzi udzielił mu Marek, gdyż Julka tylko szerzej otworzyła oczy, słysząc to bezczelne pytanie. Riposta Marka jakoś jej umknęła.

Piotr wstał i spojrzał z góry na swojego rywala, bo właśnie w taki sposób postrzegał Marka. Marek z kolei siedział na fotelu, drapał kota za uchem i wyglądał tak, jakby nic nie robiło na nim wrażenia. W rzeczy samej tak właśnie było.

– Wypierdalaj stąd! Ona jest moja! – Piotrek nachylił się do przodu, chcąc pokazać swoją wyższość. Tę metaforyczną, bo w praktyce był dobre dwadzieścia centymetrów niższy od Marka. Tylko chyba nie zdawał sobie z tego sprawy w tym momencie, będąc we wściekłym amoku.

– Niewolnictwo zostało zniesione lata temu, tak że nie rozumiem, co jest twoje – padła spokojna odpowiedź drugiego mężczyzny.

– Piotrek, proszę cię, uspokój się. Nie byliśmy dziś umówieni, a ja mam prawo spędzać swój wolny czas tak, jak mi się podoba. Wychodzę z Markiem. Porozmawiamy innym razem. – Julia w końcu opanowała zdenerwowanie, uznając, że wypadałoby, aby zainterweniowała. Agresor posłał jej nienawistne spojrzenie zmrużonych oczu. Przez chwilę myślała, że dojdzie tutaj do szamotaniny, ale Piotrek musiał sobie chyba wszystko przemyśleć, bo odwrócił się i wyszedł z mieszkania. O tym, że znalazł się po drugiej stronie drzwi, poinformowało bardzo głośne trzaśnięcie nimi.

– Zanim cokolwiek powiesz – usiadła obok Marka, chwyciła go oburącz za dłonie i zaczęła mówić, a robiła to bardzo szybko – to był Piotrek, mój były. To znaczy w zeszłym tygodniu był jakby obecny. To znaczy aktualny. Byłam z nim od roku i mniej więcej od tego czasu zostawiał mnie kilka razy w miesiącu. – Na chwilę przerwała swoją przemowę i kilkakrotnie dmuchnęła, żeby odsunąć przydługą grzywkę, która spadała jej na czoło, bo dłonie, jak wiadomo, miała bardzo zajęte. – Po każdym naszym rozstaniu wracał bez słowa wyjaśnienia i ja się do tego przyzwyczaiłam. W pewnym momencie zaczęłam traktować to jak coś normalnego. Teraz, z perspektywy czasu, jest mi strasznie głupio, że dawałam się tak wykorzystywać. I nie ma sensu, żebyś pytał mnie o to, dlaczego to robiłam. Nie umiem ci odpowiedzieć. Sama sobie nawet nie potrafię udzielić potrzebnych informacji. Wiem tylko, że to nie była żadna miłość ani z mojej, ani tym bardziej z jego strony. Chyba wiedziałam to od samego początku, ale skutecznie się oszukiwałam. A to zdjęcie, które do ciebie wysłałam, miało trafić do niego właśnie – mówiąc to, spuściła głowę, bo wstyd wynikający z tej pomyłki jeszcze w niej mieszkał. – No ale jak wiesz, stało się inaczej. A potem ty mi pomogłeś, nie on. No i ja po raz pierwszy zaczęłam traktować to nasze zerwanie jako pewnik. Jak widać, tylko ja, bo on w dalszym ciągu się mną bawi. Przepraszam, że cię wykorzystyłam. Jesteś na mnie zły? – Ponownie na niego spojrzała. Dopiero po chwili zorientowała się, że cały czas trzyma go za dłonie.

Puściła go. Wstyd się jakby skumulował.

– Nie, nie jestem na ciebie zły.

– Jesteś pewien? Bo może chciałbyś się nad tym zastanowić?

– Jestem pewien. Idziemy?

– Chciałabym cię jeszcze o coś zapytać. – Na jej twarzy wykwitł uroczy pąs.

– Pytaj.

– Bo wiesz, jest niedziela wieczorem, a ja wyciągnęłam cię na drinka. I ja... to znaczy ty... to znaczy ja chciałam się zapytać, czy ty... to znaczy...

– Chciałaś się zapytać, czy kogoś mam? – Kiedy on zadał pytanie, Julia zagryzła wargi i pokiwała twierdząco głową. – Już nie. Całkiem niedawno zakończyłem pewną relację.

– Czyli oboje zaczynamy od nowa?

– Nie, oboje mamy za sobą pewne doświadczenia. To, co było, istniało. Należy o tym pamiętać, ale nie rozpamiętywać. Lepiej zrobić w głowie miejsce na nowe rzeczy. Na miłe rzeczy.

– Tak właśnie zrobię – powiedziała, patrząc mu głęboko w oczy i zastanawiając się nad tym, czy to nie jest czasem ten moment, w którym powinni się pocałować. Po chwili doszła do wniosku, że to za szybko, zdecydowanie za szybko.

– Idziemy? – zapytał, myśląc chwilę wcześniej dokładnie o tym samym co ona. I dokładnie tak samo jak ona doszedł do wniosku, że to zdecydowanie za wcześnie. I że jeśli cokolwiek ma z tego wyjść, to wyjdzie, ale bez zbędnego napinania się na sukces. Ten łózkowy

też. Z Tamarą przespał się już na pierwszym spotkaniu i, cóż, wszystko wskazywało na to, że ich rozstanie zostało zaakceptowane tylko przez jedną ze stron, o czym świadczyły jej codzienne telefony i SMS-y. W jednych wiadomościach błagała go o powrót, przepraszając za swoje zachowanie, w drugich wyzywała go od najgorszych, żeby po kilku minutach znowu napisać, że przeprasza, żałuje i bardzo go potrzebuje.

– A gdzie idziemy? Masz jakiś pomysł? – zapytała.

– Tam, gdzie tylko zechcemy.

– Brzmi idealnie. – Dwukolorowe oczy Julii rozbłysnęły radośnie.

Rozdział 10

Kapusta? Kiszona kapusta? Gotowana kiszona kapusta?

Julia otworzyła powieki i gwałtownie uniosła głowę, chcąc się upewnić, że zapach, który wdziera się w jej nozdrza, tylko się jej śni.

– O Jezuuu... Umarłam... – wyszeptała, przełknęła ślinę i zatkała sobie nos kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni. Oczy natomiast wytrzeszczyła. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, nijak nie przypominało jej własnego mieszkania. Łóżko, na którym leżała, miało sprężyny, które wbijały jej się w plecy. To chyba był tapczan. Tuż obok łóżka wisiał obraz, ale nie wisiał tak normalnie, na gwoździu, tylko był jakby zaczepiony na sznurkach. Dolna część ramy przylegała mocno do ściany, górna natomiast sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała się komuś zwalić na łeb. Komuś, czyli Julii, która zaczęła się odsuwać na bezpieczną odległość. To przesuwanie się wymagało nieco siły, bo to, czym była przykryta, okazało się ciężkie i dziwne w dotyku. Dopiero po chwili dotarło do niej, że leży pod pierzyną z prawdziwego pierza.

Pierzyna? Latem? Serio?

Rozglądała się po pokoju. Ściany w pomieszczeniu były wytapetowane, tak się jej przynajmniej wydawało na pierwszy rzut oka, jednak kiedy przyjrzała się im nieco bardziej, okazało się, że to nic innego, jak żółta farba pokryta białym wzorkiem z wałka. Julia doskonale знаła takie motywy. Mnóstwo ich było w jej rodzinnym domu. Aż się wzdrygnęła. Pod jedną ścianą, nieopodal okna, stały kwiaty. Rozpoznała fikusa, jukę i asparagus. To może jedna trzecia wszystkich roślin. Na środku stała ława przykryta ogromną serwetą. Na serwecie siedziała lalka. Taka plastikowa, z dużą ilością włosów, ubrana w suknię ślubną. Miała wydłubane jedno oczko. Po bokach ławy stały dwa niskie fotele. Na jednym leżał stos poduszek, na drugim siedziały trzy misie. Tak samo przerażające jak lalka.

– Ja chyba śnię – powiedziała, a potem się uszczypnęła. Jako że zabolalo, znaczyło, że nie ma mowy o żadnym spaniu. Dopiero teraz zauważyła, że ma na sobie tę samą sukienkę, w której wczoraj wyszła z domu. Zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu torebki i telefonu.

I Marka! Jego też tutaj nie było! Czy on sprzedał ją do jakiegoś domu publicznego stylizowanego na lata osiemdziesiąte?

Jej wzrok podążył w kierunku drzwi. Były stare, drewniane, z ogromną mleczną szybą pośrodku. Po ich drugiej stronie coś się ruszało. Jakby cień, który stawał się coraz to większy i większy, i większy, i... nagle drzwi się otworzyły. Stanęła w nich... Weronika Malinowska. Sąsiadka z parteru.

– Dzień dobry – powiedziała i postawiła na stole szklankę z jakimś płynem. Na pewno z trucizną, przemknęło przez myśl Julii, która tylko na nią patrzyła. Na kobietę, nie na szklankę. – Jak się czujesz? – padło z ust sąsiadki, która uznała, że chyba musi powtórzyć to pytanie, bo Julia patrzyła na nią z rozdziawioną buzią. – Pytałam, jak się czujesz.

– Przepraszam, ale co ja tutaj robię? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, uznając, że to najbardziej sensowne, co może w tym momencie zrobić. Była zbyt zdziwiona, aby pomyśleć, a co dopiero wdrożyć w życie drugą ewentualność, czyli ucieczkę.

– Mam powiedzieć w skrócie czy po kolei?

– Najlepiej w skrócie, ale po kolei.

– Najpierw wypij to. – Malinowska wskazała dłonią na szklankę z wywarem. Miał kolor zgnilizny. – No, pij! – Julii zdawało się, że sąsiadka podniosła głos.

– Bardzo panią przepraszam, ale ja źle znoszę krzyk. Szczególnie na kacu. I nie rozumiem, dlaczego jest pani dla mnie taka miła. Tego, co ja tutaj robię, też nie rozumiem –

powiedziała, wyplątując się z pościeli. – Wie pani może, gdzie jest moja torebka?

– Tam. – Sąsiadka wskazała palcem na łóżko. Konkretnie to pod nie. Faktycznie, dopiero teraz Julia dostrzegła swoją torebkę, która tam spoczywała. Chwyciła ją i otworzyła, a kiedy zobaczyła, że w środku są klucze od mieszkania, telefon i portfel, postanowiła się jak najszybciej ewakuować z tego miejsca. Zapach kiszzonej kapusty działał bardzo negatywnie na jej układ nerwowy.

– To ja będę się już zbierała. Dzię... dziękuję za gościnę – wydukała, podnosząc się z łóżka i przytulając torbę do swoich piersi. Umysł podpowiadał jej, że takie zachowanie jest w tym momencie bardzo kuriozalne. No jak ona to sobie wyobraża? Wyjdzie i będzie udawała, że wcale jej tutaj nie było?

Dokładnie tak sobie to wszystko wyobrażała.

– Nie chcesz już wiedzieć, jak się tutaj znalazłaś? – zapytała Malinowska, patrząc na nią dziwnym wzrokiem. Wraz ze strojem, na który składała się czerwona bluzka z żabotem, żółta podomka w zielone kółeczka i czarna spódnica, wyglądała... cóż, niepokojąco.

– Boję się to usłyszeć. – I nim gospodyni zdążyła cokolwiek powiedzieć, a było tego całkiem sporo, Julia wybiegła z pokoju. A potem z mieszkania, o czym świadczyło trzaśnięcie drzwiami. Tak się śpieszyła, że zapomniała założyć buty.

Malinowska sięgnęła po szklanekę stojącą na stole i zaniósła ją do kuchni. Był w niej sok z kiszzonej kapusty, jej zdaniem najlepsze lekarstwo na alkoholową niedyspozycję. Wylała zawartość do garnka, w którym ją gotowała. Chwilę później zabrała się do wyrabiania ciasta na pierogi. Robiła to w ciszy, zdawałoby się, w skupieniu. Tylko dobry obserwator zauważyłby, że w kącikach jej oczu pojawiły się łzy. No ale poza nią w tym mieszkaniu nie było nikogo, kto mógłby to dostrzec.

Była samotna.

Na własne życzenie. Dlatego też czasem wzbierał w niej żal, którego efektem był płacz.

Julia wbiegła do swojego mieszkania znajdującego się dwa piętra wyżej. Kiedy zamknęła za sobą drzwi i się o nie oparła, jakby uleciało z niej całe powietrze. Rzuciła torebkę na podłogę, ściągnęła sukienkę i zabrała się za zdejmowanie butów. Dopiero gdy dotarło do niej, że nie ma ich na stopach, uderzyła się otwartą dłonią w czoło, a potem poczuła, jak o jej nogę ociera się coś miękkiego.

– Teraz już wiem, że to wszystko, co mnie spotyka, to pokuta za to, że cię przygarnęłam. – Nachyliła się, podrapała kocura po czarnym jak smoła łebku, a potem ruszyła w stronę łazienki. Z każdym kolejnym krokiem w jej głowie odtwarzało się coś na kształt filmu z poprzedniego dnia. Można powiedzieć, że było to kino akcji. Kiedy wyszła z łazienki, pamiętała wszystko.

Wolałaby nie pamiętać.

Spojrzała na telefon. Może, uznała, może będę udawała, że ja tego nie pamiętam? No kto mi udowodni, że jest inaczej? Tak się akurat złożyło, że znalazł się ktoś, kto chciał udowodnić, że ona wcale żadnej amnezji nie ma. Było to jej sumienie.

Usiadła po turecku na kanapie i przez chwilę obracała telefon w dłoni. Najpierw pomyślała o tym, żeby wysłać Markowi SMS-a, w którym przeprosi go za swoje zachowanie. Potem uznała, że może lepiej wysmaruje do niego maila, takiego kwiecistego, pełnego skruchy i wielu przymiotników określających jego wspaniałość i jej infantylność. Koniec końców doszła do wniosku, że słowo mówione lepiej odda dramaturgię całej sytuacji. Nacisnęła na zieloną słuchawkę przy imieniu Marka.

– Dzień dobry, Julio. Jak miło, że dzwonisz – usłyszała jego głos, z którego, a jakże, nie mogła nic wyczytać.

– Przepraszam za wczoraj – brzmiała dość żałośnie, z czego nie do końca zdawała sobie w tym momencie sprawę.

– Jedno jest pewne, Łódź nie zapomni tej nocy bardzo długo.

– Wstydzę się siebie. – Zakryła twarz dłonią, chociaż przecież była w pokoju sama. Nie licząc oczywiście kota, który przyglądał się jej z ciekawością. I rozbawieniem. I chociaż Irysek pojęcia nie miał, co tym razem wywinęła jego ludzka przyjaciółka, przeczuwał, że to coś wyjątkowo zabawnego. Położył się na jej kolanach, żeby lepiej słyszeć rozmowę.

– Nie dramatyzuj – powiedział Marek. – Niedługo będziesz się z tego śmiała. W przeciwieństwie do mnie potrafisz. Ja wczoraj bawiłem się znakomicie i jeśli będziesz miała ochotę, możemy to powtórzyć.

– Chyba nie skorzystam z propozycji. Właściwie to na pewno z niej nie skorzystam.

– Za tydzień zmienisz zdanie.

– Marek, ja spędziłam tę noc u mojej sąsiadki, której naprawdę nie lubię. Zresztą z wzajemnością. Jak tylko mnie odprowadziłeś do domu, zamiast iść grzecznie na górę, zaczęłam się dobijać do drzwi jej mieszkania, bo postanowiłam przeprowadzić z nią w środku nocy rozmowę i wyjaśnić kilka spraw. Na przykład to, dlaczego oblałam ją brudną wodą z wiadra. Można powiedzieć, że to było wtargnięcie. Nie dopuściłam jej do słowa, co akurat dziwne nie jest, bo jak za dużo wypiję, to mi się buzia nie zamyka. No i zachciało mi się w trakcie tej rozmowy spać. I ona zaprowadziła mnie do łóżka. Żebyś ty wiedział, w jakim ja byłam szoku zaraz po przebudzeniu. Początkowo nie potrafiłam połączyć ze sobą faktów, no ale już wszystko sobie przypomniałam.

– Wszystko?

– Dokładnie tak. To, o czym myślisz, też. Dlaczego mnie nie powstrzymałeś? Mogłam sobie zęby powybić. Wszystkie!

– Wszystkich tobyś raczej nie wybiła.

– Marek!

– Ty naprawdę uważasz, że ktokolwiek byłby w stanie cię powstrzymać?

– No wiesz... – powiedziała, przyznając mu poniekąd rację, ale tylko w duchu. – To nie zmienia faktu, że zachowałam się bardzo nieodpowiedzialnie. To wszystko przez alkohol.

– Jak jesteśmy trzeźwi, zazwyczaj dochodzimy do wniosku, że to, co robiliśmy pod wpływem alkoholu, było nieodpowiedzialne, niedorzeczne i infantylne i tak naprawdę to wcale nie my to zrobiliśmy, tylko ten diabeł, co w nas siedzi i do rozruchu potrzebuje procentów. Nie zaprzeczam, że w wielu przypadkach tak właśnie jest. Ale są też ludzie, którzy dopiero po wypiciu czegoś mocniejszego potrafią spojrzeć w głąb siebie i zmierzyć się ze swoimi demonami. Osobiście znam kilka takich osób, które bez alkoholu nie potrafią się otworzyć na drugą osobę.

– Czy ty chcesz mi teraz powiedzieć, że pozwalasz pić swoim pacjentom w trakcie terapii?

– Wszystko zależy od indywidualnego przypadku, ale jeśli myślisz, że materiały do pracy kupuję w monopolowym, to się mylisz. Ludzie, którzy do mnie przychodzą, mają świadomość swoich słabych stron. Ja muszę ich nakierować na to, aby odnaleźli te mocne. Oni sami podpowiadają mi, w jaki sposób mam to zrobić. Na jednego zadziała rozmowa, na innego kojąca muzyka, a na jeszcze innego lampka wina.

– Nie chcę cię urazić, ale zaczyna mnie boleć głowa i raczej nie wyniosę z tej rozmowy nic dobrego. Chyba się zdrzemnę, a potem pójde poszukać tego, co wczoraj zgubiłam.

- Czyli czego?
- Szacunku do siebie samej.
- Moim zdaniem nie musisz. Do zobaczenia jutro.

– Do zobaczenia. – Julia miała zupełnie inne zdanie, ale brakło jej siły na uargumentowanie go, dlatego tuż po skończonej rozmowie zwinęła się w kłębek na kanapie i naciągnęła na głowę koc. Chwilę później zasnęła.

Marek tymczasem siedział na tarasie przed swoim domem i się uśmiechał. W myślach. Wczorajszy wieczór dał mu mnóstwo radości.

Najpierw poszli na Piotrkowską, zaliczając wszystkie lokale, które w swojej ofercie miały szybkie szoty. Gdy Julia oświadczyła, że ten wieczór powinien ociekać śmiechem, Marek przypomniał jej, że jeśli ktoś z nich ma się śmiać, to tylko ona. Nachyliła się wtedy do jego ucha i wyszeptwała, żeby się niczym nie martwił, bo ona będzie się śmiała za nich oboje. W bonusie zaśpiewała mu też kilka piosenek. Robiła to tak uroczo, że nie miał serca mówić jej, że okropnie fałszuje. Najwidoczniej nie odziedziczyła muzycznego talentu po dziadku.

Dość szybko wyrzucił z głowy to, że ktoś może ich obserwować i wyciągać błędne wnioski. Że ktoś może wyszydzać go, zastanawiając się przy okazji, co taka roześmiana kobieta robi z takim gburem jak on. Dla niego w tym momencie liczyła się tylko ona. Spijał każde słowo, które wypływało z jej ust, cieszył oczy jej unoszącymi się w górę kącikami warg. Był jej tak cholernie wdzięczny za to, że chciała tutaj z nim być, mając świadomość tego, z jakim on boryka się problemem.

Tak po prostu.

Kilka kolejek później Julia uznała, że wieje nudą i ona poszukałaby innych atrakcji. Marek doszedł natomiast do wniosku, że najlepiej, gdyby oddała się tym atrakcjom nieopodal swojego domu, bo jej stan wskazywał na to, że jeszcze chwila i trzeba będzie położyć ją do łóżka.

To znaczy odprowadzić pod drzwi.

Przylapał ją też na tym, że kilkakrotnie przyglądała mu się nieco dłużej. Jej wzrok spoczywał wtedy na jego ustach. Natomiast kiedy wyszli z lokalu, złapała go pod rękę i jakby nigdy nic ruszyli przed siebie, hen, ku przygodzie.

Czuł się w jej towarzystwie cudownie. Dokładnie tak chciał się czuć przy kobiecie, z którą mógłby spędzić resztę życia. Kiedy szli przed siebie, Julia trąkotała jak najęta, on z kolei myślał o tym, jak opatrność ich do siebie zbliżyła. Mało tego, jeszcze niedawno oboje z kimś byli, chociaż w jego przypadku to bycie ograniczało się do zaspokajania cielesnych potrzeb, i praktycznie w tym samym czasie zakończyli te relacje. No tak jakby wszystko sprzysięgło się po to, aby zbliżyć ich do siebie. Wszystko, czyli wszechświat.

– Może wejdziemy tutaj? – usłyszał głos Julii. Spojrzał najpierw na nią, potem przed siebie.

– Ile ważysz?

– No wiesz!

– Pytam, bo istnieje możliwość, no taka dziewięćdziesięcioprocentowa, że kiedy przekroczysz próg tego przybytku, będę musiał zanieść cię do domu. Znam to miejsce i jego bywalców dość dobrze. Zbiera się tutaj śmietanka ze wszystkich lokalnych bram.

– Wchodzimy!

Żeby dostać się do środka, trzeba było pokonać schody, które praktycznie w każdy weekend, a czasem i częściej, zbierały żniwo w postaci obtłuczonej, zwichniętej, a bywało, że i złamanej nogi. Kiedy Julia popchnęła wielkie mosiężne drzwi, zaczęła kaszleć. W pomieszczeniu było siwo od dymu papierosowego.

– To tutaj wolno palić? – zapytała.

– Tutaj wolno wszystko – padło z ust Marka. – Chodź do baru. – Wskazał jej, aby szła przodem. Nim zrobiła krok, usłyszała chrapliwy i przepity głos.

– Po co tu przylazłeś? – Autorem tego pytania był zakapiorowaty facet z wielkim siniakiem pod lewym okiem, nosem złamanym w trzech miejscach i widocznymi brakami w uzębieniu. W uszach miał kolczyki, na czole kępkę włosów, na piersi koszulkę z Maradoną. Wizualny wiek oscylował w granicach pięćdziesiątki, chociaż mężczyzna mógł być dużo młodszy. Albo starszy.

– Nie widziałem na drzwiach swojego zdjęcia z podpisem „tego pana nie obsługujemy” – padło z ust Marka. Julka parsknęła.

– Synek! A co ty tu robisz? – Dosłownie w ciągu sekundy pojawił się obok nich nie kto inny, jak Zenek. Poklepał Marka po plecach, Julię ucałował w dłoń i zwrócił się do mężczyzny, który ich zaczął: – Zobacz, czy nie ma cię na zewnątrz.

– Dobra, już dobra. – Zakapior kiwnął ręką i odszedł w poszukiwaniu innej zaczepki. Było bardziej niż pewne, że ją znajdzie. Nie miał już nic do stracenia, nawet zębów.

– Nie przejmujcie się tym głupkiem – powiedział Zenon. – On matki od roweru nie odróżnia. Zapraszam do naszego stolika. – Wykonał zamaszty ruch ręką i pokierował ich w sam róg sali. Przy stole, do którego podeszli, siedziało dwóch mężczyzn, nieodłącznych kompanów Zenka Rubachy. Bolek i Waldek.

– Zapraszamy, zapraszamy – mówili jeden przez drugiego.

Kiedy Julia patrzyła na Marka i na tych trzech mężczyzn, była w najprawdziwszym szoku, z jakim szacunkiem oni wszyscy się do siebie odnoszą. Nie umknęło jej też to, że Zenon co chwilę klepał Marka po plecach i zwracał się do niego per „synek”. W pewnym momencie kichnęła, a nim zdążyła odjąć dłonie od nosa, w jej stronę zostały wyciągnięte trzy chusteczki wielorazowego użytku, które najprawdopodobniej ostatnim razem prane były w święta Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Albo nigdy. Julia spojrzała na Marka, a potem przełknęła ślinę, zastanawiając się nad tym, jak wybrnąć z tej sytuacji, nie urażając żadnego z nich.

– To wy nie wiecie, że darowane chusteczki przynoszą pecha? – zapytał ich Marek. Młyny trzech mężczyzn świadczyły o tym, że nie mają pojęcia o takim przesądzie. Nie pozostało więc nic innego, jak naprowadzenie ich na prawidłowy trop i zadanie pomocniczego pytania. – A dlaczego niby rycerze wyginęli?

– Mareczek, ty to nawet mądry jesteś – powiedział Bolek, najgrubszy z całej trójki.

– Bez nawet. – Wstał i podszedł do baru, żeby chwilę później wrócić z jednorazowymi serwetkami. Julia posłała mu uśmiech pełen wdzięczności. Kiedy tak siedziała przy stoliku, otoczona tymi mężczyznami, a jej udo stykało się z udem Marka, chociaż wcale nie musiało, bo miejsca było wystarczająco, aby każde z nich siedziało swobodnie, nie w żadnym ścisku, myślała o wielu rzeczach. O tym, że Marek jest cudownym człowiekiem i chociaż się nie uśmiechał, to czuć było od niego dobro. O tym, że wraz z poznaniem go zakończyła związek z Piotrkim, o ile w ogóle to, co ją z nim łączyło, można było nazwać jakimkolwiek związkiem, no ale niech już będzie. O tym, że miała cholerną ochotę go pocałować, też myślała. O tym, że za dużo wypila, nie pomyślała wcale. Za to kiedy tylko wywołano ją do kieliszka, bardzo szybko wlała jego zawartość do gardła.

– Mocne! – odstawiła szkło na stół. – Wydaje mi się, że to, co miałam dziś wypić, wypilałam. Co tutaj można robić dla zabicia czasu?

– Kiedyś jeden taki zjechał na sankach po schodach. Świeć, Panie, nad jego duszą – zachichotał Zenek.

– Cóż za dosłowna odpowiedź na moje pytanie. Zabił się? Serio? – zapytała, pełna trwogi, ale też łasa na dalszą część tej opowieści.

– Zapił. Dwa lata później. A to „kiedyś” miało miejsce ze trzy lata temu. Od tej pory nie było odważnego, który powtórzyłby ten wyczyn. Jeszcze niedawno nad barem wisiały zęby tego delikwenta. Jak on miał na imię?

– Stachu – powiedział Waldek, najchudszy z całego grona.

– Wkręcacie mnie. – Julia patrzyła na nich z powątpiewaniem.

– Panie, broń! To prawda! No jakbyśmy mogli? – Zaczęli się przekrzykiwać.

– No to gdzie są te schody? I te sanki? – zapytała takim tonem, jakby chciała uzyskać informację o tym, skąd odjeżdża najbliższy pociąg do Krakowa.

– Mareczek, wybij jej to z głowy – powiedział Zenek. – Bądź odpowiedzialny za swoją przyjaciółkę.

– Jedną z moich wad jest to, że jak ktoś mi mówi „nie wolno”, to ja się go pytam „a szybko mogę?”. Panowie prowadzą do tych sanek. – Wstała, oparła dłonie o blat i patrzyła wyczekująco pijanym wzrokiem na towarzystwo zebrane przy stoliku. Mina Marka była, wiadomo, obojętna. Mina Bolka – przerażona, a Waldka – jakby rozbawiona. Zenek zmrużył oczy, trzasnął dłonią w blat i wstał.

Przez chwilę patrzył na Julię, aż w końcu pokręcił głową i powiedział:

– Mam tylko nadzieję, że jesteś ubezpieczona na wypadek... No, na jakikolwiek wypadek.

– Raczej wątpię, aby moja śmierć kogokolwiek obeszła. – Zaczęła się śmiać, ale kiedy zobaczyła miny trzech mężczyzn, bo Marek wyglądał jak zwykle tak samo, przestała się chichrać. – Ja chcę tylko zobaczyć te schody. I te sanki. Tylko zobaczyć.

I zobaczyła. Znajdowały się one w sąsiedniej kamienicy, która sprawiała wrażenie opuszczonej. Nic bardziej mylnego. Większość lokatorów obecna była w pubie.

– No i co? – Zenek zaplótł dłonie na piersiach i popatrzył na schody z takim przejęciem, jakby prowadziły co najmniej na szczyt Mount Everestu, a nie na pierwsze piętro.

– Ja bym jednak spróbowała – powiedziała, a Zenek aż sapnął. Nim zdążył wyrazić swoje oburzenie, Julia mówiła dalej: – Co może mi się stać? To raptem dziesięć stopni jest. Niezbyt stromych, raczej szerokich, zdaje się też, że dobrze wyprofilowanych. Pójdzie jak po maśle. W najgorszym wypadku zatrzymam się na ścianie.

– Synek, ty zawsze taki rozsądny byłeś. No, weno jej co powiedz! – Zenek, mimo że najbardziej pijany, zachował największą trzeźwość umysłu.

– Zdążyłem poznać ją na tyle, że wiem, że nie odpuści. Jest uparta. To znaczy wytrwała w dążeniu do celu. Tak że jeśli nie zrobi tego teraz, to przyjdzie tutaj sama i zjedzie na tych sankach, bo nie będzie mogła spać po nocach. To chyba lepiej, że tutaj jesteśmy i w razie czego będziemy mogli jej pomóc. No i najważniejsze: wstrząs mózgu ma zbawienny wpływ na zawartość oleju w głowie. Słyszałeś o tym? – Marek podsumował swoją wypowiedź pytaniem.

– I w razie potrzeby zrobimy jej sztuczne oddychanie – podpowiedział Waldek, zacierając dłonie.

– Nie toleruję laktozy i sztucznego oddychania – powiedziała Julia i zaczęła się wdrapywać po schodach, ciągnąc za sobą sanki. Ustawiła je na ostatnim stopniu i usiadła na nich. Odważny alkohol krążący w jej żyłach rozpościerał przed nią wizję odniesionego zwycięstwa. Już wieszkała na swojej szyi medal. Już gratulowała sobie mocnym uściskiem dłoni. Już tańczyła taniec zwycięstwa. Już dostawała odznakę honorowego obywatela miasta. Tyle tylko, że trzeźwa odrobina zdrowego rozsądku, jaka jej jeszcze została, podpowiadała coś wręcz odwrotnego: że to nie ma prawa się udać, a ona osieroci kota, ewentualnie dołączy do swoich roślinek. I właśnie to

sprawiło, że po minucie rozważania za i przeciw zrezygnowała z tego głupiego pomysłu. Bo właśnie taki się Julii w tym momencie wydał.

Głupi, niedojrzały, niebezpieczny i płytki. Typowy dla alkoholowego upojenia.

– Mam czekać na ciebie jak na pendolino w Zgierzu? – usłyszała dobiegający z dołu głos Marka. To mu się na żarty zebrało, pomyślała. Już, już chciała wstać i z godnością oświadczyć, że ona jednak rezygnuje, bo właśnie przed momentem ujrzała Matkę Boską, która niezwłocznie kazała im wracać do pubu, no ale... Jako że siedziała już na tych sankach, które chygotały się mało bezpiecznie, a raczej niebezpiecznie... chwilę później pędziła w dół, a z jej gardła wydobył się głośny wrzask. Zjazd trwał może sekundę, może dwie, a Julii przed oczyma przebiegło całe jej życie.

– Mam cię. – Nim wylądowała twarzą na ścianie, poczuła, jak ktoś ją chwyta i podnosi, a potem tuli do siebie. Ten ktoś pachniał bezpieczeństwem wymieszanim z cytrusami. Miała zaciśnięte powieki i bardzo nie chciała ich otwierać. Odsuwać się od swojego cytrusowego koła ratunkowego też nie miała zamiaru.

– Jezusie i Mario, Józefie Święty! Mam zawał! – krzyczał Zenek, łapiąc się za serce.

– No i zjechała! – krzyknął Waldek.

– Zjechała – wysapał Bolek, ocierając spocone czoło.

– Muszę na chwilę usiąść – wyszeptła Julia, wczepiając się mocniej w Marka.

– Ja to się muszę napić – powiedział Zenek. Bolek i Waldek mu zawtórowali, a potem cała trójka, po wcześniejszym upewnieniu się, że to się już więcej nie powtórzy, wyszła z kamienicy.

Julia usiadła na sankach. Marek ukucnął obok niej. Przez chwilę trwali w milczeniu, aż w końcu ona uspokoiła oddech, spojrzała mu w oczy i powiedziała:

– Nie lubię w sobie tego, że jak się na coś uprę, to muszę to zrobić. A już najgorsze jest to, że chcę tym samym udowodnić sama sobie, że jestem w stanie sprostać każdemu wyzwaniu. Nie myślę wtedy o konsekwencjach. – Na chwilę spojrzała na swoje splecione dłonie, a potem znowu na niego. – Marek, czy ty też miałeś trudne dzieciństwo? Czy ciebie też oceniali przez to, jak wyglądasz?

– Też – powiedział i usiadł obok niej. – Mówili o mnie „smutne dziecko”. Na początku wszyscy, to znaczy mądre ciotki, uważały, że z tego wyrosnę. Potem mówiły, że taki jestem i trzeba z tym żyć. Aż w końcu przypięto mi łatkę przygłupa. W sumie do dziś ją noszę.

– Jesteś najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znam, więc nie rozumiem, jak ktokolwiek mógł tak o tobie mówić. – Chociaż słowa te wypowiedziane były nieco niewyraźnie, za co odpowiadał popłątany alkoholem język Julki, były bardzo szczere.

– Ludzie nie potrzebują cię znać, żeby mieć o tobie wyrobione zdanie. Często bardzo mylne. Zupełnie inaczej jest z dziećmi. Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, dlaczego małe dzieci po jednym spojrzeniu na kogoś potrafią powiedzieć, że ta osoba wzbudza w nich sympatię lub antypatię?

– No nie, jakoś nie myślałam o tym.

– Bo dzieci czują. Wyczuwają intencje drugiego człowieka. Tak samo jest z nami, dorosłymi, tyle tylko, że te nasze, nazwę to: zdolności są jakby uśpione. Mało tego, bardzo często to my sami je tłumimy, bojąc się ich. Każdy z nas jest wyjątkowy. Tylko nie każdy potrafi nadać tej swojej wyjątkowości cechy charakteru. A jeszcze częściej myśli o sobie, że jest nijaki, nic nie potrafi, do niczego się nie nadaje i tak naprawdę nie ma sensu próbować, bo przecież i tak mu się nie uda. Z góry skazuje się na porażkę i tkwienie w marazmie. Cóż, nie na darmo mówi się, że jesteśmy kowalami własnego losu. Szkoda tylko, że w większości przypadków tłuczemy się młotem po głowach. I to cholernie boli.

– Możesz mi to wszystko powiedzieć jeszcze raz? Tylko tym razem drukowanymi literami, żeby każde słowo do mnie dotarło.

– Wystarczy, że przestaniesz pozwalać innym na przejmowanie kontroli nad sobą.

– Jeśli masz na myśli Piotrka, to już tak nie jest. Owszem, potrzebowałam trochę czasu, żeby to do mnie dotarło. No i dotarło. – Zdaniom tym towarzyszyła bardzo mocna gestykulacja.

– Mam na myśli twoją mamę. Dlaczego do niej pojechałaś?

– Mam wrażliwość Kubusia Puchatka.

– I serce miękkie jak jego futerko?

– Mama poprosiła mnie o to. Trzeba było umyć okna i wypielić ogródek. Takie tam porządki – powiedziała bardzo cicho, wykręcając sobie palce.

– Poprosiła?

– No, kazała mi przyjechać. Ale co to za różnica?

– Ogromna. Ile lat ma twoja mama?

– Pięćdziesiąt dwa.

– Jest chora? Ma problemy z wykonywaniem pewnych czynności?

– Nie, jest okazem zdrowia.

– To dlaczego sama tego wszystkiego nie zrobiła? Dlaczego, wiedząc, że ty zaczynasz nową pracę, kazała ci rzucać wszystko i przyjeżdżać? A może powinienem zapytać o to, dlaczego ty rzucasz wszystko i biegniesz do niej jak tresowany piesek?

– Ja wcale...

– Nie wypieraj. Akceptuj. Odnoszę wrażenie, że twoja mama ma nad tobą kontrolę. Ty natomiast nawet nie pomyślisz o tym, żeby się jej przeciwstawić. A gdybyś jednak jakimś cudem zdobyła się na to, ona wpędziłaby cię w takie poczucie winy, że nie byłoby sensu, żebyś się z niego wygrzebywała, ponieważ zajęłoby ci to tyle czasu, że chwilę później ponownie włożyłabyś do tego smętnego dołu. Tym razem na zawsze.

– Moja mama... Ona zawsze mi mówiła, że jestem dziwadłem. Że mam wstrętne oczy. Wiesz, jak byłam mała, chciałam je sobie wydłubać. Myślałam wtedy, że jak to zrobię, to ona będzie mnie kochała. Dziś wiem, że cokolwiek dla niej zrobię, ona tego nie doceni.

– A mimo wszystko masz zamiar przy niej trwać, bo to twoja mama. I nawet jak ona będzie leżała na przysłowiowym łożu śmierci i na ciebie pluła, ty powiesz, że to tylko deszcz.

– Ale ja naprawdę nie wiem, co mam robić. To moja mama. Ja...

– Wyobraź sobie, że jesteś robocikiem i ktoś wgrał ci programy. Jeden odpowiada za to, że wolisz morze bardziej od gór. Drugi ma wpływ na twoje upodobania do jedzenia kwaśnych rzeczy, a kolejny – na to, co powinnaś robić, a czego nie. A gdybyś tak skasowała te programy i wgrała sobie nowe?

– To znaczy?

– To znaczy, że wszystko jest, o, tutaj. – Stuknął ją czubkiem wskazującego palca w czoło. – Wszystko. Każdy lęk i każda radość. Poczucie bezpieczeństwa i pewność siebie. Chęć i niechęć. To ty sterujesz swoim życiem. To ty jestem bogiem. Uświadom to sobie.

– Marek...

– Co? Za trudne?

– Warte przemyślenia. Świetny z ciebie facet. Chciałam ci też powiedzieć, że kiedy zobaczyłam cię pierwszy raz, byłam, może nie przerażona, ale mocno zdziwiona twoim wyglądem. Tak negatywnie zdziwiona. Przepraszam. Jest mi cholernie wstyd, bo przecież sama w dzieciństwie doświadczyłam tak wielu szykan ze strony osób, które zobaczyły mnie tylko raz na oczy i wyrobiły sobie o mnie opinię. Dopóki nie powiedziałeś mi o tym swoim modusie...

– Moebiusie.

– Oj, wiesz, o co mi chodzi. – Machnęła dłonią. – Ja pojęcia nie miałam, że istnieją ludzie, którzy nie potrafią się uśmiechać. Dla mnie było to jakby oczywiste, że bywamy szczęśliwi i smutni i potrafimy to okazywać. Od czasu, kiedy jestem bogatsza o te informacje, baczniej przyglądam się ludziom. Obserwuję ich i zastanawiam się, jaka historia skrywa się w każdym ciele. Czy ten uśmiech, który mają na ustach, jest prawdziwy czy może przywdziany na potrzebę chwili.

– Każdy jest sobą na tyle, na ile potrafi.

– Uważasz, że jestem prawdziwa?

– Mnóstwo ludzi nosi maski i ukrywa swoje prawdziwe oblicze. Ale nie ty. Ty jesteś naturalna i we wszystko, co robisz, wkładasz całe swoje serce. Dlatego też tak łatwo można cię zranić.

– Taaaak, maaaasz raaaację. – Zaczęła ziewać. – Przepraszam. Nie nudzisz mnie, ale czuję zmęczenie.

– Wracamy?

– Tak. I fajnie, że mogę na swojej liście rzeczy, które chciałam zrobić przed śmiercią, odhaczyć jazdę na sankach po schodach. W środku lata. Bez ofiar w ludziach. Nawet nie wiedziałam, że zawsze o tym marzyłam.

– Bo w życiu chodzi o to, żeby być szczęśliwym. – Wstał i wyciągnął do niej dłoń. Julia ujęła ją i puściła dopiero pod swoją kamienicą. Czowała się trochę tak, jakby wracała ze szkolnej dyskoteki, na którą zawsze chciała pójść, ale nigdy nie mogła, bo się wstydziła. Mało tego, okazało się, że odprowadził ją do domu może nie najprzystojniejszy mężczyzna zamieszkujący tę galaktykę, ale na pewno najmiłszy. I jedno trzeba było mu przyznać: chociaż uśmiechać się nie potrafił, to poczucie humoru miał naprawdę przednie. Był też bardzo męski, a ta jego wada, przynajmniej w oczach Julii, była tak samo tajemnicza co fascynująca. Jego towarzystwo dawało jej wiele powodów do uśmiechu. Zdanie Marka o Julii było bardzo podobne, tylko trzeba było zmienić końcówki na rodzaj żeński.

Julia zniknęła w bramie, więc Marek nie mógł wiedzieć, że ledwo pokonała trzy schodki, cofnęła się, żeby stanąć pod mieszkaniem swojej sąsiadki. Nie mógł też wiedzieć tego, że to rozmowa z nim sprawiła, że stała się taka odważna, a przynajmniej w tym momencie nie można jej było odmówić owej odwagi. Nie mógł wiedzieć również tego, że zaczęła na zmianę walić pięścią w drzwi i dzwonić dzwonkiem, mając gdzieś to, że jest trzecia w nocy.

Wiedział za to coś innego. Coś, co sprawiło, że siedząc na tylnej kanapie taksówki, która wiozła go do domu, z przyjemnością wsłuchiwał się w utwór zapodany w jednej ze stacji.

(...) Miłość to nie pluszowy miś ani kwiaty.

To też nie diabeł rogaty.

Ani miłość, kiedy jedno płacze,

A drugie po nim skacze.

Miłość to żaden film w żadnym kinie

Ani róże, ani całusy małe, duże.

Ale miłość – kiedy jedno spada w dół,

Drugie ciągnie je ku górze¹.

¹ Fragment piosenki *Zanim pójdę* zespołu Happysad.

Rozdział 11

– To biurko nigdy nie było takie ładne.

– Dlaczego?

– Bo przy nim siedzisz.

Marek przed momentem pojawił się w recepcji, a Julia oparła łokcie na blacie ładnego biurka i patrzyła na swojego szefa, który praktycznie od pierwszego dnia jej pracy zasypywał ją komplementami. Pracowała u niego już ponad miesiąc, a co najważniejsze, nikt z tego powodu nie ucierpiał. Raz tylko uderzyła pacjentkę drzwiami w nos. Połała się wtedy co prawda krew i kawa, którą Julia niosła Markowi, ale do większych uszkodzeń ciała nie doszło.

– Coś się stało? Jestem brudna? – zapytała, kiedy on od dłuższego czasu tylko się na nią patrzył, no i wiadomo: nie mogła wyczytać z jego twarzy kompletnie nic.

– Podoba mi się twoja fryzura – powiedział, a potem zrobił krok do przodu, żeby nachylić się nad biurkiem, wyciągnąć dłoń i założyć jej za ucho jeden z kosmyków. Jego ręka przesunęła się w sposób bardzo zmysłowy. I bardzo powolny. I bardzo dotykający policzka Julii też.

To już dawno przestała być relacja szef–podwładna. To było coś więcej.

– Ja się przecież codziennie tak czeszę – odpowiedziała, przełykając ślinę. Jej żołądek zaczął sygnalizować ucisk. Taki przyjemny, pobudzający, podniecający nawet.

– I codziennie mi się podobasz. – Oparł obie dłonie o blat biurka i wwiercał się w nią swoim spojrzeniem. I chociaż jego twarz nie wyrażała nic, to jego oczy... o tak, te aż płonęły z pożądania i Julia doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Pewnie dlatego spłonęła rumieńcem, przełknęła ślinę i już otwierała usta, żeby mu powiedzieć, że i ona lubi na niego patrzeć, kiedy zadzwonił jej telefon. Na wyświetlaczu pojawiła się „mama”. Nie miała z nią kontaktu od dnia, kiedy to bez jakiegokolwiek zająknięcia pojechała do niej, żeby pomyć okna i wypielić ogródek. Najprawdopodobniej znowu czegoś chciała.

Może ogród znowu zarósł? A może ptaki zapaskudziły okna i trzeba było je od nowa myć?

– Halo. – Głos Julii jakby z automatu nastawił się na potulność, co naturalnie nie umknęło Markowi.

– Musisz jeszcze dziś do mnie przyjechać. – Głos matki był... no, może nie miły, ale na pewno nie opryskliwy, jak to miała w zwyczaju.

– Stało się coś?

– Jeszcze nie, ale się stanie. – Miała wrażenie, że jej mama za moment się rozplacze. – Musisz... musisz natychmiast... musisz do mnie przyjechać... natychmiast...

Julia spojrzała na zegarek wiszący na ścianie. Dochodziła szesnasta, więc praktycznie za momencik kończy pracę. Uznała, że pojedzie do Łowicza, mając oczywiście świadomość tego, że może to spotkanie ciężko odchorować. Co, swoją drogą, było pewne.

– Postaram się...

– Ty nie masz się starać! – krzyknęła Honorata, przerywając jej w pół zdania i dając tym samym do zrozumienia, że w kwestii strofowania córki wszystko po staremu. Najwidoczniej tych kilka wcześniejszych zdań było wypowiedzianych w przypływie jakiejś słabości, która tymczasowo ją ogarnęła. Słabości, która już dawno poszła w zapomnienie. – Ty masz dziś do mnie przyjechać!

– Dobrze, mamo, przyjadę najszybciej, jak tylko będę... – Matka rozłączyła się. – Jak tylko będę mogła. – Julia usłyszała swój własny głos. Nie chciała patrzeć w tym momencie na Marka, mając świadomość tego, co on może sobie o niej pomyśleć. No przecież po tym jej

słynnym zjeździe ze schodów odbyli rozmowę, w której poruszony został pewien drażliwy temat. W wielkim skrócie Julia miała stać się zdecydowanie bardziej stanowcza w relacjach z własną rodzicielką. Najwyraźniej stanowczość owa stała sobie w kolejce i czekała na inne czasy, trudno stwierdzić, czy lepsze, czy gorsze. Inne.

Prawdopodobne było jednak, że one nigdy nie nadejdą.

– Potrzebujesz pomocy? – usłyszała głos Marka. Spojrzała na niego. Dzieliło ich jakieś dziesięć centymetrów, bo on w dalszym ciągu się nad nią nachylał. Wszystko wskazywało, że trwał tak przez całą jej rozmowę z mamą i słyszał ich dyskusję.

– Czy... czy mogę wyjść dziś wcześniej?

– Kończymy za piętnaście minut, więc nie widzę przeciwwskazań. Czy mogę ci jakoś pomóc? – Powoli swoje pytanie.

– Ja... Nie, dam sobie radę. Muszę jechać do mamy.

– Musisz?

– Marek... – Obie tęczęwki, zarówno niebieska, jak i brązowa, zaszczyły łzami. – Muszę. Nie potrafię inaczej. To moja mama. To nie jest takie łatwe.

– Mogę cię zawieźć, jeśli chcesz. – Nie należał do osób, które kogokolwiek do czegokolwiek by przekonywały, wychodząc z założenia, że z dorosłymi jest tak samo jak z dziećmi, czyli najpierw muszą się oparzyć, żeby zrozumieć, że pieca się nie dotyka. Najwidoczniej Julia potrzebowała się oparzyć kilka razy.

– Nie, nie trzeba, ale bardzo ci dziękuję za pomoc. Ja... będę się już zbierała. Chciałabym zdążyć na najbliższego busa. Jeszcze raz dziękuję za wyrozumiałość – mówiąc to wszystko, czuła się jak kretynka. Jak naiwna idiotka, która zawsze zatańczy tak, jak matka jej zagra. I co najgorsze, nie umiała zmienić tych kroków na swój rytm. Wybiegła z budynku i popędziła przed siebie. Zatrzymała się dopiero na przystanku, z którego odjeżdżały busy do Łowicza, to znaczy przy zbiegu ulic Piłsudskiego i Sienkiewicza. Był to drugi koniec deptaka Piotrkowskiej, plus trzeba było doliczyć jeszcze kilkaset metrów w lewą stronę. Dla przypomnienia, Julia znajdowała się na przeciwnym krańcu reprezentacyjnej ulicy Łodzi, zaraz przy placu Wolności. Pokonała ponad cztery kilometry, na zmianę truchtając i biegnąc sprintem. Miała kolkę i aż mdliło ją od wysiłku, dlatego gdy tylko dotarła na miejsce, usiadła na niskim murku, który znajdował się nieopodal przystanku, i próbowała zapanować nad nerwami. Na busa czekała dwadzieścia minut. Kiedy przekroczyła próg swojego rodzinnego domu, zegarek w telefonie wskazywał osiemnastą.

– Nareszcie jesteś – padło z ust matki. Sprawiała wrażenie bardzo zniecierpliwionej.

Honorata Radosna miała pięćdziesiąt dwa lata i na pierwszy rzut oka można było dać jej tak z pięć mniej. Dopiero kiedy człowiek się nieco bardziej przypatrzył, dostrzegał, że jej twarz pokrywa gruba warstwa maskującego makijażu. Jej usta były wiecznie ściśnięte, a oczy zmrużone w bardzo brzydki sposób. Była drobna i niska, jej włosy miały kolor ciemnego blondu. Farbowanego.

– Co się stało? – Julia usiadła przy stole, który kojarzył się jej z najgorszym okresem w życiu. To właśnie tutaj, w kuchni, podejmowane były najważniejsze decyzje. Ta o wyrzuceniu jej z domu też została tutaj podjęta. Wcześniej jednak poszedł w ruch skórzany pas. Na samo wspomnienie lania, jakie wtedy dostała, poczuła mdłości. Było to tak samo bolesne, co upokarzające.

– Musisz przepisać na mnie swoje mieszkanie – padło z ust matki. Darowała sobie powitalne wstępy i wcale nie chodziło o pytania dotyczące się samopoczucia jej córki. Zazwyczaj, kiedy Julia przyjeżdżała do domu, Honorata witała ją wiązańką wyrzutów. Wiązańka ta była pleciana skrzętnie przez wiele, wiele lat.

– Słucham?

– Musisz przepisać na mnie swoje mieszkanie.
– Nie rozumiem...
– Jakoś mnie to nie dziwi. – Matka strzepnęła niewidzialny pyłek ze swojej czerwonej spódnicy, a potem spojrzała na córkę. – Zaszły pewne nadzwyczajne okoliczności, które wymagają ode mnie znacznych nakładów finansowych. Potrzebuję twojego mieszkania. Pod kredyt.

– Jaki kredyt? Jakich nakładów finansowych? Jakie okoliczności? Mamo, w co ty się wplątałaś? – Może nie był to krzyk, raczej nieco bardziej uniesiony głos. Julia w tym momencie nie panowała nad nerwami, a co dopiero nad swoją tonacją.

– Nie życzę sobie, żebyś w tym domu podnosiła głos!

– Ale...

– Czego ty, do jasnej cholery, nie rozumiesz? Potrzebuję pieniędzy. – Uderzyła dłonią w stół, co znaczyło ni mniej, ni więcej tylko „Ja mam zawsze rację, a ty milcz!”.

– Przecież masz pieniądze. Sprzedałaś dom po dziadkach. – Julia strasznie przeżyła sprzedaż domu, który kojarzył się jej z ciepłem i miłością. I z pierogami babci Lenki. I ze spokojem. Pomijając to wszystko, mama przytuliła za niego naprawdę pokazną sumkę. Było wręcz niemożliwym, aby zdążyła ją już wydać.

No, chyba że jednak zdążyła. Tylko, do jasnej cholery, pomyślała zdezorientowana Julia, na co? Złote donice do kwiatów?

– Będziesz mi wyliczała każdy grosz? Wychowałam cię, a ty taka niewdzięczna jesteś? Jak śmiesz? – Dało się słyszeć krzyk Honoraty. – Twoim obowiązkiem jest pomaganie potrzebującej matce!

– A co, jeśli ty tego kredytu nie spłacisz? Co ze mną? Gdzie ja się podzieję, jak zabiorą mi mieszkanie? – Julia odważyła się popuścić nieco wodze wyobraźni. O to, na co ten kredyt jest potrzebny, chociaż nawet nie wiadomo, o jakiej sumie była mowa, nie zapytała. Miała niemal sto procent pewności, że się tego nie dowie.

Miała rację.

– Coś sobie wynajmiesz. Masz przecież robotę. – Honorata wypowiedziała te słowa najnormalniejszym w świecie tonem, jednak tak naprawdę w środku cała się gotowała. Była w tym momencie wściekła, i to nie tylko na swoją pożał się Boże córkę, ale też na swoich rodziców, którzy rozpieścili ją do granic możliwości. – No, co się tak gapisz? Języka w gębie ci brakło?

Była to poniekąd prawda, bo Julia naprawdę straciła w tym momencie zdolności artykulacyjne. No nie miała pojęcia, jak wydobyć z siebie zdanie takie, jak chociażby głośne i stanowcze „NIE MA TAKIEJ MOŻLIWOŚCI!”. O jeszcze bardziej wymownym „MAMO, CIEBIE TO CHYBA POJEBAŁO!” nawet nie pomyślała.

– Ale ja to mieszkanie dostałam od babci i dziadka – wyszeptala, lecz na tyle głośno, aby słowa te dotarły do uszu porządnie wkurzonej Honoraty.

– I co z tego? Uważasz, że za to wszystko, co mi zrobiłaś, zasługujesz na to mieszkanie? Ono od początku powinno być moje.

– Ale co ja ci takiego zrobiłam? No, co? – Nozdrza Julii drgały coraz szybciej, jej dłonie natomiast zacisnęły się w pięści. Była niczym tykająca bomba zegarowa, a przebywała w jednym pomieszczeniu z matką może dwie minuty. Może trzy. Wielce prawdopodobnym było, że za chwilę dojdzie do wybuchu.

– Ty pytasz, co mi zrobiłaś? To ja ci powiem, co mi zrobiłaś! Urodziłaś się! Poświęciłam swoje życie i swoją pracę, żeby donosić ciążę i wydać cię na świat! Ty nie masz pojęcia, ile ja wycierpiałam, kiedy się rodziłaś! Ty nie masz pojęcia, co ja czułam, kiedy twój ojciec musiał

wyjechać, żeby na ciebie zarobić! Kiedy zostawił mnie samą! Kiedy umierał, a mnie nie było obok, bo musiałam podcierać twój zasrany tyłek!

Czy słowa te zrobiły na Julii wrażenie? I tak, i nie. To, że matka obwiniła ją o wyjazd i przedwczesną śmierć taty, było niejaką tradycją. Kilka razy w roku Julka musiała usłyszeć od niej parę gorzkich słów. Ale tego, że żałuje, że ją urodziła, nigdy nie powiedziała na głos. Nigdy, aż do teraz. Zabolalo bardziej niż upadek z roweru na czarnej szlacy w dziewięćdziesiątym trzecim.

– Tak, jak powiedziałam...

– Nie zrobię tego. – Nie były to może zbyt stanowcze i pewne siebie słowa, ale najważniejsze, że się pojawiły. Że w końcu odważyły się poinformować otoczenie o swoim istnieniu. I zdaniu.

– Słucham?

– Nie przepiszę mieszkania na ciebie.

To był moment. Chwila.

– Niewdzięczny bachor! – Honorata wyglądała w tym momencie jak wściekły byk. Brakowało jej tylko rogów. Wstała od stołu i zamachnęła się po to, aby jej dłoń wylądowała na twarzy córki. Nie był to pierwszy raz, kiedy podniosła rękę na Julię. Ale po raz pierwszy Julia tak bardzo odczuła to uderzenie. – To moje ostatnie słowo. Mieszkanie zostanie przepisane na mnie. Jak tylko umówię notariusza, poinformuję cię o tym. A teraz wyjdź stąd, już i tak wystarczająco zmarnowałeś mój czas.

Julia chciała w tym momencie bardzo głośno krzyknąć, że jeśli ktokolwiek tutaj marnował czyjś czas, to tą osobą na pewno nie była ona. Chciała, ale wiedziała, że to nie ma sensu. I było jej też niedobrze. I zaczęła boleć ją głowa. I brzuch. I chyba nawet paznokcie i włosy ucierpiały w tym starciu. Wyszła z domu i ruszyła w kierunku przystanku autobusowego. Dopiero kiedy się na nim znalazła, uświadomiła sobie, że nie ma jak wrócić do swojego własnego domu. Ostatni bus odjechał godzinę temu.

Uspokój się, pomyślała, siadając na chwilę na ławce. Myśl. Coś wymyślisz. Nim jednak wymyśliła, żeby iść na dworzec kolejowy, co było bezpieczniejsze niż łapanie stopa, które z jej pechem najpewniej zakończyłoby się wycieczką do jakiegoś burdelu za zachodnią albo wschodnią granicę kraju, zadzwonił telefon. Mocno zrezygnowanym ruchem dłoni sięgnęła do torby.

Marek. Dzwonił Marek.

– Bardzo cię przepraszam, ale to nie jest dobry moment na rozmowę – powiedziała głosem pozbawionym, a jakże, radości. Standard po wizycie u matki.

– Wiem.

– No to skoro już zobaczyłeś w tej swojej szklanej kuli, w jakim jestem nastroju, to sprawdź mi, proszę, o której godzinie odjeżdża najbliższy pociąg z Łowicza do Łodzi. – Oparła łokieć na kolanie po to, aby na dłoni oprzeć czoło.

– Moje informacje nie pochodzą ze szklanej kuli. Pojechałaś do mamy. Wiem, jakie łączą was relacje. Natomiast co do transportu do Łodzi, to za chwilę ci takowy zapewnię.

– Słucham? Aua! – Uniosła głowę z takim rozmachem, że uderzyła w metalową belkę znajdującą się za jej potylicą. – Cholera! – zawyła. Nie dość, że doskwierał jej ból psychiczny, to jeszcze fizycznie czuła się fatalnie.

– Co się stało?

– Uderzyłam się, poczekaj moment. – Potrzebowała chwili na dojście do siebie. – Już. Czy ja cię dobrze zrozumiałam? Ty jedziesz do Łowicza?

– Nie.

– A, to przepraszam, musiałam się przesyłsząć. – Ogarnął ją smutek. I to nie dlatego, że będzie musiała wracać do domu pociągiem, a dlatego, że przez ułamek sekundy poczuła, iż jest na tym świecie ktoś, dla kogo ona jest ważna. Kto się o nią troszczy. Że kimś takim jest Marek właśnie.

– Ja już jestem w Łowiczu. Na rynku.

Cisza. Można było przełknąć ślinę, mocno się zdziwić, potrzeć dłonią obolałe miejsce i ponownie poruszać grdyką. I jeszcze wypuścić z płuc powietrze. I ponownie się zdziwić.

– Jesteś na rynku w Łowiczu?

– Tak. Poczulem, że powinienem tutaj przyjechać.

– A gdybym już była w drodze do domu? – zapytała tylko po to, żeby cokolwiek powiedzieć. Słowa, które przed momentem dotarły do jej uszu, brzmiały bardzo wiarygodnie i niewiarygodnie jednocześnie.

– To i tak byłbym zadowolony z wycieczki. Mieszkam tak blisko, a jestem tutaj pierwszy raz. I właśnie przed momentem zorientowałem się, że ten rynek ma kształt trójkąta. Dość intrygująca architektura. Podróże kształcą.

– Marek, ale ty naprawdę tutaj jesteś? – zapytała, ignorując wzmiankę o trójkątnym rynku. W Europie istniały jeszcze dwa takie, jeden w Paryżu, drugi w Bonn. W Polsce natomiast, poza tym, który znajdował się w jej rodzinnym mieście, trójkątny rynek można było zobaczyć w Brodnicy i w Jaworznie. Jak tylko ochłonie, na pewno mu o tym powie.

– Naprawdę.

– To ja zaraz do ciebie przyjdę. – Rozłączyła się, czując, że za moment puści tama, która ostatkiem sił powstrzymywała potok łez. Zaczęła płakać głośno i rzewnie, mając gdzieś to, że najpewniej wzbudza zainteresowanie i wśród przechodniów, i wśród tych, którzy przejeżdżają obok samochodami. Dała sobie pięć minut na uzalenie się nad własnym losem. Albo nie, nie nad losem. Nad relacjami z matką. W szóstej minucie od zakończenia rozmowy z Markiem podniosła swoje cztery litery i ruszyła przed siebie. Liczyła drzewa, które mijała po drodze. Liczyła okna w domach. Liczyła ludzi. Liczyła swoje kroki. Robiła to wszystko, byle tylko nie myśleć o tym, co stało się chwilę temu. Kwadrans później jej stopy stanęły na bruku łowickiego rynku. Kiedy już miała wyjąć z torby telefon, żeby zadzwonić do Marka, poczuła, że ktoś kładzie dłoń na jej ramieniu.

Krzyknęła. Odwróciła się. To był on. I naprawdę tutaj był. Naprawdę.

– Ale mnie wystraszyłeś. – Położyła dłoń na piersi, a potem, kiedy już nieco uspokoiła oddech, poprawiła sobie grzywkę. W sumie dobrze, że ją miała, chociaż w części zakrywała jej zapuchniętą od płaczu twarz. – Nie musiałeś tutaj przyjeżdżać.

– Masz rację, nie musiałem. – Przysunął się tak blisko, że stykali się ze sobą czubkami butów. – Chciałem.

– Dziękuję. Dziękuję, że tutaj jesteś.

– Co zamierzasz?

– Mam zamiar zamknąć się w domu, zapuścić brodę i pić – zażartowała, ale tak naprawdę nie było jej do śmiechu. Markowi, wiadomo, tym bardziej nie. – Moja mama chce, żebym przepisała na nią swoje mieszkanie. Powiedziała, że potrzebuje go, bo chce wziąć kredyt pod zastaw.

– Zrobisz to?

– Nie, raczej nie. – Nawet ona usłyszała w swoim głosie zawahanie. Był to bardzo zły objaw.

– Julia, czy ty jesteś szczęśliwa?

– Bywam.

– Potrzebujesz terapii szokowej.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Najpierw dotknął jej policzka, tego, na którym widniał czerwony ślad od uderzenia, czego ona nie mogła zobaczyć, ale on dostrzegł. Delikatnie pogłaskał go wierzchem swojej dłoni. Drugą ręką objął jej ramię i przyciągnął ją do siebie. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Jesteś dla mnie bardzo ważna.

Odpowiedziało mu szybkie mruganie obu powiek i lekko rozchylone usta, które aż prosiły się o to, aby ich skosztować. Tak pełne, tak soczyste, tak miękkie... Marek zbliżył swój kciuk do dolnej wargi. Przez chwilę lekko ją pocierał. To samo zrobił z górną, wywołując w całym ciele Julii dreszcze. Miał na sobie koszulę, więc mogła go złapać za jej poły i przytrzymać się ich, żeby tylko nie upaść.

– Ty też jesteś dla mnie ważny. Bardzo. – Hipnotyzowała go swoim spojrzeniem. – Powiedz, czy ty jesteś szczęśliwy?

– Jestem minimalistą. Tylko ty jesteś mi potrzebna do szczęścia. – Oczy Marka błyszczały radością. Policzki Julki uniosły się, ukazując najszczęśliwszy uśmiech, na jaki tylko mogła się zdobyć. Można było nim obdarować dwie dorosłe osoby. Jego wargi dotknęły jej warg. Usta Julii rozchyliły się po to, aby język Marka mógł przywitać się z jej językiem.

Wtuliła się w jego bezpieczne ramiona.

Sierpniowe słońce, które było świadkiem tej sytuacji, zaśmiało się radośnie. Co za cudowny świat, pomyślało, co za cudowni ludzie. Mają siebie, więc mają wszystko.



Rozdział 12

– Kogo to moje oczy widzą? Proszę, proszę. – Sąsiadka Julii, Weronika Malinowska, wracała do domu po wieczornym seansie w kinie. Mało kto wiedział, w zasadzie to nikt, bo ona nikogo nie obchodziła, że lubiła sobie raz w miesiącu obejrzeć film na dużym ekranie. – A o butach to się zapomniało? – Gdyby spojrzenie mogło zabijać, to wiadomo, byłby z Julki trup.

Błady. Bardzo, bardzo błady. I jeszcze bardziej zawstydzony.

– A co pani tutaj robi? – zapytała ją Julia, bo jakby wypadało się odezwać, o logicznym wytłumaczeniu tej całej sytuacji nie zapominając.

– Odpowiadasz pytaniem na pytanie. To się nazywa unik. – Oskarżycielski serdeczny palec należący do Weroniki Malinowskiej został wycelowany w dziewczynę.

– Zapomniałam o tych butach. To z przepracowania – powiedziała, zerkając na Marka. Właśnie wysiedli z jego auta i zmierzali do jej mieszkania. Teoretycznie ona zaprosiła go na herbatę, praktycznie mogło skończyć się to czymś zupełnie innym. Najpierw jednak trzeba było ominąć tego cerbera, który zagroził im drogę i miał na sobie różowy płaszcz z wielką broszką w klapie przypominającą jaszczurkę. Na głowie żółty beret. Wokół szyi zieloną apaszkę.

Ta broszka z klapy to chyba jednak był kot, nie jaszczurka.

– Myślisz, że ci uwierzę? Tyle czasu leżą u mnie te twoje buty, a ty nawet nie pofatygowałaś się, żeby po nie przyjść. Nie oczekuję wdzięczności za to, że cię przenocowałam, ale zwykła ludzka przyzwoitość nakazuje, żeby wyjaśnić sobie całą sytuację.

– Ale ja już wszystko wyjaśniłam. Sama sobie. – Julia bardzo żałowała tego, że zapukała wtedy do jej drzwi. No a potem... potem wstydziła się iść po swoje buty i unikała sąsiadki jak ognia. Jakoś wyparła ze świadomości to, że przedzej, a może jednak później, i tak na nią wpadnie.

– Jak człowiek stary, to co? Nie warto się już nim przejmować? I zapewne dlatego za każdym razem, kiedy mnie widziałaś, udawałaś, że masz wadę wzroku? Pamiętaj tylko, że ty też będziesz kiedyś w wieku pogwarancyjnym. – Malinowska machnęła dłonią i zamrugała szybko. Chciała się też odwrócić na pięcie i jak najszybciej wejść do swojego mieszkania, żeby Julia nie zobaczyła tego, że za moment po jej pomarszczonych policzkach popłyną łzy.

– Pani pozwoli, że się przedstawię. – Marek, słysząc ton jej głosu, wyciągnął do niej rękę, a potem schylił głowę i złożył na dłoni starszej kobiety pocałunek. Wygrał w tym momencie wszystko, co było do wygrania. – Marek Wenta, bardzo mi miło.

– Malinowska, Weronika Malinowska. Nigdy pana tutaj nie widziałam.

– Marek pomógł mi wtedy, kiedy szukałam swoich kluczy w kontenerze na śmieci. No i tak jakoś się zadomowił – powiedziała Julia, zerkając na niego z ukosa. Było jej głupio, że akurat on stał się świadkiem tego żenującego spotkania.

– A tak, tak, pamiętam tę sytuację.

– Mój stary przyjaciel pomógł Julii dostać się do mieszkania – powiedział.

– Zaraz, zaraz! Rubacha? Ten złodziej? To pana przyjaciel? – Malinowska przerwała mu w połowie zdania, oczekując na odpowiedź na swoje pytanie. Na bardzo szybką odpowiedź. Wszak właśnie rozwiązywała się zagadka tego, co Zenek Rubacha robił pod jej drzwiami kilka tygodni temu. Na początku go nie poznała, ale kiedy tylko wspomniął o tym serduszkowym wyrytmie na drzwiach...

– Zna go pani? – Marek nie odniósł się do zawodu, jaki wykonywał kiedyś Zenon. Najwyraźniej jego złodziejska sława stąpała dwa kroki przed nim i docierała do wielu... mieszkań.

– Kojarzę. – Z barwy jej głosu można było wywnioskować, że wie coś więcej, ale

oczywiście, a jakże, nie ma zamiaru o tym mówić. A może jednak ma? Bo gdyby nie miała, nie zapytałaby o to, o co właśnie zapytała. – Macie może ochotę na herbatę?

Julia spojrzała na Marka, Marek na Julię, a potem oboje na sąsiadkę, która od momentu wyjścia z propozycją herbacianej popijawy nie spuściła z nich oczu. Milczeli, a Weronika przyjęła to jako akceptację.

– Zapraszam zatem.

– Ale że teraz? – zapytała Julia.

– A masz lepsze zajęcie? – padło z ust Malinowskiej. – Tak sądziłam, że nie.

– Z przyjemnością napiję się herbaty – rzekł Marek, który nie byłby sobą, gdyby nie wyczuł w tym zaproszeniu podstęp. I wcale nie chodziło o morderstwo drugiego stopnia popełnione bez premedytacji. Tę kobietę coś bardzo mocno uwierało, coś nie pozwalało jej iść do przodu, coś trzymało ją na łańcuchu i wpędzało w coraz większy smutek. Poinformował go o tym znajomy ucisk w klatce piersiowej.

Jego zdolności, jak nazywała je Julia, zachwycały ją każdego dnia coraz bardziej. I chociaż wciąż trudno było jej zrozumieć mechanizmy, którymi posługiwał się w pracy, oraz to, w jak pokręcony dla niej sposób odbierał świat zewnętrzny, to nie znajdując żadnego innego wytłumaczenia, uznała, że nie pozostało jej nic innego, jak uwierzyć w to jego czucie.

Było to strasznie dziwne i fascynujące zarazem.

– Moje buty! Jak ja za wami tęskniłam! – Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, Julia od razu zobaczyła swoje buty. Stały w korytarzyku.

– Ta rozłąka niewątpliwie źle na ciebie podziałała. – Marek szturchnął ją łokciem w bok, na co wywinęła tylko oczyma i pokazała mu język. Potem oboje usiedli przy stole, czekając, aż gospodyni poczęstuje ich herbatą. Julka zaczęła dyskretnie wciągać powietrze. Tym razem do jej nozdrzy nie doszedł zapach kiszzonej kapusty.

– Chociaż nasze sąsiedztwo od samego początku nie układało się zbyt dobrze – powiedziała Malinowska, stawiając na stole szklanki z herbatą, cukiernicę i talerz z ciastem drożdżowym – to mam nadzieję, że od teraz będzie już tylko lepiej.

– Też mam taką nadzieję – powiedziała Julia.

– Chciałbym kiedyś o tym wszystkim usłyszeć – padło z ust Marka, na co obie panie zaczęły mówić jedna przez drugą, że tak, pewnie, może kiedyś się o tym dowie, a może nigdy, a najlepiej to niech nie będzie zbyt ciekawski i nie draży tematu, bo coś mu się niechący stanie.

Gdyby tylko mógł, parsknąłby śmiechem.

– Panie Marku, przepraszam za śmiałość, ale czy doskwiera panu dyskomfort Moebiusa? – odezwała się Malinowska, gdy tylko obie skończyły mówić.

– Jest pani bardzo spostrzegawcza. Tak, niektóre moje nerwy twarzowe nie są w pełni rozwinięte. Można powiedzieć, że życie doświadczyło mnie na twarzy i nieco ją popsuło.

– Bardzo mi przykro. Jakiś czas temu spotkałam na ulicy pewną kobietę z dzieckiem i, cóż, wykazałam się nadzwyczajnym brakiem taktu. – Jej twarz oblała się purpurą. – Synek tej pani, ósmiolatek, wyglądał tak, jakby był wściekły i miał się zaraz rozpłakać ze złości. Kąciki jego ust tak brzydko zwiślały. Podeszłam do niego i powiedziałam mu, że jest bardzo brzydkim dzieckiem i jego mamie jest na pewno przykro, że on się tak zachowuje. Powiedziałam też, że jak nie przestanie się mazgaić, to zadzwonię po policję.

– O matko! – Julia zakryła sobie usta dłonią. Drugą ręką złapała Marka za kolano. On przykrył jej dłoń swoją. Gest ten jednoznacznie świadczył o tym, że to on dodaje otuchy jej, nie ona jemu.

– Taką mam wadę, że za bardzo się wtrącam... To znaczy już tego nie robię – dodała bardzo szybko – ale kiedyś za bardzo wtrącałam się w życie innych ludzi. I je niszczyłam. Ale

nie będziemy teraz rozmawiać o moim paskudnym charakterze. Za dużo czasu by nam to zajęło. Wracając jednak do tego, o czym wam opowiadałam... Mama tego chłopca była dla mnie bardzo wyrozumiała. Powiedziała, że jej syn się nie uśmiecha, bo jest chory. Miał też problemy ze słuchem i wzrokiem. Miał również zrośnięte palce u stóp. Obu. Pan też tak ma?

– Nie. Ja tylko się nie uśmiecham.

– Chciałoby się powiedzieć, że ma pan szczęście, ale co to za życie bez radości. – Starsza z kobiet pokręciła ze smutkiem głową.

– Ostatnimi czasy w moim życiu jest mnóstwo radości. – Po wypowiedzeniu tych słów Marek uniósł palce Julki do swoich ust i je pocałował.

– A w moim wcale – rzekła Malinowska. Przy stole zapanowała cisza. Był to też niejako moment oczekiwania. – Przez swoją własną głupotę doprowadziłam do tego, że zostałam na starość sama jak kołek.

– Użalanie się nad sobą jeszcze nikomu nie pomogło – powiedział Marek i sięgnął po kawałek ciasta. Julia z kolei nadstawiła uszu, bo uznała, że jeśli pani Weronika zechce podzielić się z nimi fragmentem swojego życiowego dorobku, będzie to naprawdę wielka sprawa.

– Mnie nie zostało już nic innego. Nic. Każde święta spędzam sama. We wszystkie wieczory moim jedynym towarzyszem jest telewizor albo książka. Ludzie postrzegają mnie jako osobę zgorzkniałą, jako nikomu niepotrzebną... rzecz. Ty też tak o mnie myślałaś. – Ostatnie zdanie skierowane było do Julii, na którą Malinowska nawet nie spojrzała.

– Ja...

– Nie zaprzeczaj tylko po to, żeby sprawić mi przyjemność.

– Czy mogę mieć do pani prośbę? – zapytał Marek. Kiwnęła głową na znak zgody. – Proszę zamknąć oczy. Proszę mi zaufać. – Zrobiła to. – Dam pani chwilę, aby pozbyła się pani negatywnych myśli. Jest pani w stanie to zrobić. Może się wydawać, że to one, te myśli właśnie, mają nad panią władzę, ale jest wręcz przeciwnie. To pani nimi rządzi. Nimi i tym wszystkim, co mieszka w pani głowie. – Zrobił krótką pauzę, a kiedy poczuł, że może mówić dalej, tak właśnie uczynił. – Istnieje coś takiego, jak ścieżki losu. To od nas zależy, którą podążymy. Oczywiście kiedy wybieramy konkretną drogę, wydaje się nam, że nie mogliśmy postąpić inaczej. Otóż nie. Zawsze jest inne wyjście. Ludzie idą przez życie na własnych nogach, często się o nie potykając. Każda sytuacja czegoś uczy. Każdy człowiek, którego spotykamy na swojej drodze, ma nam coś do przekazania. Nie jest istotne, czy widzimy go kilka razy dziennie, czy zobaczymy tylko raz, a potem już wcale. Każdy, kogo spotykamy, jest nam potrzebny. I my jesteśmy potrzebni jemu.

– Nieprawda – wyszeptała nagle Julia, a kiedy tylko zorientowała się, że te słowa, zamiast wybrzmieć tylko w jej myślach, wybrzmiały przy okrągłym stole w mieszkaniu Weroniki Malinowskiej, splonęła purpurą. Otworzyła usta po to, żeby je zamknąć, ale kiedy ani Marek, ani tym bardziej jej sąsiadka nie odezwali się słowem, uznała, że musi się wytłumaczyć. – Uważam, że nie jest to prawdą. A przynajmniej nie w moim przypadku. Moja mama, ona... ja nie jestem jej potrzebna. – Posłała Markowi spojrzenie pod tytułem „A ty wiesz dlaczego?”.

– Oczywiście, że jesteś jej potrzebna – powiedział. – Tyle tylko, że nie w taki sposób, jak byś tego chciała. Są ludzie, tacy jak twoja mama, którzy do funkcjonowania potrzebują kogoś, kto doładuje ich swoją energią. Nie jesteś w stanie się przed nią obronić, dlatego po każdym waszym spotkaniu czujesz się tak źle. Ona natomiast, jestem w stanie się o to założyć, po każdej waszej rozmowie czuje się tak, jakby naładowała baterie. I jeśli nawet w trakcie wymiany zdań się zdenerwuje, to spłynie to po niej jak po kaczce.

– Toksyczna osoba? – zapytała Malinowska.

– Można tak powiedzieć. Tacy ludzie czerpią swoją siłę ze słabości innych. Najczęściej tymi innymi są ich bliscy.

– Panie Marku. – W głosie kobiety można było wyczuć wahanie. Pewnie przez chwilę się zastanawiała, czy w ogóle pociągnąć ten temat. – Czy uważa pan... to znaczy, czy myśli pan, że jeśli zrobiło się coś złego, to można uzyskać wybaczenie?

– To zależy. Pytanie, czy zdajemy sobie sprawę z tego, że postąpiliśmy źle, czy chcemy tylko uspokoić sumienie, ale tak naprawdę nie żałujemy swojego postępowania.

Malinowska spojrzała mu w oczy, a potem, po może dwóch sekundach, zaczęła szlochać, zakrywając twarz dłońmi. Jej ramiona trzęsły się tak mocno, że Julka wstała od stołu, aby ją przytulić. Nawet przez moment nie zastanowiła się nad tym, czy wypada to zrobić, czy może jednak lepiej powstrzymać swoje współczujące zapędy i czekać na dalszy rozwój sytuacji. Po reakcji sąsiadki uznała, że postąpiła słusznie. Weronika Malinowska, kiedy tylko zdała sobie sprawę z tego, że jest przytulana przez Julię, utkwiała w niej swoje zapłakane oczy i poklepała ją nieco niezdarne po dłoni. Dla kogoś, kto przez całe swoje dorosłe życie unikał kontaktu z ludźmi, kto nie miał rodziny i był na tym świecie sam, był to gest bardzo wylewny.

Wykonanie go wymagało wiele siły.

– Muszę – wyszeptła Malinowska – muszę to w końcu z siebie wyrzucić.

– Proszę mówić – rzekł Marek.

– Usiądź sobie, moje dziecko – powiedziała do Julii, a kiedy ta z powrotem zajęła swoje miejsce, Malinowska wysmarkała nos i głośno westchnęła. Najpierw spojrzała na swoich gości, a potem w stronę okna. Zegar stojący na szafce wskazywał godzinę dwudziestą pierwszą z minutami. – Zenek miał zostać mężem mojej siostry, Zosi. Za moją sprawą nie doszło do wesela. Oni, Zośka i Zenek, poznali się na bazarze. Zenek ukradł jej zegarek, ale nie zrobił tego dlatego, żeby się wzbogacić, a po to, aby go jej oddać i zaprosić ją na tańce. Oczywiście przyznał się, że zwędził ten zegarek w konkretnym, wcale nie zarobkowym celu. Bardzo to wtedy mojej siostrze zaimponowało. Przyznać muszę, że łotr był przystojny. Dandys z niego jak ta lala. Buciki wypastowane na glanc, spodnie w kancik, marynareczka i koszula. Zawsze pod krawatem. Moi rodzice byli nim zauroczeni.

– Pani, jak sądzę, nie była – powiedział Marek.

– Nie byłam – potwierdziła, a potem uniosła oczy, aby przez chwilę popatrzeć na sufit. – Ja byłam zazdrosna o to, że moja siostra zaczęła wszystkie wolne chwile spędzać z nim. Dopóki on nie pojawił się w jej życiu, miała dla mnie mnóstwo czasu. Chodziłyśmy na spacer, spotykałyśmy się z koleżankami, dużo rozmawiałyśmy o książkach, w każdą sobotę wybierałyśmy się na rowerowe wycieczki. Od kiedy pojawił się Rubacha, wszystko się skończyło. Moja siostra albo pracowała, albo spotykała się z nim. Kilka razy wyszliśmy do miasta we trójkę, ale zawsze kończyło się to tak samo. Ja siedziałam przy stoliku jak kolek, a oni cały czas byli w sobie zapatrzeni. Spijali sobie z dzióbeków szczęście.

– Ile lat temu miało to miejsce? – zapytał Marek.

– Trzydzieści pięć.

– Co pani czuje, kiedy o tym teraz mówi?

– Złość na moją siostrę, bo nie potrafię jej wybaczyć tego, że wolała jego ode mnie. I chociaż Zosia nie żyje od dziesięciu lat, to w dalszym ciągu mam do niej żal. Jestem też wściekła na siebie, że... że jestem wściekła. Tutaj – popukała się w klatkę piersiową na wysokości serca – w tym miejscu, za każdym razem, kiedy o tym pomyślę, czuję ucisk. To tak bardzo boli.

– Proszę mówić dalej.

– Zosia i Zenek ustalili datę ślubu. Mieli się pobrać w czerwcu. A ja... ja nie mogłam do tego dopuścić. Bo... bo gdyby tak się stało, to on... on by ją zabrał na zawsze – jękając się, przełykała łzy. – Zośka wiedziała, że Zenek kiedyś kradł, ale kiedy tylko zaczęli ze sobą być,

przysięgł jej, że przestanie to robić. W naszej rodzinie od pokoleń znajdował się pewien pierścionek. To pamiątka po prababci ze strony mamy. Miała go zawsze dostawać najstarsza córka, a jeśli takiej by nie było, to żona najstarszego syna. Pierścionek należał do Zosi. I nagle zginął. Na tydzień przed ślubem zapadł się pod ziemię. Ja... ja...

– Nie musi się pani nigdzie śpieszyć – rzekł Marek, kładąc rękę na jej dłoniach. Przyjęła ten gest ze zrozumieniem.

– Powiedziałam wszystkim, że widziałam, jak Zenek zabiera ten pierścionek ze szkatułki. Rodzice kazali mojej siostrze zerwać zaręczyny. Byli wściekli na Zenka, a ja triumfowałam.

– A Zenon? – zapytał Marek.

– Próbował tłumaczyć, że to wszystko nieprawda, że to ja kłamię, ale kiedy zrozumiał, że cokolwiek powie, to i tak będzie na straconej pozycji, poddał się. Moja siostra nigdy nie wyszła za męża. Tak samo jak ja. Dopiero po latach pojęłam, jak ogromną krzywdę jej wyrządziłam. Jemu też.

– Czy powiedziała pani o tym siostrze? – zapytała Julia.

– Nie. Bałam się. A teraz... teraz jest już za późno.

– Nigdy nie jest za późno – powiedział Marek. – Nigdy. Nim człowiek ruszy do przodu, powinien zrozumieć swoje postępowanie i wybaczyć sobie wszystko to, co jego zdaniem na takowe wybaczenie zasługuje. Nie oglądajmy się za siebie. Idźmy przed siebie. Życie na nas czeka.

– Moje życie jest karą – powiedziała Malinowska.

– Owszem, jeśli będzie pani w to wierzyła. Każdy moment jest dobry na to, aby zacząć od nowa. Warto być szczęśliwym, chociaż przez jeden dzień, a pani w dalszym ciągu ma szansę się oczyścić.

– Ja chyba nie mam w sobie tyle odwagi, żeby go przeprosić. – Wszyscy siedzący przy okrągłym stole wiedzieli, że chodzi o Zenona.

– Dziś może jej pani nie mieć. Jutro też nie, ale kto wie, czy za miesiąc nie uzna pani, że wreszcie przyszedł ten moment. Jednak nie ja jestem od tego, aby panią do czegokolwiek przekonywać. Tylko my sami możemy mieć wpływ na swoje decyzje.

– Czy... czy mogę prosić was o dyskrecję w tej sprawie? – zapytała Malinowska.

– Oczywiście – dało się słyszeć z jednych i drugich ust. Pół godziny później Julia i Marek wyszli, a Weronika Malinowska dalej siedziała przy stole. Dłońmi podpierała głowę. Myślała.

Nic nie wymyśliła.

Rozdział 13

– Słuchaj, kwiatuszku, rozmawiałaś z tą swoją córką? – Szpakowaty mężczyzna siedzący w kuchni Honoraty Radosnej uśmiechnął się do niej pogodnie. – Chciałbym wiedzieć, na czym stoimy. Przyznasz sama, że szkoda by było zmarnować taką okazję. To ostatni moment na taką inwestycję, bo za chwilę, jak tylko ludzie się zorientują, jakie kokosy można na tym zarobić, to przestanie się opłacać.

– Rozmawiałam. Powiedziała, że nie przepisze na mnie swojego mieszkania. – Rozmowa ta miała miejsce kilka dni po spotkaniu z Julią.

– Szkoda, bo taka okazja nie trafia się często. A wracając do naszej niedzielnej wycieczki...

– Stefan. – Honorata obeszła stół i usadowiła się na kolanach mężczyzny. – Jakie ja mam szczęście, że cię poznałam. Ty jesteś takim dobrym człowiekiem. Jako jedyny niczego ode mnie nie chcesz.

– Oczywiście, że chcę. – Spojrzał na nią wymownie.

– Tak, a czego chcesz? – Kokietyryjnie odchyliła głowę na bok.

– Twojego szczęścia, skarbie.

– Kocham cię.

– Też cię kocham, żabciu.

– Uwielbiam, jak zwracasz się do mnie tymi wszystkimi zdrobnieniami – zaszczebiotała, obdarzając go zakochanym spojrzeniem. W odpowiedzi nazwał ją myszką i serduszkciem, i słoneczkiem, a potem, kiedy już nasycili się swoimi ustami, wrócili do ustalania szczegółów wycieczki do Płocka. Był to jeden z elementów planu Stefana Wolskiego. Poza szczęściem Honoraty Radosnej pragnął również jej pieniędzy. I tych, które spoczywały na koncie bankowym, i tych, które mogły się pojawić po wzięciu przez nią kredytu pod zastaw mieszkania córki. Aby jednak do tego doszło, musiał zyskać jej zaufanie, co swoją drogą wcale takie trudne nie było. Rozpracowywał ją od pół roku i musiał przyznać, że dawno nie trafiła mu się taka naiwna kretynka jak Honorata. Poznali się na jednym z portali randkowych, gdzie Stefan działał od dość dawna, jak na razie z doskonałą skutecznością, której odzwierciedlenie można było znaleźć na jego osobistym koncie bankowym.

Na czym polegała ta skuteczność?

Przede wszystkim na uroku osobistym, dowcipie, nienaganych manierach i skrojonych na miarę garniturach. Te ostatnie szyte były pod kątem inwestycji długoterminowej. Miał pięćdziesiąt pięć lat, miłą aparycję, brodę przystrzyżoną przez doświadczonego barbera i mnóstwo pomysłów na to, jak przejść przez życie, nie nadwyrężając się fizycznie. Od czterech lat wyłudzał pieniądze od samotnych, majątnych kobiet.

Żyła złota. Na jego szczęście, bardzo naiwna.

Stefan potrafił niezwykle umiejętnie manipulować tymi wszystkimi zakochanymi paniami. One z kolei, kiedy ten wspaniały mężczyzna nagle zniknął, a wraz z nim pieniądze i obietnice cudownego życia, wstydziły się przyznać komukolwiek do swojej głupoty i naiwności. No i przecież, gdyby sprawa została zgłoszona na policję, musiałyby opowiadać o wszystkim tym, co ich ze sobą łączyło. A to zdecydowanie nie nadawało się dla postronnych uszu. I nawet po tym, kiedy docierało do nich, że zostały wykorzystane i porzucone, myśli o nich, Stefanie i łóżku wywoływały na ich twarzach pąsy, puls przyspieszał, a zdruzgotane, aczkolwiek dalej zakochane serca były coraz szybciej.

Co jak co, ale w łóżku Stefan był bardzo prawdziwy. Bardzo.

Honoratę Radosną poznał zimą. Już po tygodniu od pierwszej wymiany wiadomości była nim tak zauroczona, że zapraszała go na święta Bożego Narodzenia do swojego domu. Lepiej trafić nie mógł. Oczywiście odmówił, tłumacząc się tym, że to zdecydowanie za wcześnie na tego typu spotkania, zapewniając przy okazji, że jeśli ich znajomość potoczy się dotychczasowym torem, niebawem na pewno poznają się osobiście.

Klasyczne, cyniczne i bardzo skuteczne działanie.

Jego rozmówczyni połknęła haczyk i praktycznie sama podała mu na tacy wszystkie potrzebne informacje. Zazwyczaj to on zadawał pytania, zgrabnie wplatając w nie też takie, które pozwalały mu na oszacowanie statusu finansowego tej czy tamtej kobiety. Gdy uznawał, że warto zainwestować swój czas, czar i urok osobisty, zacieśniał relację. Kiedy jednak dochodził do wniosku, że gra jest niewarta świeczki, przestawał się odzywać. W tym konkretnym przypadku miał mieszane uczucia, gdyż Honorata strasznie go nudziła. Kiedy jednak wspomniała mu, że dwa lata temu sprzedała dom wart ponad pół miliona złotych oraz że jej córka ma mieszkanie w Łodzi, postanowił się poświęcić i zaryzykować. Skutkiem owego poświęcenia było nowe audi warte, bagatela, blisko dwieście tysięcy.

Dostał je od zakochanej Honoraty.

A dlaczego padło akurat na tak luksusowy model auta? Ponieważ za każdym razem, kiedy spacerowali po Łowiczu i napotykali samochód tej właśnie marki, Stefan zatrzymywał się na dłużej, przywoływał na usta lekki uśmiech i podziwiał wóz. Mówił jej wtedy, że jako dziecko obiecał sobie, że jeśli tylko kiedyś będzie go stać, kupi sobie drogie auto. Ma się rozumieć, że nie zapomniał przy okazji wspomnieć o dorastaniu w biednej, ale szczęśliwej rodzinie, gdzie często nie było co do garnka włożyć. Napomknął również o tym, że z wiekiem jego pragnienia zaczęły nabierać realnych kształtów i zakochał się w samochodach tej właśnie marki.

Mało tego, nawet kiedyś miał taki samochód!

No ale jego była żona zabrała mu wszystko. Puściła go z torbami i jeszcze nastawiła dzieci przeciwko niemu. A tak naprawdę to on ani tej byłej żony, ani tych dzieci nawet nie miał. To znaczy może i gdzieś tam jakieś jego potomstwo się uchowało, ale on o tym nie wiedział. Mówił też Honoracie, że całe oszczędności wydał na leczenie swojej mamy, która zmarła rok wcześniej. Wspomnienie zmarłej rodzicielki bardzo często wywoływało u niego przygnębienie, a bywało, że musiał nawet ukradkiem otrzeć łzę. Oczywiście Honorata była tak spostrzegawcza, że zawsze to zauważyła.

Serce jej pękało, że ten wspaniały człowiek został tak strasznie doświadczony przez życie. Wiedziała, że to właśnie z nim chce spędzić resztę swoich dni, tym samym nie znalazła żadnych przeciwwskazań ku temu, aby wsiąść w pociąg i udać się wraz z nim w podróż do stolicy.

Do salonu Audi.

To miała być niespodzianka. Oczywiście kiedy tylko mimochodem wspomniała mu, że chciałyby się tam wybrać, ot tak, bo dawno nie była, on miał niemal sto procent pewności, po co jada. Naturalnie zawsze mógł się mylić, bo ta idiotka mogłaby naprawdę chcieć zwiedzić Warszawę, a on musiałby udawać, że spędza z nią miło czas. I nawet za rękę musiałby ją trzymać w trakcie tej wycieczki, dalej grając rolę zakochanego palanta, bo mimo wszystko było to opłacalne. Na szczęście dla niego, można powiedzieć, że marionetka Honorata sama ciągnęła za sznurki.

Wedle jego wytycznych, ma się rozumieć.

Kiedy wreszcie powiedziała mu, jaki jest prawdziwy cel ich podróży, sprawiał wrażenie, jakby nie mógł uwierzyć, że ona naprawdę chce mu kupić samochód po to, żeby już więcej nie musiał jeździć pociągami i autobusami. Oczywiście ten swój brak wiary powtarzał bardzo

często – w domu, przed lustrem. Musiał przyznać sam przed sobą, że wyszło i ckliwie, i perfekcyjnie, i nawet romantycznie. A już najbardziej – wiarygodnie.

Rola życia.

Trzy tygodnie później Stefan wyjechał z salonu nowym samochodem. Ma się rozumieć, że najpierw pojechał do Honoraty, żeby podziękować za ten prezent, powtarzając chyba sto razy, że on się nigdy nie odwdzięczy i że na to nie zasłużył, co swoją drogą było prawdą. Honorata, która była osobą pozbawioną inteligencji, życiowej mądrości i prawa jazdy, poszła o kilka kroków do przodu i bez jakiegokolwiek słowa sprzeciwu wyraziła zgodę na to, aby samochód był zarejestrowany na Stefana. Bo będą mniejsze składki za ubezpieczenie. Bo w razie czego nie ona będzie ciągnana po różnych instytucjach. Bo tak będzie po prostu wygodniej. Warto wspomnieć, iż pomysł ten nie wyszedł od jej ukochanego, a od sprzedawcy z salonu, który udzielił takiej rady, kierując się najzwyczajszym w świecie pragmatyzmem.

Gdyby wiedział, że ta roześmiana i zakochana kobieta pada ofiarą oszusta matrymonialnego, zamiast proponować mu kawę, zaproponowałby lewy lub prawy sierpowy. Nie wiedział jednak i zrobił mu małą czarną, a potem przeszli do omawiania szczegółów. Dość istotne było, że tuż przed wejściem do salonu Stefan poprosił Honoratę o to, żeby czasem nie dała nikomu do zrozumienia, że to ona płaci za samochód. Powiedział jej wtedy, że jego duma ucierpiałaby do żywego.

– Piękny, prawda? – rzekł, kiedy zajechał na podwórze okalające dom Honoraty.

– Zasłużyłeś na wszystko, co najlepsze – odparła, a Stefan, niewiele myśląc, to znaczy ona właśnie tak to odebrała, padł przed nią na kolana w swoich najlepszych spodniach od garnituru i zaczął dziękować. To też ćwiczył przed lustrem w małym korytarzyku.

– Wstawaj! Proszę cię, nie rób scen! – krzyknęła, aczkolwiek musiała przyznać, że gdzieś w głębi poczuła się bardzo ważna i doceniona. Bardzo!

– Bo ja... moje ty słoneczko... Bo ja tak cię kocham i tak się boję, że ty sobie pomyślisz, że ja ten samochód... że ja go od ciebie wyłudziłem... – zawodził, jednak na tyle cicho, żeby nikt z sąsiadów go czasem nie usłyszał.

– Stefan! – Honorata padła tuż obok niego, co skutkowało rozdarciem rajstop na kolanie. Stać ją było na taką rozrzutność. – Nawet niech ci przez myśl taka głupota nie przechodzi! Ja jestem gotowa zawierzyć ci całe swoje życie!

Pomyślał sobie, że bardziej byłby zainteresowany jej majątkiem. Głośno natomiast powiedział:

– Jesteś moim najcenniejszym skarbem. Gdybym tylko mógł, schowałbym cię do kieszeni i nigdy z niej nie wyjmował. Gdybym tylko mógł, obdarowałbym cię najjaśniejszą gwiazdką z nieba, a twoja uroda i tak przyćmiłaby jej blask. Jesteś moją muzą, moim natchnieniem. Jesteś moim wszystkim. I chociaż nie mam w tym momencie przy sobie pierścionka, klnę się na wszystkie świętości i błagam o to, abyś uczyniła mi ten zaszczyt i została moją żoną. Bo jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało – rzekł. A właściwie wyrecytował tekst, który znał na pamięć i z którego skwapliwie korzystał od czterech lat.

Zawsze działał. Tym razem też.

Honorata zakryła usta dłonią, zaczęła wachlować się po zaróżowionych policzkach, a potem ze łzami w oczach powiedziała, że o niczym innym nie marzy. Z wielkim trudem powstrzymała się przed tym, żeby nie zacząć pisać jak nastolatka. Miesiąc później Stefan poinformował ją, że zrobił rozeznanie na giełdzie i zaczął interesować się kryptowalutami. Snuł przy tym wizje tak błyskotliwe i dolarami ociekające, że Honorata tylko achowała i ochowała, tak pełna była podziwu dla jego pomysowości i życiowej zaradności.

Przyznać trzeba, że Stefan zaradny był bardzo, a i w mąceniu w kobiecych głowach

również posiadał doświadczenie. Honorata jadła mu z ręki.

– Skarbie, pomyśl sobie, ile pieniędzy można by zarobić, gdyby tak zainwestować w kryptowaluty! – Nigdy do żadnej z kobiet nie zwracał się po imieniu, co by nie popełnić taktycznej pomyłki, nazywając Ewę Jolą, Hanię Anią, Zosię Gosią. – Ale wiesz, tak porządnie zainwestować. Dom na Malediwach, mieszkanie w Paryżu, własny helikopter. Po roku człowiek pływałby jachtem przy swojej prywatnej plaży.

– Żartujesz?

– Absolutnie nie. Od dawna obserwuję rynek i co chwilę okazuje się, że ludzie inwestują i niedługo potem wyjmują porządne pieniądze. Gdybym tylko miał fundusze, nawet przez sekundę bym się nie wahał. To co? Idziemy na spacer? – Bardzo się pilnował, żeby za dużo nie mówić o pieniądzach, pożyczkach i inwestycjach. On tylko zarzucał wędkę. Rybka miała się złapać na haczyk sama.

I złapała się. Dwa tygodnie później.

– Przemyślałam sobie kilka spraw i mam dla ciebie pewną propozycję – powiedziała Honorata któregoś dnia, a było to w sobotę wieczorem, tuż przed jego wyjazdem do Warszawy. Miał nazajutrz lecieć do Berlina w interesach, co, ma się rozumieć, było wierutnym kłamstwem, niemniej zawsze robiło wrażenie na płci przeciwnej.

– Tak?

– Co ty na to, żebyś wzięła kredyt i...

– Mowy nie ma! – zaperzył się, a przyznać trzeba, że wyszło to bardzo autentycznie, bo nawet uderzył dłonią w stół. Miał oczywiście świadomość, że rozmowa ta może iść w dwie strony, jednak mimo wszystko nie wątpił w brak inteligencji Honoraty. O zaślepieniu miłością do niego nie wspominając.

– Przemyślałam sobie wszystko i uznałam, że niczym nie ryzykuję. Pieniądz robi pieniądz. Mam na koncie trzysta tysięcy, a jeśli córka przepisze na mnie swoje mieszkanie, to już w ogóle nie mamy się czym martwić, bo dostanę kredyt.

– A przepisze? – Uniósł powątpiewająco prawą brew.

– Oczywiście – powiedziała.

– Sam nie wiem. – Zaczął drapać się po brodzie, aby jego wahanie było jak najbardziej realistyczne. – Jestem przeciwnikiem pożyczek.

– Na moją odpowiedzialność. Zgódź się, proszę. – Złożyła dłonie jak do modlitwy, a on... no przecież nie mógł odmówić.

Honorata odczekała jeszcze kilka dni i zadzwoniła do Julii. Kiedy córka ją odwiedziła i usłyszała o pomysle, jej reakcja była dokładnie taka, jakiej Honorata się nie spodziewała, z góry zakładając, że skoro Julia zawsze ślepo wykonywała jej polecenia, tym razem też tak będzie. Odmowa ugodziła ją bardzo, a upust jej nerwom dało spoliczkowanie córki.

Honorata często wymierzała swojej jedynaczce cielesne kary. Kiedy Julka była mała, zawsze dostawała „po łapach”, gdy tylko coś przeskrobała. A że była dzieckiem bardzo ruchliwym, takie wybryki zdarzały się nagminnie, dlatego właśnie na gwoździu wbitym w kuchenne drzwi na stałe zagościł skórzany pasek do spodni. Ojciec Julii, Witold Radosny, pracował w Niemczech i nie miał zbyt dużego wpływu na wychowanie córki. Jedynie co miesiąc wysyłał żonie pieniądze, które w większości miały być odkładane na budowę domu.

Honorata czasem tylko sobie coś za nie kupiła...

A to nowy telewizor. A to kilka złotych pierścionków. A to skórzany wypoczynek. A to parę sukienek i innych fatalaszków. Tłumaczyła to tym, że w taki sposób rekompensuje sobie wieczną nieobecność męża. Witold z kolei wpędzał się w jeszcze większe poczucie winy i pracował nie za dwóch, nawet nie za trzech, ale za czterech, żeby tylko dogodzić rodzinie.

Kiedy Julia skończyła trzy lata, zmarł na zawał serca.

Honorata była zrozpaczona i wściekła. Musiała iść do pracy, żeby nakarmić darmozjada o dwukolorowych oczach, jakim w jej mniemaniu była Julia. Do momentu śmierci męża jej życie polegało na nicnierobieniu. Oficjalnie na wychowywaniu córki, chociaż tak naprawdę to jej rodzice spędzali z małą więcej czasu niż matka. Prawda była bowiem taka, że Honorata wstydziała się tego, jak wygląda Julia. Jakie ma oczy. W mniemaniu własnej matki Julia była dziwadłem, odmieńcem, potworkiem. No ale nie można było wrzucić jej do worka i utopić, jak niechcianego kota.

Któregoś dnia Honorata wracała do domu z pracy. Była zła. Wkurwiona w zasadzie, ale musiała się do wszystkich pięknie uśmiechać, bo tak przecież wypadało. Wśród ludzi uchodziła za osobę miłą i łagodną. Pech chciał, że przemierzając drogę z przystanku autobusowego do domu, napotkała tak wielu znajomych, że aż ją zęby bolały od tego wymuszonego uśmiechania się. Kiedy w końcu zniknęła za drzwiami swojego domu, schowała się do łazienki, zaczęła wrzeszczeć i rzucać wszystkim, co tylko wpadło jej w ręce.

Tego dnia miała iść kupić nową sukienkę, na którą odkładała pieniądze od trzech miesięcy. Jakież było jej zdziwienie przy kasie, kiedy okazało się, że w portfelu brakuje pięćdziesięciu złotych. Wyszła ze sklepu, tłumacząc ekspedientce, że wróci nazajutrz. Próbowwała sobie też przypomnieć, co się stało z brakującymi pieniędzmi. Dobrze pamiętała, że kiedy poprzedniego wieczora włożyła całą sumę do portfela, poszła do łazienki. Potem dała Julii kolację i wysłała ją spać, żeby mieć spokój. A potem...

– To ona! To ona ukradła pieniądze! – Adresatką jej wzburzonego głosu była ona sama. Mało brakło, żeby pobiegła do szkoły, do której uczęszczała jej córka. Powstrzymała się jednak resztkami przyzwoitości, zdając sobie sprawę z tego, że może mieć problemy z kontrolowaniem siebie samej. – Już ty mnie popamiętasz – rzekła znowu do siebie, jednak tym razem nieco spokojniej.

Kiedy uśmiechnięta i szczęśliwa Julia przekroczyła próg domu, napotkała wściekłe spojrzenie swojej mamy. W jej niespełna dziesięcioletnim brzuchu zrobiło się bardzo, bardzo niedobrze.

– Wyjęłaś mi pieniądze z portfela? – zapytała Honorata. Stała na środku kuchni, a w dłoni trzymała skórzany pasek.

Julka zbladła, upuściła plecak obok nóg i jedną drżącą dłonią próbowała powstrzymać drżenie drugiej. Wiadomo, że bezskutecznie.

– Pytałam o coś! – Tym razem dało się słyszeć warknięcie.

– Ja... ja...

– Brałaś czy nie brałaś?! – Wykrzyknikowi na końcu tego zdania towarzyszyło uderzenie pasem w szafkę. Julka cofnęła się o krok, przypierając chudymi plecami do ściany. Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Nie mogła wydusić z siebie słowa, dlatego tylko pokiwała głową.

– Ściągaj spodnie.

– Mamo, ja przepraszam. Ja... ja chciałam na lody... ja przepraszam... ja już nie będę...

– ŚCIĄGAJ SPODNIĘ, GÓWNIARO! – wrzasnęła Honorata.

Drobne, trzęsące się ze strachu dłonie, które jeszcze chwilę wcześniej machały na pożegnanie koleżankom z klasy, zaczęły rozpinąć suwak od spodni. Czy Julia, wyjmując z maminego portfela pieniądze, zdawała sobie sprawę z tego, że robi źle?

I tak, i nie.

Robiąc to, miała świadomość, że jeśli mama się zorientuje, będzie źle. Bardzo źle. Jednak chęć przypodobania się koleżankom była tak silna, że kompletnie wyłączyła odruch zdroworozsądkowego myślenia. A trzeba przyznać, że jako dziesięcioletka Julia była nad wyraz

rezolutna. I tak samo zakompleksiona. W szkole śmiano się z koloru jej oczu, z ubrań, jakie nosiła, i z tego, że nie ma taty. Każdą przerwę spędzała, siedząc na korytarzu z nosem w książce. Tam znajdowała ukojenie.

No ale... Tak bardzo chciała być lubiana. Tak bardzo pragnęła mieć przyjaciółkę, z którą mogłaby spacerować pod rękę na przerwie. Tak bardzo chciała móc zaprosić koleżanki do domu, że gotowa była przyjąć na siebie wściekłość mamy, byleby tylko została zaakceptowana.

Czy mogła poprosić o te pieniądze? Owszem.

Czy dostałaby je? Nie, bo nie, i to musiałyby wystarczyć za tłumaczenie, gdyż Honorata dokładnie tak by odpowiedziała. I Julka o tym doskonale wiedziała, bo już kilka miesięcy wcześniej zapytała, czy mama da jej pieniądze, żeby mogła zaprosić koleżanki na lody.

– Przecież ty nie masz koleżanek – powiedziała wtedy Honorata i kazała jej iść do siebie. Sama natomiast wróciła do oglądania serialu niskich lotów. W jej mniemaniu bardzo ambitnego. Julia z kolei zwiesiła głowę i poszła do swojego pokoju. Płakała tak długo, aż zasnęła.

Co prawda miała jeszcze dziadków, ale wiedziała przecież, że oni zaciskali pasa, jak tylko mogli. Po śmierci taty jej mama narobiła długów, biorąc w banku kredyty, które pozwoliłyby jej prowadzić takie życie, jakie wiodła, kiedy mąż przysyłał pieniądze. No ale trzeba było przecież spłacić zobowiązania. Honorata powiedziała, że jeśli o nią chodzi, to komornik może przyjść i zabrać sobie, co tylko chce. Nawet Julię. Najgorsze w tym wszystkim było to, że ona wcale nie poczuwała się do jakiegokolwiek odpowiedzialności z tego tytułu.

Jej rodzice mieli całkiem spory kawał ziemi do spieniężenia, niestety, najpierw należało przekształcić ją z rolnej na budowlaną, a to, cóż, trwało i trwało, i trwało. Trzeba było zatem zaciągnąć pożyczkę, aby spłacić długi córki. Oczywiście nie chwalili się tym na prawo i lewo, dlatego ich jedyna wnuczka nie miała prawa o czymkolwiek wiedzieć. No ale jednak wiedziała. Uświadomiła ją osobista matka, która zawsze, kiedy tylko nadarzała jej się okazja do ponarzekania, a jakże, skwapliwie z niej korzystała.

Kiedy nie musiała marudzić, też to robiła.

Pewnego dnia natomiast coś zaczęło szeptać do ucha Julii, że wystarczy tylko włożyć dłoń do matinej torby i wszystkie jej problemy się rozwiążą.

– Oprzyj się o stół! Rusz się! Nie mam całego dnia! – Honorata popchnęła córkę w kierunku kuchennego stołu. Ledwo Julka położyła na nim dłonie, na jej nagich pośladkach wylądowała metalowa klamra od pasa. Zazwyczaj Honorata biła samym pasem, dziś była jednak tak wściekła, że z pełną premedytacją złapała za drugi koniec. – A masz! A masz! A masz! – krzyczała za każdym razem, kiedy sprzączka odbiła się od dziecięcej skóry. – Przebrzydły bachor! Ja cię nauczę porządku! Ja cię nauczę kultury! Żeby własną matkę okradać?!

Julia płakała, zaciskając z bólu zęby. Co jakiś czas z jej trzęsących się usteczek wydobył się jęk rozpaczny. Kiedy Honorata przestała ją bić, a stało się to trzy minuty później, pupa Julii przypominała mięsną miazgę.

– A teraz będziesz tak stała, dopóki nie wrócę! – Rzuciła pasek na podłogę i trzaskając drzwiami, wyszła z domu. Julia bała się ruszyć, a o wciągnięciu spodni na poraniony tyłek nawet nie pomyślała. Było jej wstyd, odczuwała ból i upokorzenie. Kapało jej z oczu i z nosa. Pół godziny później Honorata wróciła w towarzystwie swojej matki.

– Zabieraj ją! Nie chcę jej nigdy więcej widzieć! A jak ty jej nie zabierzesz, to klnę się na Boga, że oddam ją do domu dziecka! – Po chwili słychać było trzask drzwi. Honorata wyszła.

– Co ona ci zrobiła? – Babcia objęła Julkę ramieniem, zważając, aby nie urazić dotykiem pobitych miejsc. Kiedy tylko córka wpadła do jej domu, wyglądała, jakby trafił ją piorun. Krzyczała, bluźniła, początkowo trudno było ją zrozumieć, ale w końcu wyjaśniła, po co przyszła. Lena wybiegła z domu, krzycząc do męża, żeby za pół godziny odpalił dużego fiata

i przyjechał po nią.

To znaczy po nie.

– Chodźmy po twoje rzeczy. Zabieram cię stąd. Już dawno powinnam to zrobić. Przepraszam. Przepraszam za to, że musiało do tego dojść. Tak bardzo mi przykro.

– Babciu... to... to moja wina.

– Skarbie, nie uważam, żeby to była twoja wina. Nie powinnaś brać tych pieniędzy – powiedziała babcia, którą Honorata zdążyła już krzykami wtajemniczyć w całą sytuację – ale to nie był powód, aby tak cię potraktować.

Ściągnęła jej spodnie i bieliznę, które znajdowały się pomiędzy chudymi kolanami, i założyła sukienkę. A potem wyszły na podwórko, gdzie już czekał dziadek Julian.

– Dasz radę usiąść? – zapytał Julię. Pokiwała głową, że tak, co było kłamstwem. Gotowa była jednak jeszcze trochę pocierpieć, aby tylko znaleźć się w bezpiecznym miejscu, z daleka od matki.

Czy Julia przestała ją kochać? Nie, czego najlepszym dowodem było to, co stało się kilka godzin później.

– Babciu, ale mama nie pójdzie do więzienia? Nie pójdzie, prawda? – zapytała tuż przed snem.

– Śpij, słoneczko. Nie musisz się niczym przejmować.

– Ja nie chcę, żeby poszła do więzienia. Ja wiem, że ona mnie nie kocha, ale ja ją Kocham. Ciebie i dziadka też bardzo Kocham. Trochę bardziej niż mamę. I tatę też Kocham, chociaż go nie pamiętam. – Jej głos robił się coraz bardziej senny. Kiedy zasnęła, babcia wróciła do kuchni. Przez chwilę wraz ze swoim mężem patrzyli na siebie.

– Julia powiedziała, że mimo tego, co Honorata jej zrobiła, i tak ją Kocha. I nie chce, żeby mama poszła do więzienia.

– Gdzie my popełniliśmy błąd? Dlaczego ona taka jest? Dlaczego ona jest taka zła? – zapytał Julian. Bardzo bolało go to, że jego córka jest taką złą osobą.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Zawsze była krnąbrna, ale myślałam, że kiedyś zmądrzeje. Że z tego wyrośnie. Rozpuściliśmy ją. Dostawała wszystko, czego tylko chciała, a potem oczekiwała tego samego od Waldka. A on biedny spełniał każdą jej zachciankę.

– Jeśli będzie chciała odebrać nam Julię, nie będę miał żadnych skrupułów, żeby złożyć na nią doniesienie.

– Jestem dziwnie spokojna o to, że nie będzie chciała tego zrobić – powiedziała Lena. Miała rację. Honorata, z chwilą kiedy Julia została zabrana z domu, otworzyła butelkę wina i pociągnęła z niej solidny łyk, a potem zaczęła się śmiać, bo nareszcie jej problemy się rozwiązały.

Piętnaście lat później, siedząc w tej samej kuchni, zastanawiała się, co zrobić, żeby córka przepisała na nią swoje mieszkanie. Z sentymentem popatrzyła na gwóźdź wbity w drzwi. Na jej twarzy pojawił się szpetny uśmiech. Miała świadomość, że nie może użyć wobec Julki siły, ale...

– I tak wyjdzie na moje – powiedziała sama do siebie, a potem przechyliła kieliszek z winem.

Było pyszne. Bardzo cierpkie.

Rozdział 14

– Lubisz go, prawda? – Julia w odpowiedzi na swoje pytanie usłyszała cichutkie miauknięcie. Oczywiście, że Irysek lubił Marka. A już najbardziej lubił go dlatego, że nowy przyjaciel Julii wykurzył Piotrka, który przestał pałętać się po domu. No i co najważniejsze, jego ludzka przyjaciółka też lubiła Marka. Posiadając słuch doskonały, Irysek dobrze wiedział, że ilekroć Marek ich odwiedzał, serce Julii biło szybciej niż wtedy, kiedy go nie było. I śmiała się jakoś tak więcej, i śpiewała podczas sprząwania, prasowania i gotowania.

I nawet zaprzyjaźniła się z sąsiadką.

Od pamiętnej rozmowy, kiedy to Malinowska wyjawiała jej i Markowi swoją wstydliwą tajemnicę, minął miesiąc, a Julia codziennie po pracy składała jej wizytę.

Stało się to niejakim rytuałem.

– Bądź grzecznym kotkiem. – Poglaskała sierściucha po grzbiecie i zamknęła za sobą drzwi. Piękna pogoda obliigowała do tego, aby założyć zwiewną sukienkę. Ta, którą dziś wybrała, była czerwona, kończyła się przed kolanem i miała duży dekolt. Bardzo duży. Radosnym, praktycznie tanecznym krokiem, na co pozwalały jej gumowe podeszwy trampek, bo gdyby miała na sobie buty na obcasie, na pewno wypieprzyłaby się na pierwszej nierówności, wyszła z kamienicy. Ledwo wyściubiła nos z budynku, zobaczyła Piotrka. Stał oparty o swój motocykl. Julia uznała, że już przystojniej nie dało się wyglądać.

Uśmiechną się.

A jednak, pomyślała, można.

– A co ty tutaj robisz? – zapytała, podchodząc do niego.

– Musimy porozmawiać. – Otaksował ją spojrzeniem, zatrzymując oczy na jej piersiach. W momencie, w którym jego wzrok w sposób wyjątkowo beczelny spoczął na dekolcie, w spojrzeniu Piotrka pojawiło się coś niedobrego.

– Ale po co? To znaczy o czym? – Skrzyżowała ramiona na piersiach, chcąc w ten sposób udaremnić mu gapienie się. Jakoś teraz, kiedy już nie byli razem, czuła się mocno skrępowana tym, że patrzył się na nią tak ostentacyjnie.

– O nas – padło w bardzo pewnej siebie odpowiedzi.

– Piotrek, ale nas już nie ma. – Zerknęła na zegarek. – Muszę uciekać, bo spóźnię się do pracy. – Tak naprawdę wcale by się nie spóźniła, ponieważ wyszła z domu ze sporym zapasem czasu, ale od kiedy relacje jej i Marka się zacieśniły, chciała spędzać z nim jak najwięcej czasu. W tym momencie Piotrek kradł ten czas.

– Nie możesz poświęcić mi pięciu minut? Aż taka zarobiona jesteś? – zapytał, nie kryjąc irytacji.

– Tak będzie najlepiej.

– Tak, czyli jak?

– Jeśli damy sobie spokój. – To znaczy, pomyślała, jeśli ty dasz spokój mnie, bo ja to jakbym o tobie już zapomniała. Piotr przez chwilę tylko na nią patrzył, a robił to w taki sposób, że niemożliwym było odczytanie tego, o czym myśli.

– Wskakuj. Podrzucę cię – powiedział, jakby to, o czym wcześniej rozmawiali, nie miało żadnego znaczenia.

– Wiesz, że nie lubię na tym jeździć. – Mając ręce zajęte chronieniem swoich piersi, wskazała brodą na motocykl.

– Będę jechał wolno. Obiecuję.

– Naprawdę nie musisz się fatygować.

– Julia, proponuję ci podwózkę. To nic zdrożnego.
– Sama nie wiem...
– Ale ja wiem. – Gdy podawał jej kask, kąciaki jego ust powędrowały do góry. Boże, pomyślała Julia, ale on ma uśmiech. I te jego dołeczki. I te potargane włosy. I ten łobuzerski wyraz twarzy. I ten błysk w oku świadczący o tym, że doskonale wie, jakie wywiera wrażenie na płci przeciwnej. Gdzieś na dnie jej duszy musiały pozostać resztki słabości do tego faceta, bo minutę później siedziała za jego plecami.
– Tylko masz jechać wolno. Naprawdę wolno – powiedziała.
– Dla ciebie wszystko – mówiąc to, przekreślił się w jej stronę. Przez chwilę tylko patrzył w jej dwukolorowe oczy, a potem odchrząknął i zaczął ściągać z siebie kurtkę. – Załóż ją. Ja mam bluzę, więc mnie nie przewieje.
– Nie trzeba, naprawdę. To tylko kawałek. Kask mi wystarczy. – Pomachała nim.
– Załóż ją, do jasnej cholery! – Podniósł głos, ale już po chwili się zmiętygował. – Przepraszam. Ja po prostu nie chcę, żebyś przez następny tydzień leżała w łóżku, narzekając na ból pleców. To znaczy nie miałbym z tym żadnego problemu, gdybym leżał obok ciebie i się tobą opiekował.
– Piotrek...
– Żartowałem. Przyjąłem do wiadomości. Nie jesteśmy już razem. Chociaż muszę przyznać, że nie rozumiem twojej decyzji. Było nam ze sobą dobrze. – Kiedy podawał jej swoją kurtkę, spojrzał na nią w taki sposób, że spuściła oczy. Głupio byłoby teraz zsiadać i mówić, że jednak pójdzie sama. Tyle tylko, że coś jej mówiło, że właśnie tak powinna zrobić, bo ta rozmowa nie zmierza do niczego dobrego. Złego jak najbardziej.
– Zbyt wiele nas różni – powiedziała cicho. Usłyszał to. Zacisnął dłoń na kierownicy, starając się zapanować nad atakiem furii.
Nie taki był przecież plan. Policzył w myślach do trzech i uśmiechnął się do niej. Uważał, że gdyby nie pojawił się Wenta, to nie byłoby żadnego rozstania i żadnego problemu. I chociaż w dalszym ciągu nie planował z Julią starego i poczciwego „żyli długo i szczęśliwie”, to świadomość, że w jej życiu jest ktoś, kim ona wykazuje zainteresowanie, doprowadzała go do szału. Był jak pies ogrodnika w wydaniu wściekle zaborczym. Metaforyczna piana z pyska też mu ciekła. Ciągle się do niej uśmiechając, zbliżył swoją dłoń do jej twarzy. Wskazującym palcem smyrnął ją w nos i rzekł:
– Związek, tak jak popsuty samochód, można naprawić.
– Niektóre samochody nawet po naprawie będą się psuły.
– I co, lepiej kupić sobie wtedy nowy, a stary oddać na złomowisko?
– Piotrek...
– Jesteś z nim? Z tym Wentą? – zapytał przez zaciśnięte zęby.
– Tak. – Nie było powodów, żeby mijała się z prawdą.
– Serio? On ci się naprawdę podoba? Wygląda tak, jakby mu ktoś w dzieciństwie nadepnął butem na gębę.
– Nie podoba mi się to, co mówisz.
– Mówię, jak jest. Dziwne, że ty tego nie widzisz. Przecież on wygląda jak jakiś troglodyta.
– Marek jest... on... zresztą nieważne. Ta rozmowa nie ma sensu. I chyba jednak nie powinnam z tobą jechać.
– Julia! – Nim zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, złapał ją za nadgarstek. Zabolało.
– Puść. To boli.
– Przepraszam. – Puścił ją, pomstując sam na siebie, że nie potrafi się kontrolować. – Nie

róbmy scen. Zawiozę cię do pracy. Julia, ja proszę tylko o to, żebyś przemyślała nasze rozstanie. Moim zdaniem podjęłaś decyzję zbyt pochopnie. Mało tego, uważam, że zrobiłaś to pod wpływem sugestii. – Jego wzrok przypominał teraz trochę zbitego psa. Ale tylko trochę.

– Nie, Piotrek, nikt mi niczego nie sugerował. To była moja decyzja. – Zsiadła z motocykla i oddała mu kurtkę oraz kask. Potem odrzuciła na plecy włosy, poprawiła grzywkę, uniosła hardo podbródek i rzekła: – Lubię cię i szanuję, i chciałabym móc bez skrępowania wysyłać ci życzenia na święta i urodziny. Mieszkamy w tym samym mieście, więc możemy na siebie czasem wpadać. Zachowajmy poprawne relacje. Kto wie – puściła do niego oczko – może kiedyś nasze dzieci gdzieś na siebie wpadną. Cześć. – Nie czekając na jego reakcję, ruszyła przed siebie. Kilka sekund później do jej uszu dobiegł warkot motocyklowego silnika. Było to bardzo dziwne, ale wydawało jej się, że brzmiał złowieszczo, groźnie, tak jakby obiecywał zemstę.

Daj spokój, pomyślała, on ma taki charakter, że nie potrafi przegrywać. Przecież nawet jak grał na konsoli, to się wściekał, kiedy dostawał baty. Musi to wszystko przegryźć i przetrawić. Z tą myślą ruszyła przed siebie. Kwadrans później wchodziła do budynku, w którym mieścił się gabinet Marka.

– Jest dla nas jakaś poczta? – zapytała Sylwii, blondynki, która pracowała w recepcji. Niespecjalnie za nią przepadała, a wynikało to z podłego charakteru dziewczyny.

– Ponury Mareczek zabrał – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od telefonu. Chyba tylko jakaś katastrofa nuklearna byłaby w stanie odwrócić jej uwagę od smartfona. – Swoją drogą, ty musisz mieć na niego jakieś papiery, że jeszcze cię tu trzyma. Ile to już minęło? Dwa miesiące?

– Dwa i pół – odpowiedziała. Nie było w zasadzie dnia, żeby Sylwia nie poświęciła kilku chwil swego jakże cennego czasu na urąganie Markowi. Strasznie to Julię wkurzało, ale jakoś do tej pory powstrzymywała się przed wyrażeniem tego, co o tym myśli.

– Żadna jego asystentka tyle u niego nie pracowała. Ciekawa jestem, dlaczego akurat ty jeszcze tutaj jesteś.

– Bo się świetnie dogadujemy.

– Gdybym była głupia, pomyślałabym, że ten tępak cię posuwa. – Sylwia zaczęła się śmiać sama do siebie.

– No to ci powiem, że jesteś głupia. – Julia pogratulowała sobie w duchu tego, że wreszcie powiedziała to, co dusiła w sobie od dawna. I to coś musiało wyrzucić na Sylwii dość duże, zapewne negatywne wrażenie, bo aż oderwała wzrok od telefonu. Przez chwilę wyglądała jak wigilijny karp, ledwo co wyłowiony ze stawu.

– Co proszę? Jak śmiesz mnie obrażać?!

– Jeśli ktoś tutaj kogoś obraża, to ty Marka. Codziennie. Powiedz, lepiej ci, kiedy wyrazisz swoje wątpliwe zdanie? Urośniesz we własnych oczach? A może zbierasz punkty, żeby uplasować się jak najwyżej w hierarchii podłych żmij? No, powiedz, pełniesz w górę po jakąś nagrodę?

– Złożę na ciebie skargę!

– Na twoim miejscu nie wyciągałabym tego trupa z szafy. Niech sobie tam leży. Żegnam.

Dopiero kiedy Julia się odwróciła, zobaczyła, że tej wymianie zdań przysłuchiwało się kilka osób. Lekko odchrząknęła i ruszyła w kierunku schodów. Nim weszła do gabinetu, policzyła do dziesięciu. Nie chciała, żeby Marek zorientował się, że coś jest nie tak. Nie miała zamiaru mówić mu o słownej utarczce z Sylwią. O spotkaniu z Piotrem również. Od kiedy ze sobą byli, a oficjalnie stało się to po powrocie z Łowicza, kiedy to jej mama próbowała wymusić bardzo dziwną rzecz, jaką było przepisanie na nią mieszkania, Julia ubzduriała sobie, że musi się troszczyć o Marka. Jej zdaniem dostał już tak po dupie od życia, że teraz będzie tylko lepiej.

Bardzo chciała mieć swój czynny udział w robieniu mu dobrze. I dosłownie, i w przenośni.

– A co ty tutaj robisz? – zapytała, kiedy otworzyła drzwi od recepcji przynależącej do gabinetu Marka. Siedział na jej biurku, uderzając dłonią o udo. Zazwyczaj kiedy przekraczała próg tego pomieszczenia, on był u siebie.

– Musimy porozmawiać.

– Stało się coś? – zapytała, odwieszając torbę na wieszak. Patrząc na niego, aż chciałoby się powiedzieć, że naprawdę stało się coś bardzo złego. No ale nie było to aż tak oczywiste. – Zrobiłam coś nie tak? Zapomniałam zapisać pacjentkę? Chcesz mnie zwolnić, bo doszedłeś do wniosku, że łączenie miłości i pracy nie idzie ze sobą w parze? To znaczy między nami to chyba nie ma jeszcze miłości...

– Zamknij drzwi. – O ile Marek wyraz twarzy zawsze miał taki sam, tak jego barwę głosu Julia nauczyła się już dobrze rozpoznawać. Tym razem brzmiał dość oficjalnie. I zdystansowanie. Nie wiało optymizmem.

– Zamknęłam przecież.

– Na klucz.

– Już. Możesz mi powiedzieć, o co ci chodzi? – zapytała, odwracając się do niego.

– Podejź. Jest coś, o czym musimy porozmawiać.

– To coś poważnego?

– Szkoda naszego czasu na coś niepoważnego.

– Marek!

– Julia. – Nim zdążyła się zorientować, że tylko się z nią przekomarzał, tulił ją w ramionach. – Pacjentka z ósmej trzydzieści odwołała spotkanie. Pacjentka z dziesiątej również. Mamy trochę czasu dla siebie.

– I nie mogłeś zadzwonić i mi tego powiedzieć? Pospałabym sobie dłużej. – Udała, że się dąsa.

– Chciałbym to zobaczyć.

– Jak śpię? Mam wtedy głowę pod poduszką. I bardzo często śni mi się, że się duszę. I chodzi po mnie mój kot. I pająki.

– I tak chciałbym to zobaczyć.

– Nie pozostaje zatem nic innego, jak spełnienie twojej fantazji. – Posłała mu filuterny uśmiech.

– Nie kuś, bo ledwo wytrzymuję. A sukienka, którą dziś na sobie masz, wcale mi nie pomaga w trzymaniu rąk w kieszeniach. – Chociaż na zewnątrz sprawiał wrażenie człowieka do szpiku kości opanowanego, to w środku cały kipiał. Jego bycie z Julią ograniczało się jak do tej pory do całowania i przytulania. I to nie tak, że któreś z nich wyznaczyło jakąkolwiek granicę czy też poprosiło o trochę więcej czasu. Nie. Oni po prostu czerpali przyjemność z tego napięcia, podniecenia i wyczekiwania na moment spełnienia. Wiele wskazywało na to, że ów moment zbliża się wielkimi krokami. Julia to nawet słyszała, jak skrada się do drzwi. Jak puka. Jak je uchyla. Jak mówi „dzień dobry”.

– Mam ją zdjąć? – wyszeptła, oblizując przy tym usta. Zrobiła to z pełną świadomością.

– Julia... – wychrypiął, przyciągając ją do siebie. – Możemy to omówić przy kawie?

– Naprawdę będziemy marnować czas na parzenie kawy?

– Powinienem wystąpić o zakaz zbliżania się.

– A może o nakaz zbliżania... – Zaczęła zawijać włosy na palec. Kolejna prowokacja mająca na celu wyprowadzenie go z równowagi.

– Jesteś pewna? – zapytał, a w zasadzie wyszeptał, przytulając ją do siebie jeszcze

mocniej.

– Jestem pewna. – Ledwo wypowiedziała te słowa, wyswobodziła się z jego ramion i cofnęła o krok.

Nie przerywając kontaktu wzrokowego, zaczęła ściągać z siebie sukienkę. Najpierw zsunęła jeden rękaw, ukazując opalone ramię. Po chwili stała przed nim w samym staniku i majtkach. Oczom Marka ukazał się bardzo kusy, koronkowy komplet o barwie krwistej czerwieni. Z jego ust wydobyło się westchnienie. Gdyby jego penis potrafił wzdychać, również by to zrobił.

– Tak bardzo bym chciał, żebyś dostrzegła na mojej twarzy zachwyty – powiedział mocno zniżonym głosem. – Jesteś piękna.

– Nie muszę tego widzieć. Czuję to. – Sięgnęła za plecy i rozpięła stanik, który współgrając z chwilą, w bardzo zmysłowy sposób zsunął się na podłogę. Po chwili obok wylądowały stringi.

– Tęskniłem za nimi – powiedział, robiąc krok do przodu. Chociaż w dalszym ciągu miał w swoim telefonie nagie zdjęcie Julii, to, które wysłała mu przez pomyłkę, tak na żywo... o tak, na żywo było jeszcze lepiej. Kiedy zbliżył swoje palce do jej nagiej skóry, zassał powietrze, przymknął powieki i odchylił głowę do tyłu. Mając cały czas zamknięte oczy, rzekł: – Nie mam przerwatywy.

– Pomyślałam o tym. – Podeszła do swojej torby i wyciągnęła z niej pudełeczko, które chwilę później szybowało w powietrze, aby znaleźć w dłoniach Marka bezpieczne schronienie.

– Czyli zaplanowałaś te manewry?

– Później o tym porozmawiamy. – Marek miał wrażenie, że jej oczy przybrały jeszcze bardziej intensywne barwy.

– Później? A co będziemy robić teraz?

– Uprawiać seks. Pieprzyć się. Kochać się. Niepotrzebne skreślić. – Z każdym wypowiedzianym przez siebie słowem zbliżała się do niego coraz bardziej. Kiedy skończyła mówić, stanęła przed nim w taki sposób, że jej sutki ocierały się o jego marynarkę. Dłonie Marka wylądowały na jej pośladkach. Ścisnął je i przyciągnął ją do siebie. Zarzuciła mu ręce na szyję i polizła dolną wargę. A potem górną. A potem zaczęła je na zmianę lekko nadgryzać i ssać.

Odpowiedział tym samym, dokładając do pieszczot dłoń, która poczyniała sobie coraz odważniej we wnętrzu jej ud. W jednym momencie biurko, na którym leżały równiutko porozkładane dokumenty i segregatory oraz kilka innych bardzo przydatnych rzeczy, zrobiło się puste. Po chwili miejsce tych wszystkich przedmiotów zajęła Julia. Kiedy jej nagie plecy zetknęły się z blatem, zrobiło jej się bardzo gorąco. A kiedy poczuła język Marka na swojej cipce, miała wrażenie, że za chwilę się poparzy. Wplotła jedną dłoń w jego włosy, druga posłużyła jako knebel tłumiący jej jęki.

Doprawdy lepiej będzie, jeśli nikt ich nie usłyszy. Szczególnie Sylwia.

Marek miał przyjemnie szorstki język, do którego w pewnym momencie dołożył swoją dłoń. Jeden zaledwie palec w zasadzie, ale to wystarczyło, żeby Julia po trzech minutach wyszeptała:

– Już... skończ... proszę... już... wystarczy...

– Ale po co mam kończyć coś, co sprawia ci przyjemność? – zapytał zaczepnie. Teraz pieścił ją już tylko dłonią. Piersi Julii w bardzo przyjemny dla męskiego oka sposób falowały to w górę, to w dół.

– Będę... będę krzyczeć... ktoś... usłyszy...

– Mówią o mnie tutaj takie rzeczy, że to naprawdę nie robi na mnie wrażenia – powiedział. Oderwał jednak dłoń od tego cudownego miejsca.

Julia leżała, oddychając ciężko. Miała przymknięte oczy. Na jej ustach igrał uśmiech. Usłyszała dźwięk rozpinanego rozporka. Otworzyła powieki. Marek właśnie rozrywał zębami opakowanie od kondoma. Oblizła wargi. Nachylił się nad nią, opierając dłonie po obu stronach jej głowy. Przez chwilę tylko na siebie patrzyli. Ona z wypiekami na policzkach, błyszczącymi od podniecenia oczyma i lekko rozchylonymi ustami. On z kamiennym wyrazem twarzy.

– Chcesz na mnie patrzeć? – zapytał.

W pierwszym momencie nie zrozumiała, o co mu chodzi, ale bardzo szybko przyszła refleksja.

– Chcę. I jeśli potrzebujesz zadać mi pomocnicze pytanie, to ja ci od razu odpowiem, że tak, jestem tego pewna – wyszeptała.

Jego oczy pociemniały, a nozdrza zaczęły pracować szybciej. No i jeszcze mrugnął kilka razy powiekami. Kolejnym ruchem, jaki wykonał, było wsunięcie penisa w Julię. Zrobił to wolno, odchylając głowę do tyłu. Żyły na jego szyi momentalnie się uwidocznily. Kiedy nawiązał z nią ponowny kontakt wzrokowy, po jej policzkach płynęły łzy. Już, już chciał zapytać, czy nie sprawił jej bólu, kiedy ona tylko pokręciła głową i się do niego uśmiechnęła. A potem wyciągnęła dłoń, odchyliła skrawek koszuli i zaczęła go głaskać po brzuchu.

Nachylił się nad nią, pozwalając, aby opłótła go ramionami. Poruszał się wolno. Scałował łzę, która spłynęła po policzku Julii. Nie przestawał się ruszać, przytulając ją do siebie coraz mocniej. Z jego ust wydobył się gardłowy pomruk.

Patrzyli na siebie bez słowa. Ona z radością wypisaną na twarzy. On... wiadomo, jednak w tym momencie nie liczyło się to, co było widać, tylko to, co było czuć.

A czuć było miłość.



Rozdział 15

– A ten skórzany motocyklista, co to cię wczoraj rano z nim widziałam, to co? Znowu do ciebie przychodzi? – Takimi słowami Weronika Malinowska przywitała Julię. – Zabrakło już dziewczyn bez zobowiązań w mieście?

– Mogłaby pani chociaż udawać, że nie podglądała. – Julka wywróciła oczyma, z trudem panując nad śmiechem.

– Stałam w oknie i podlewałam kwiaty. – Malinowska zabrzmiała teraz tak, jakby była obrażona.

– O godzinie siódmej piętnaście? – Julia wskazała głową na parapet kuchennego okna. Tylko przez nie Weronika mogła zobaczyć ją i Piotrka. – Jakoś nie widzę tutaj żadnego kwiatka.

– Bo to specjalna odmiana jest. Rano są w kuchni, wieczorem przenoszę je do dużego pokoju.

– Ciekawe...

– Ty mi tutaj awantury od rana wszczynać nie musisz. I nie zmieniaj tematu. Raczylabyś się wytłumaczyć.

– Przecież jest siedemnasta. I nie robię żadnej awantury.

– To nie zmienia tego, że czekam na słowa wyjaśnienia. Czego on tutaj chciał? Ten skurczybyk na motorze!

– Na motocyklu. Motor to jest w kosiarce. – Julia powtórzyła tekst, którym częstował ją Piotrek, ilekroć nazywała jego ścigacza motorem. A robiła to nagminnie. – Przyjechał porozmawiać.

– No chyba nie o pogodzie? – powiedziała ciekawska sąsiadka, a znak zapytania na końcu zdania zabrzmiał tak sugestywnie, że nie można było go zignorować.

– Nie. O nas. To znaczy o mnie i o nim. Nie o mnie i o pani.

– To co? Jeszcze mu nie minęło? – zapytała, podsuwając Julii kawałek drożdżowego placka. Weronika okazywała swoją sympatię do drugiego człowieka poprzez karmienie go. To znaczy tak by właśnie robiła, gdyby grono jej znajomych było... jakiegokolwiek. Z racji nabytej samotności brakowało jej degustatorów. Jednak od momentu nawiązania przyjacielskich relacji z Julią mogła nieco poszaleć. I szalała tak bardzo, że w ciągu miesiąca Julka przytyła trzy kilo.

– Ja chyba nie powinnam tego jeść – powiedziała główna zainteresowana. To znaczy bardzo chciała wbić zęby w ten puchaty kawałek ciasta, ale w jej głowie zapaliła się czerwona lampka, informująca o tym, że jeszcze trochę i zmieni rozmiar ubrania na dwa razy większy. Dobrze, pomyślała zdeterminowana, to ostatni raz. Od jutra przechodzę na dietę. Ledwo jednak wyartykułowała ową myśl, przypomniała sobie, że takie deklaracje to ona składała sobie codziennie od dobrego miesiąca. No trudno, uznała, od jutra NAPRAWDĘ zaczynam się odchudzać. – O mój Boże, ten placek jest obłędny. Chyba kupię sobie bieżnię, bo góra dwa miesiące i będę się turlała po schodach na dół.

– A tam. – Malinowska machnęła tylko dłonią. – Lepiej mi powiedz, co ten Piotrek chciał. I weź jeszcze kawałeczek ciasta. No, weź. Nie wstydź się. – Julia chciała się w tym momencie wstydzić bardzo, no ale jakoś nie potrafiła.

– Chodzi o to, że on nie może się pogodzić z tym, że się rozstaliśmy. Zachowuje się tak, jakby nie dopuszczał tego do siebie.

– To się nazywa zaparciem.

– Chyba wyparciem.

– Może być i wyparciem. Jak tam sobie chcesz. W każdym razie pamiętaj o tym, że

człowiek ma zawsze wybór. Wybierz dobrze.

– Ja już wybrałam. Marka – odpowiedziała, uśmiechając się z rozmarzeniem.

– Miło to słyszeć.

– A właśnie, pani Weroniko, nawiązując do tych życiowych wyborów, czy podjęła już pani decyzję w sprawie pana Zenona?

– To nie jest...

– Zanim pani cokolwiek powie, mam pięć mocnych argumentów, które optują za tym, aby o wszystkim mu opowiedzieć. Dużo o tej historii myślałam i uważam, że potrzebuje pani...

– Niczego nie potrzebuję. – Malinowska nie pozwoliła Julii dokończyć tego, co tamta chciała powiedzieć. To, że podzieliła się z kimś swoją przeszłością, nie znaczyło, że musi teraz udawać kurę i grzebać we własnych błędach. Doszła też do wniosku, że im człowiek mniej wie, tym lepiej śpi, i życzyła Zenonowi Rubasze kolorowych snów. W myślach, ma się rozumieć, bo na żywo nie miała zamiaru się z nim w jakikolwiek sposób kontaktować. Oficjalnie brakowało jej sił, aby do tego wracać. Nieoficjalnie, wstydziła się swojego postępowania.

– Ale pani Weroniko – Julia złożyła dłonie jak do modlitwy – ma pani szansę naprawić błędy z przeszłości. Jeszcze nie jest za późno. Potrzebuje pani tylko...

– Teraz to ja potrzebuję spokoju.

– Może wczasy w Ciechocinku będą dobrym rozwiązaniem? – podpowiedziała Julia. Malinowska była tak samo uparta, jak jej babcia, co znaczyło, że nic nie jest w stanie zmusić jej do czegośkolwiek. Tylko ona sama.

– Byłam raz i podziękuję za towarzystwo zdegenerowanych emerytów, którzy tak się śpieszą na randkę z pensjonariuszką, że przez pomyłkę wyjmują ze szklanki z wodą za małą szczękę kolegi, z którym dzielili pokój. I potem ta sama szczęka wpada im do zupy wiśniowej, plamiąc moją... to znaczy plamiąc białą koszulę pensjonariuszki na różowo.

– Będę udawała, że uwierzyłam w to, że opowiada mi pani o swojej znajomej. – Julia zaczęła się śmiać.

– Było to wyjątkowo niesmaczne doświadczenie.

– Ale jakoś je pani przełknęła?

– Jeszcze mi się czkawką odbija.

W związku z tym, że o godzinie dziewiętnastej rozpoczynał się seans, na który szła Malinowska, Julia wyszła z jej mieszkania pół godziny wcześniej. Nazajutrz ona i Marek też mieli iść do kina, a potem na romantyczną kolację, uznała więc, że spędzi dzisiejszy wieczór w domowym SPA. Musiała jeszcze tylko wyskoczyć do sklepu po świece zapachowe, które rozstawiłaby w łazience, a które dopełniłyby atmosfery przyjemnego oczekiwania. Po krótkim rekonesansie szafek darowała sobie zakupy. Miała w domu świece. No i trudno, że daleko im było do tych stosowanych podczas relaksującej kąpieli.

Podniosły nastrój to podniosły nastrój, a cmentarne znicze nadawały się do tego idealnie.

W tym samym czasie, w którym Julia wylegiwała się w wannie, myśląc o randce z Markiem, jej sąsiadka ukradkowo ocierała łyzy płynące po policzkach. Weronika oglądała film, który opowiadał o trudnej miłości. Takiej, która nie miała prawa się przydarzyć, a jednak dwoje ludzi jej doświadczyło.

On, biedny imigrant z Włoch, zakochuje się w córce swojego szefa, bogatego i wpływowego Amerykanina. Miłość ta zostaje odwzajemniona. Nie podoba się to jednak starszej siostrze dziewczyny, która robi wszystko, aby zakończyć tę relację, ponieważ jest zazdrosna. Posuwa się nawet do tego, że odurza chłopaka środkami nasennymi i łądują razem w łóżku. On co prawda nie jest w stanie zrobić nic, co mogłoby jej uchybić, ale nie jest to w tym momencie istotne.

Liczą się fakty. A te są takie, że ukochana przyłapuje go w łóżku z własną siostrą.

Wszystko, w co do tej pory dziewczyna wierzyła, przestaje mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Czuje się oszukana i wykorzystana przez tych, których kochała. Odbiera sobie życie, nie mając pojęcia, że jest w ciąży. Wynika to dopiero z badań przeprowadzonych podczas sekcji. Jej starsza siostra jest wstrząśnięta i zrozpaczona. I pełna poczucia winy.

Błaga chłopaka o wybaczenie.

Po wielu latach je otrzymuje.

Weronika Malinowska jeszcze długo po seansie siedziała na sali. Dopiero kiedy podszedł do niej pracownik kina, zorientowała się, że już dawno powinna wyjść.

– Przepraszam, czy wszystko w porządku? – zapytał ją mężczyzna.

– Nie, proszę pana, nic nie jest w porządku. Nic nie jest tak, jak powinno. Ale będzie! – Nagle zerwała się z fotela i nim mężczyzna zdążył zapytać o cokolwiek, jej już nie było na sali. Wzruszył ramionami i pokręcił głową. Ta sytuacja utwierdziła go tylko w tym, że kobiety, bez względu na wiek, bardzo trudno zrozumieć.

Weronika po raz pierwszy w życiu pozwoliła sobie na taką rozrzutność, jaką było w jej mniemaniu zamówienie taksówki. Bardzo, ale to bardzo śpieszyło się jej do domu. Potrzebowała iść do Julii i wziąć od niej numer telefonu do Marka, żeby tamten umówił ją z Rubachą. Była dwudziesta pierwsza trzydzieści, a ona od dobrego kwadransa dobijała się do drzwi mieszkania Julii.

– Julia! Julia! Julia! – Na zmianę to pukała, to dzwoniła dzwonkiem, to krzyczała jej imię. Po drugiej stronie panowała cisza. – No trudno – rzekła sama do siebie, uznając, że Julia musiała gdzieś wyjść. – Przyjdę jutro, bylebym tylko zdania nie zmieniała i dalej chciała wyznać swoje grzechy.

Po godzinie dwudziestej drugiej ktoś zadzwonił dzwonkiem do jej mieszkania.

– Julka! – krzyknęła i popędziła otworzyć drzwi. – Marek? – Jakież było jej zdziwienie, kiedy zobaczyła go stojącego w progu. On też był zdziwiony, chociaż tego nie okazał. Weronika miała na sobie różowy szlafrok w żółte kaczuszki. Na głowie kolorowe papiloty. Na twarzy zieloną maseczkę. W dłoni dzierżyła pilot od telewizora.

– Czy Julia jest może u pani? – zapytał.

– Nie. Byłam u niej jakieś pół godziny temu, ale nie otworzyła mi drzwi. Myślałam, że gdzieś wyszła.

– Od dwóch godzin próbuję się do niej dodzwonić, a teraz, kiedy pukałem, nie otwiera. Martwię się.

– Może poszła spotkać się z tym motocyklistą? – zastanawiała się na głos Malinowska.

– Z jakim motocyklistą?

– No z tym, co to wczoraj rano z nim rozmawiała. Najpierw wsiadła na jego motor, a potem z niego zsiadła. Ona sobie poszła, a on wyglądał na wściekłego. Nie może się pogodzić z tym, że Julia nie chce z nim być. A jak odjechał, to taki dym mu spod kół wyleciał, że myślałam, że trzeba po straż pożarną dzwonić.

– Nic mi o tym nie wspominała.

– Może nie chciała cię martwić. Ale wy to czasem nie byliście umówieni na jutro?

– Byliśmy.

– No to teraz i ja zaczynam się martwić.

Marek nie chciał mówić Malinowskiej, że od kilku godzin nie opuszczało go złe przeczucie. Nie mógł go zignorować, dlatego kiedy Julia nie odbierała od niego telefonu, a zadzwonił do niej kilkanaście razy, wsiadł w samochód i przyjechał do jej mieszkania. Pukanie do drzwi odbiło się echem.

– Jadę po Rubachę – powiedział. – Nim cokolwiek zrobimy, muszę mieć pewność, że Julii nie ma w mieszkaniu.

Wybiegł z kamienicy, zostawiając Malinowską samą. Na hasło „Rubacha” zrobiła znak krzyża i weszła do mieszkania, żeby zmyć z twarzy maseczkę. Zmieniła też szlafrok na coś bardziej reprezentacyjnego, a potem stanęła w kuchennym oknie, wypatrując powrotu Marka.

I Zenona.

Rozdział 16

– Irysku, pooglądaj sobie film. Ja idę się relaksować. I błagam, nie miaucz mi pod drzwiami, że chcesz jeść albo że mam ci przełączyć kanał czy też że potrzebujesz zainteresowania. Nie ma mnie dla nikogo – powiedziała Julia, a potem zniknęła w łazience. Wyszła z niej półtorej godziny później, dziękując kotu za to, że uszanował jej prawo do prywatności, co zdarzało się bardzo rzadko. Może ze dwa razy, od kiedy ze sobą mieszkali.

– Tego mi było trzeba – powiedziała. – A teraz wino i książka i uznam ten dzień za bardzo udany.

Jak powiedziała, tak też uczyniła. Ledwo jednak pociągnęła łyk dobrze schłodzonego napoju, rozdzwonił się telefon. Cały jej entuzjazm oklapł. Dzwoniła mama.

– Halo. – Głos Julii mógł w tym momencie przywoływać na myśl pokutnika, który zmierzał w kierunku szubienicy i nic nie wskazywało na to, aby miał uniknąć stryczka.

– Musimy porozmawiać.

– Teraz? – zapytała, domyślając się, o czym będzie ta rozmowa. Na pewno chodziło o przepisanie mieszkania. I na pewno trzeba było o tym dyskutować w tym momencie.

– Tak, teraz. I mi nie przerywaj. – O dziwo tym razem Honorata była, może nie nastawiona przyjaźnie, ale dość pozytywnie, o czym świadczył brak warknięć i wykrzykników, którymi uwielbiała szastać podczas rozmowy z córką.

– Słucham.

– Jestem chora. Mam raka. Potrzebuję pieniędzy na leczenie – powiedziała to głosem bardzo spokojnym. Julka nawet się nad tym nie zastanowiła. No bo jak, u licha, zastanawiać się nad tonacją, kiedy motyw przewodni brzmi tak strasznie. Zapadła cisza, która przerywana była kilkukrotnym przełknięciem śliny.

– Masz zamiar coś powiedzieć? – zapytała matka. W jej głosie dało się słyszeć zniecierpliwienie. – Czy jednak jest ci teraz wstyd, bo nie chciałaś mi pomóc, kiedy cię o to prosiłam? – Z prośbieniem co prawda miało to bardzo mało wspólnego, ale w mniemaniu Honoraty tak właśnie było.

– Gdybym wiedziała wcześniej...

– Myślisz, że ja wcześniej chciałam o tym komukolwiek mówić? Myślisz, że potrzebuję litości? Myślisz, że to jest dla mnie takie proste? Nie ty jesteś chora tylko ja. Zostałam z tym sama. – Uderzenie w litościwe tony było świetnym posunięciem.

– Jesteśmy przecież rodziną, gdybym tylko wiedziała...

– Bardzo się cieszę, że o tym pamiętasz – sarknęła Honorata. – Bo do tej pory miałas to gdzieś.

– Jaki to rak? Jakie są rokowania? O jakiej kwocie mowa? Pytam, ponieważ wiem, że masz pieniądze. Te, które dostałaś po sprzedaży domu. – Julia miała nadzieję, że nie rozdrażni matki tymi słowami.

– To za mało. Czeka mnie bardzo kosztowne leczenie w Stanach. Nie chcę się wdawać w szczegóły. Uszanuj to. Wystarczy, że od kilku tygodni nie zmrużyłam oka, zastanawiając się nad tym, ile jeszcze pożyję.

– Mamo, dlaczego ja dowiaduję się o tym dopiero teraz?

– Pomożesz mi czy mam sobie radzić sama? – Honorata zignorowała jej pytanie. Była na wygranej pozycji, ponieważ była chora i należało jej się współczucie. Ma się rozumieć, że jedyne problemy zdrowotne, jakie jej ostatnimi czasy dolegały, to lekki ból zęba i migrena, ale uznała, że śmiertelna choroba sprawi, iż Julia przepisze na nią swoje mieszkanie. To znaczy taki pomysł

podsunął jej Stefan, tłumacząc, że czasem trzeba posunąć się do kłamstwa, żeby uzyskać sprawiedliwość. Honorata, która od zawsze uważała, że mieszkanie córki powinno być zapisane na nią, uznała, że ta sprawiedliwość się jej po prostu należy. Zero wyrzutów sumienia, tylko umiejętnie i żałośnie kłamliwe wpędzanie córki w poczucie winy.

– Przyjadę jutro i pomyślimy, co dalej z tym zrobić. Możesz liczyć na moje wsparcie – powiedziała Julia.

– Nie potrzebuję, żebyś do mnie przyjeżdżała – warknęła. Wróciła stara, pocziwa i wredna Honorata. – Lekarz powiedział, że mam się nie denerwować, a ta rozmowa strasznie mnie stresuje. Ja potrzebuję jasnej deklaracji. Muszę wiedzieć, na czym stoję. Nie mam czasu na pierdoły. Powinam już podpisywać umowę kredytową i rozmawiać o leczeniu, a co ja robię? Poniżam się przed córką, dla której ważniejsze jest wypytywanie o szczegóły niż chęć niesienia pomocy. Po co ja ci to wszystko w ogóle powiedziałam?

– Jeśli nie ma innego wyjścia, zrobię to. – Julia była bliska płaczu. Z wielkim trudem panowała nad drżeniem głosu.

– Świetnie. Muszę kończyć, jestem zmęczona. Niedługo się odezwę. – Rozmowa zakończyła się dość nagle.

Julia patrzyła na swój telefon przez kilka minut. W jej głowie kłębiły się tysiące myśli, a każda następna była gorsza od poprzedniej. Nawet przez sekundę nie pomyślała, że została oszukana, no ale właściwie dlaczego miałyby tak myśleć? Mimo ich kiepskich relacji, matka nigdy jej nie okłamała. Ba, waliła prawdę między oczy aż miło.

Albo i niemiło.

– Mam wobec niej dług do spłacenia. – W głowie Julii pojawił się obraz, kiedy to będąc małą dziewczynką, podchodzi do maminej torby i wyciąga z niej pieniądze. I trudno, że dostała wtedy takie lanie, że przez kilka dni nie mogła usiąść na tyłku.

Jej telefon rozdzwonił się ponownie.

Tym razem na wyświetlaczu pojawiło się imię Marka. W pierwszym odruchu chciała odebrać, ale coś było silniejsze i kazało jej zignorować połączenie. Wyciszyła telefon i przymknęła powieki. Bolała ją głowa. Z minuty na minutę czuła się coraz gorzej. Martwiła się. I trudno, że jej relacje z mamą były, delikatnie mówiąc, słabe. Julia czuła się w obowiązku pomóc jej tak, jak tylko będzie w stanie. Usłyszała pukanie do drzwi. Nie miała ochoty ich otwierać, ale ten, kto znajdował się po drugiej stronie, był bardzo natrętny.

Otworzyła.

– Musimy porozmawiać. – Piotr nie czekał na zaproszenie, wszedł do środka.

– To nie jest dobry moment na rozmowę – powiedziała. Głowa bolała ją coraz bardziej. Nie miała siły na słowne utarczki, a wszystko wskazywało na to, że właśnie to ją czeka. I po co go wpuszczasz, kretynko, pomyślała wściekła na siebie samą, mało ci problemów? – Porozmawiamy innym razem. Dziś...

– Porozmawiamy dziś! Mam, kurwa, dość tego, że mnie tak ignorujesz! Mam serdecznie dość łażenia za tobą i błagania o twoje zainteresowanie! – warknął.

– Piotrek, proszę cię, nie zaczynaj. Nie jestem dziś w nastroju.

– Ja za to jestem w doskonałym nastroju. – To były sekundy. Dopadł do niej, chwycił ją za ramiona i przyparł plecami do drzwi. Nie był od niej dużo wyższy, ale na pewno silniejszy. I śmiał się w sposób, który wywoływał ciarki na plecach. Przerzątał ją.

– Puść mnie! To boli! Piotrek, słyszysz? To boli! – Nie był to krzyk, raczej uniesiony głos, który miał przywołać go do porządku, bo najzwyczajniej w świecie pozwolił sobie na zbyt dużo.

– A jeśli tego nie zrobię, to co? Zbijesz mnie? – zapytał, nie przestając się śmiać. Miał

mocno rozszerzone źrenice i rozbiegane spojrzenie.

– Ty ćpałeś?

– Chuj ci do tego – powiedział, a potem zrobił coś, czego Julia się absolutnie nie spodziewała. Naraz poczuła, że brakuje jej tchu, a stało się to za sprawą kolana, którym uderzył ją w brzuch. Z trudem łapała oddech, on natomiast w tym samym czasie przekręcał klucz w drzwiach. Chciała się go zapytać, co on, do jasnej cholery, sobie myśli, chciała mu powiedzieć, żeby przestał i natychmiast opuścił jej mieszkanie, o poszanowaniu przestrzeni osobistej nie wspominając, ale nie było jej to dane, ponieważ odwrócił ją do siebie plecami, a po chwili wykręcał oba nadgarstki. Pociągnął ją za włosy, odchylając głowę do tyłu pod bardzo nienaturalnym kątem. – Mnie się nie zostawia – wyszeptał jej do ucha, a potem polizał ją po policzku. Julia próbowała się wyrwać, ale była bez szans w starciu z agresorem. Zaczęła więc krzyczeć, jednak przyniosło to odwrotny skutek od zamierzonego, bo Piotrek, zamiast się wystraszyć, ścisnął ją za gardło, ponownie pozbawiając dopływu powietrza. – Zamknij ryj, bo cię zabiję! Zrozumiałaś? Pytałem, czy rozumiałaś!

Nie mogła mu odpowiedzieć, pokiwała więc głową. Poluzował nieco uścisk na gardzieli.

– Jeśli krzykniesz, pożałujesz. Jeśli będziesz siedziała cicho, będzie ci miło. Już ja o to zadbam.

W tym momencie do sparaliżowanej strachem Julki dotarło, co on chciał jej zrobić. Zaczęła się z nim szarpać, próbując wyrwać się z jego uścisku. Krzyczała, ale były to ledwo słyszalne kwilenia, bo zasłonił jej usta dłonią. Usłyszała miauknięcie i syczenie. Zmobilizowało ją to do jeszcze większej szarpaniny.

– Spierdalaj, sierściuchu – padło z ust Piotra.

Kątem oka dostrzegła, że Irysek próbuje go zaatakować. Kociak był w tym starciu bez szans. Został kopnięty tak mocno, że jego ciało odbiło się od ściany, a potem upadło na podłogę. Do uszu Julii dobiegło cichutkie, żalosne miauczenie. Po jej policzkach płynęły łzy. Nie płakała nad swoim losem, tylko nad losem swojego małego przyjaciela. Kochała go całym sercem, a teraz dopuściła do tego, żeby stała mu się krzywda.

– Powinienem zrobić to dawno temu. – Pociągnął ją za sobą. Upadła. Kiedy chciał ją podnieść, ugryzła go. W odpowiedzi uderzył ją w twarz tak mocno, że zrobiło jej się ciemno przed oczyma. Rozciął jej wargę. Potem złapał za włosy, ściskając je u nasady z całej siły. A tej miał bardzo dużo. Nachylił się nad nią i uderzył ją ponownie, a potem jeszcze raz, zanosząc się mściwym śmiechem. Była zamroczona. Poczuła, że ją podnosi. Po chwili znaleźli się w sypialni. Popchnął ją na łóżko, co, pomimo strachu, dało jej możliwość podjęcia próby ucieczki. On był jednak szybszy. Bawiła go ta sytuacja. Bawił go lęk Julii. Bawiło go to, co chciał jej zrobić.

– Ty oszalałeś! – Zaczęła wykrzykiwać wszystko to, co przychodziło jej w tym momencie do głowy: – Pomocy! Pali się! Złodziej! Ratunku! Policja! Pożar!v– Łudziła się, że ktoś ją usłyszy i przyjdzie jej z pomocą.

Dopał do niej, ponownie chwycił za gardło, a potem sięgnął po poduszkę i przycisnął materiał do twarzy Julii. Dusił ją. Machała rękami i nogami, próbując go podrapać albo kopnąć. Zrobić cokolwiek, żeby się uwolnić i uciec. Tyle tylko, że z sekundy na sekundę miała coraz mniej sił do walki.

Ja umrę, pomyślała nagle. On mnie zabije. Chciała, żeby to wszystko się skończyło. Przestała się szamotać, przestała ruszać rękoma. Przestała przełykać ślinę. Była jak sparaliżowana.

Poddała się.

Poczuła, jak poduszka jest zdejmowana z jej twarzy. Zobaczyła przed oczyma rozmazaną postać. Pomimo problemów z widzeniem wiedziała, kto to jest. Poczuła, jak męska dłoń

wślizguje się pod jej koszulkę i ściska za pierś. Najpierw jedną, potem drugą. Bolało. Chciała unieść rękę, żeby go odepchnąć, ale nie mogła tego zrobić. Nie czuła własnego ciała. Przeniosła wzrok na sufit. Miała świadomość wszystkiego, co się z nią dzieje, tego, że jej spodenki zostały ściągnięte, też. Usłyszała dźwięk rozpinanego rozporoka i szybki oddech, wydobywający się z ust napastnika.

Jej nogi zostały rozchylone.

Wciąż patrzyła w sufit.

Mogła teraz albo walczyć, albo wręcz przeciwnie – być bierną. Udawać, że jej wcale tutaj nie ma. Że to nie ona. Że to nie jest jej ciało. Mogła też udawać, że umarła. Mogła postąpić jak zwierzę w sytuacji beznadziejnej. Ot, taki obronny mechanizm biologiczny. I tak właśnie uczyniła, odłączając swój umysł od ciała. Odłączając się od emocji, przeżywania i myśli. Nie wiedziała nawet, że potrafi coś takiego zrobić. Ucieszyła się.

Była to bardzo dziwna radość.

Jej oprawca nie bez oporu wepchnął w nią swojego członka. Z chwilą, kiedy to zrobił, coś w niej pękło. Coś, co przez wiele lat w niej mieszkało i było odpowiedzialne za radość, która ją otaczała, po prostu zniknęło.

Piotrek jęczał. Ściskał ją za ramiona, gryzł po szyi, sapał. Julia czuła, jak jego ślina kapie na jej twarz. Czuła jego oddech. Jego dotyk. Czuła zło, którym był przesiąknięty.

Ile to wszystko trwało? Pięć minut? Pięć godzin? Pięć dni? Nie miała pojęcia. Nagle poczuła, że ten, który ją krzywdzi, zastyga w bezruchu i zaczyna jęczeć, a potem z niej schodzi. Ona również została pociągnięta do góry.

– Chciałaś tego – usłyszała jego głos, który dobiegał z oddali. – Powtórz. Chciałaś tego.

Nie wykonała polecenia. Nawet wtedy, kiedy ścisnął ją za gardło, aby wymusić taką deklarację. Było jej już wszystko jedno. Była zniszczona, pozbawiona duszy, jej granice cielesne zostały naruszone przez człowieka, z którym kiedyś szła do łóżka z przyjemnością.

Umarła za życia.

– Zaprosiłaś mnie do domu i prowokowałaś swoim zachowaniem. To wyszło z twojej inicjatywy. To ty tego chciałaś. A jeśli komukolwiek powiesz, że było inaczej...

– Nic nikomu nie powiem – usłyszała swój własny głos. Dziwne, pomyślała, to naprawdę ja to powiedziałam? Naprawdę chcę zachować to wszystko dla siebie? Naprawdę?

– Grzeczna suka. – Chciał ją pocałować, ale odskoczyła do tyłu. Zaśmiał się tylko i wyszedł. Usłyszała, jak zbiegając po schodach, pogwizduje pod nosem wesołą melodię. Zamknęła drzwi na klucz, a potem osunęła się na podłogę. Patrzyła przed siebie. W dalszym ciągu miała problem z widzeniem, z ostrością. Przed oczyma miała czarną plamę, która z minuty na minutę zaczęła przybierać coraz bardziej realny kształt.

Plama lekko drgała.

– Irysek, Irysek. – Zerwała się na równe nogi, a chwilę później tuliła do siebie ciało kota. – Nie umieraj, nie umieraj, nie umieraj – błagała go, bujając się do przodu i do tyłu.

Wydawało jej się, że ktoś ponownie dobija się do drzwi. Że słyszy swoje imię.

Zatkała uszy.

Rozdział 17

Marek, sąsiadka Malinowska i Zenek Rubacha stanęli przed mieszkaniem Julii.

– Jesteś pewien, że mam to zrobić? – zapytał Zenon. – Wiesz, co innego, kiedy włamywałem się do domu za zgodą właścicielki, a co innego...

– Przestań tyle gadać i otwieraj te cholerne drzwi! – naskoczyła na niego Malinowska. – Ale już!

– Paniusia się tak nie piekli – odpowiedział, nie mając świadomości, kim jest to rozdarte babsko. Czuł jednak przed nią respekt. – Już otwieram. – Jak powiedział, tak też uczynił. Pierwszy do mieszkania wszedł Marek, z przyklejoną do pleców Malinowską. Zenon dreptał tuż za nimi.

– Julia? To ja – powiedział Marek.

– To my. – Weronika weszła mu w słowo.

Na korytarzu, z którego można było wejść do pozostałych pomieszczeń, panował rozgardiasz. Zawsze równo ułożone buty teraz leżały rozrzucone po podłodze, pomiędzy nimi piętrzyły się kawałki zmiętego papieru toaletowego. Wszystkie szafki były pootwierane. Pośrodku całego bałaganu stał transporter dla kota.

– Julia! – Tym razem Marek uniósł głos.

– Nie podoba mi się to, co widzę – powiedziała Malinowska. Wyprzedziła Marka, weszła do salonu i zamarła w bezruchu. – Mój Boże!

Marek i Zenon błyskawicznie znaleźli się obok niej. Julia siedziała na kanapie. Miała na sobie zimową kurtkę. W ramionach trzymała kota. Jej wzrok wbity był w sufit.

– Julia? Słyszysz mnie? – Marek przykucnął obok niej i próbował nawiązać kontakt. Bezskutecznie.

– Co jej jest? – zapytała Weronika, przyklękając tuż obok.

– Chyba jest w szoku.

– Wygląda strasznie. Trzeba wezwać pogotowie? A może policję?

– Nie! – krzyknęła nagle Julia. – Nie policja! Nie! Nie! Nie! Ja tego chciałam! To moja wina! Moja! Moja! – Jedną ręką przyciskała do siebie kota, drugą na zmianę szarpała się za włosy i uderzała pięścią w głowę. Marek chwycił ją za nadgarstek. Spojrzenie, jakie mu posłała, pełne było przerażenia i bólu. – Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie! Zabierz te ręce! Błagam! Nie rób mi krzywdy! Puść mnie! – wrzeszczała, próbując wyswobodzić się z dotyku jego dłoni. Puścił. W momencie, w którym poczuła, że jest wolna, położyła się na kanapie, objęła kolana rękoma i schowała głowę.

– Zenek, weź od niej kota. Szybko! – Marek wydał polecenie.

– Irysek, Irysek, Irysek – szlochała, szepcząc imię pupila.

– Co robimy? – zapytali jednocześnie Malinowska i Zenon. Ich spojrzenia biegnęły od Julii do Marka, od Marka do Julii. I tak kilka razy.

– Pani Weroniko, proszę wezwać taksówkę. Pojedziecie z kotem do weterynarza. Ja zajmę się Julią.

– Ale... – Malinowska chciała zaprotestować. W tych całych emocjach umknęło jej to, że Marek zwrócił się do niej po imieniu przy Zenonie. Zenkowi wcale to nie umknęło, mało tego, miał świadomość, że coś gdzieś dzwoni. Musiał tylko zlokalizować adres kościoła, jednak niekoniecznie teraz.

– On też potrzebuje pomocy. – Marek prawie siłą wypchnął ich z salonu. Malinowska była przerażona. Zenon z kolei trzymał w ramionach kota, który co chwilę to otwierał, to

zamykał ślepią. Irysek nie miał siły miauczeć. Bolały go żebra, o jego kociej duszy nie wspominając. Stało się to, co wisiało w powietrzu, od kiedy tylko Piotr przekroczył próg tego mieszkania, a on nie potrafił ochronić Julii. Był tylko zwykłym, bezwartościowym sierściuchem. Poczł nagle, że ktoś kładzie na jego łebku dłoń i go głaszcze. Wdzięczny był za ten gest. Ten ktoś okazał się Markiem, który powiedział mu, że ma być dzielny. Irysek użył całej siły, aby wydać z siebie miauknięcie. Zabrzmiało ono tak żałośnie, że Malinowska zaniosła się płaczem.

Chwilę później on, sąsiadka Malinowska i miły pan, który go trzymał na rękach, siedzieli w taksówce. Gdyby Irysek był w lepszym stanie, wyczułby napięcie, jakie towarzyszyło tej dwójce. Przymknął tylko oczy. Miał świadomość, że zostawił Julię w bezpiecznych rękach. Sam też czuł się bezpiecznie.

Marek ukucnął obok Julii.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał. Odpowiedziała mu cisza. Julia cały czas leżała na sofie. Powieki miała ściśnięte, uszy zakryła dłońmi. – Słyszysz mnie?

Albo go naprawdę nie słyszała, albo udawała, że jego słowa do niej nie docierają. Wyprostował się i poszedł do sypialni po koc. Od momentu, kiedy nie odebrała od niego telefonu, miał złe przeczucie. Wmawiał sobie jednak, że w jej przypadku jest bardziej wyczulony niż normalnie i na pewno wyolbrzymia sytuację. Niestety z każdym nieodebrany połączeniem uczucie niepokoju coraz bardziej się wzmagalo. Kiedy natomiast Zenon użył swoich złodziejskich umiejętności i otworzył drzwi od jej mieszkania, w nozdrza Marka wdarł się bardzo brzydki zapach. Znał ten zapach. Zwiastował ludzką krzywdę.

Teraz, stojąc w sypialni Julii, poczuł go ponownie. Był intensywny i zgniły. Tak pachniało zło.

Złapał koc i wyszedł z pokoju. Julia leżała na kanapie w takiej samej pozycji, w jakiej ją zostawił. Jej mocno zaciśnięte powieki świadczyły o tym, że nie śpi. Przykrył ją, a potem usiadł na fotelu, oparł głowę na dłoniach i starał się znaleźć rozwiązanie dla tej sytuacji. Problemem było jednak to, że nie dopuszczał do siebie myśli, które krążyły nad nim niczym sępy nad swoją ofiarą. Kiedy tylko zniżały się, aby zaatakować, on je odganiał. Nie uciekały. Czaiły się nieopodal, wyczekując na dogodny moment.

– Zmierz się z tym – powiedział sam do siebie. – Inaczej nie będziesz w stanie jej pomóc.

Uniósł głowę i patrzył na Julię. Jego nozdrza pracowały ze zdwojonym tempem. Dłonie co chwilę zmieniały położenie. Ciało z sekundy na sekundę robiło się coraz bardziej napięte. Przymknął powieki i zwolnił oddech. Kiedy ponownie otworzył oczy, już wiedział, co ma zrobić. Wiedział, w jakim kierunku powinien podążyć. Musiał dotrzeć do Julii. Wstał, wyszedł do korytarzyka, wyciągnął z kieszeni spodni telefon i wybrał numer Tamary.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział, kiedy tylko odebrała.

– Nie wiem, czy chcę ci jej udzielić – odpowiedziała. W jej głosie słycać było dystans. Miała do Marka żal o to, że ją zostawił i ignorował jej błagania o powrót.

– Nie chodzi o mnie. Moja partnerka... ona chyba została zgwałcona.

– Chyba? – Choćby chciała być w tym momencie złośliwa, nie mogła. Nie w obliczu takiej informacji.

– Wiele na to wskazuje.

– Zawieź ją na komisariat – padło w odpowiedzi. – Pomogą wam.

– Chciałbym cię prosić o to, żebyś do nas przyjechała. Julia, kiedy tylko usłyszała o policji, zaczęła panikować i krzyczeć, że to jej wina i że tego chciała.

– Skąd wiesz, że tak nie było? Bezpodstawne oskarżenie o gwałt może zniszczyć komuś

życie.

– Tamara... – Marek przecesał dłonią włosy. – Ja to wiem. Przyjedziesz? – zapytał. Odpowiedziało mu milczenie. – Tamara? Przyjedziesz czy mam szukać pomocy gdzie indziej? – ponowił pytanie.

– Przyjadę. Podaj adres.

Pół godziny później Marek usłyszał dźwięk domofonu. Kiedy Tamara stanęła w drzwiach, przez chwilę patrzyła na niego wzrokiem pełnym irytacji. Była zła. Najbardziej dlatego, że już zaczęła sobie układać w głowie to, że jego nie ma w jej życiu, a tu proszę, jak trwoga, to do Tamary?

– Miej świadomość, że nie robię tego dla ciebie. – Wyminęła go i weszła do środka. – Gdzie ona jest?

– Chodź.

Ruszyła za nim, skanując otoczenie. Jako adwokat, która miała na co dzień do czynienia z przestępstwami, musiała zachować czujność i być bezstronna. Ileż to razy okazywało się, że kobiety wysnuwają fałszywe oskarżenia, aby tylko się zemścić. Tyle samo razy ofiary nie mogły doczekać się sprawiedliwości, a oprawca uciekał od odpowiedzialności. Gwałt, poza tym, że był czynem odrażającym, gdyż obnażał z godności, wykorzystywany był do niszczenia drugiego człowieka.

Tamara przykucnęła obok Julii. Jej wzrok dość długo spoczywał na dziewczynie. Chwilę później przeniósł się na Marka.

– Musicie to zgłosić. Jeśli naprawdę doszło do gwałtu...

– Nie! – Julia, która wcale nie spała, otworzyła oczy i podniosła się do pozycji siedzącej. – Ja nie zostałam zgwałcona! Ja nie zostałam zgwałcona! Ja nie zostałam zgwałcona! – Zaczęła uderzać pięścią w czoło, powtarzając co chwilę te same słowa. W pewnym momencie jej krzyk przeszedł we wrzask.

– Julia? – Marek zbliżył się do kanapy, przykucnął i chciał pogłaskać ją po głowie.

– Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie! – wrzeszczała, drapiąc się po twarzy i wyginając ciało w taki sposób, żeby on jej nie dotknął. Tamara chwyciła jej dłonie w swoje. Czekala, aż Julia zwróci na nią uwagę, a kiedy to się stało, zaczęła do niej mówić. Robiła to cicho, tak, żeby skupiła na niej swoją uwagę.

– Mam na imię Tamara. Jestem przyjaciółką Marka. Chcę ci pomóc. – Cały czas głaskała dłoń Julii. Jej ruchy były wolne. Cały czas też mówiła. – Opowiesz mi, co się stało? Jeśli chcesz, on sobie pójdzie. – Wskazała głową na Marka. – Chcesz? Jedno twoje słowo i on sobie pójdzie. Ma iść?

Nie odrywając oczu od twarzy Tamary, Julia zaczęła kiwać głową. Marek wypuścił powietrze, przymknął na moment oczy i pokręcił głową z rezygnacją. Potem wyszedł z mieszkania.

– Nie czujesz się z nim bezpiecznie? Boisz się go? – zapytała Tamara. Usiadła obok Julii, nie wypuszczając jej dłoni ze swojego uścisku. Nie doczekała się odpowiedzi. – Jesteś dla niego ważna. Martwi się o ciebie. Chciałby ci pomóc. Zależy mu na tobie, dlatego poprosił mnie o pomoc. Powiesz mi, co się stało? – Kiedy po pięciu minutach od zadanego pytania Julia dalej milczała, Tamara zapytała: – Mam sobie iść?

– Nie!

– Dobrze. Zostanę.

– Mogę się położyć? – zapytała nagle Julia.

– Oczywiście.

– A kiedy otworzę oczy, ty tutaj będziesz?

– Będę. A czy teraz ja mogę zadać pytanie tobie? – Kiedy Julia pokiwała głową, Tamara zapytała: – Kiedy się ostatnio myłaś? – Pytanie to było bardzo ważne. Kobiety, które zostały zgwałcone, zaraz po akcie się myły. W swoim mniemaniu czuły się brudne. Problem w tym, że zmywały też z siebie dowód popełnienia przestępstwa.

– Wcześniej. Byłam w wannie. Były świece. Patrzyłam, jak się palą, a potem zadzwoniła moja mama. A potem... – Julia zapatrzyła się przed siebie.

– Co było potem? – zapytała Tamara z nadzieją, że uzyska jeszcze jakieś informacje.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Jesteś pewna? – Kiedy jej pytanie pozostało bez odpowiedzi, zadała kolejne. Bezpieczniejsze. – Może chciałabyś to zdjąć? – Wskazała na puchową kurtkę, którą Julia miała na sobie. Ta w odpowiedzi objęła się ramionami, położyła na kanapie i zacisnęła mocno powieki.

Pół godziny później spała.

Tamara odczekała jeszcze kilka minut, a potem wstała i wyszła z mieszkania. Marek siedział na schodach.

– I co? – Zerwał się, kiedy tylko ją zobaczył. – Dowiedziałaś się czegoś?

– Obawiam się, że twoje przypuszczenia mogą okazać się słuszne. Zachowuje się bardzo niepokojąco. Widziałam też w jej oczach przerażenie. – Nie skomentowała tego, że zachwyciły ją różnokolorowe tęczęwki Julii. Byłoby to nie na miejscu. – Uważam również, że ona wypiera ze świadomości to, co się stało. Bo nie sądzę, żeby kłamała.

– Masz na myśli amnezję dysocjacyjną? – Marek wiele razy w swojej pracy spotkał się z tym zjawiskiem, które swoją drogą było jednym z najsilniejszych mechanizmów obronnych. Blokowało dopuszczenie do umysłu traumatycznych przeżyć. Ludzie na tyle świadomie wypierali złe doświadczenia, które ich spotkały, że przez wiele lat nie zdawali sobie z tego sprawy. Działo się tak wtedy, kiedy dana sytuacja lub zdarzenie były zbyt trudne do przepracowania i umysł ukrywał je przed świadomością. Od kogoś, kto doświadczył w swoim życiu traumy, nie można oczekiwać logicznego zachowania. Uniemożliwia to szok. Mnóstwo ludzi w taki właśnie sposób reaguje na krzywdy. Nie należy tego kwestionować, należy to rozumieć. Jedynie kiedy pokrzywdzony zda sobie sprawę z tego, że spotkało go coś złego, będzie mógł się zmierzyć z rzeczywistością.

– Poniekąd tak. Kto jak kto, ale ty wiesz, do czego może to prowadzić. – Tamara pokręciła głową. – Marek, jeśli ona nie będzie wykazywała jakiegokolwiek...

– Wiem. Wiem to – przerwał jej. Wiedział, że jeśli Julia zamknie się w sobie, to może ją stracić. Ale to nawet nie było najgorsze. Gorsze było to, jak ta sytuacja mogła się odbić na jej życiu.

– A czy wiesz, kto mógł jej to zrobić? Sądząc po tym, że stało się to w jej mieszkaniu, mógł to być ktoś, kogo znała i komu ufała.

– Myślę, że jej były partner. Wiem od sąsiadki, że wczoraj rano się z nim widziała i rozstali się w dość napiętej atmosferze.

– Wracam do niej – powiedziała Tamara. – Obiecałam, że jak otworzy oczy, będę obok. Może... może jutro będzie podchodzić do tego inaczej. Będę ją namawiała, żeby to zgłosiła. Ty jedź do domu. Prześpij się. Gdyby coś się działo, zadzwonię.

– Dziękuję – powiedział i zaczął schodzić po schodach. Tamara przez chwilę patrzyła na jego szerokie plecy. Jedyne, co ją dziwiło, to to, że od kiedy go ujrzała, jego wyraz twarzy był ciągle taki sam. To nie jest normalne, pomyślała, zamykając za sobą drzwi od mieszkania Julii, jego partnerka została skrzywdzona, a on wygląda tak, jakby nie zrobiło to na nim wrażenia. Gdyby nie nerwowe zachowanie i drżący głos, pomyślałaby, że ten człowiek nie ma serca. Kiedy weszła do mieszkania, Julia w dalszym ciągu leżała w tej samej, embrionalnej pozycji na

kanapie. Nakryła jej nogi kocem, a potem weszła do kuchni. Zrobiła sobie herbatę i usiadła w fotelu.

Przez chwilę o czymś dumiała. Moment później wystukiwała na klawiaturze swojego telefonu słowa, które miały dać jej odpowiedź na nurtujące ją pytania.



Rozdział 18

Irysek został na kilka dni wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej. Wszystko po to, aby ulżyć mu w cierpieniu. Miał pogruchofaną szczękę i obrzęk mózgu. Weterynarz nie dawał zwierzakowi wielkich szans na przeżycie.

Zegar wskazywał północ, a Marek ani myślał gasić światła i iść spać. Cały czas trzymał w dłoni telefon i na niego patrzył, zastanawiając się po raz chyba setny, czy wezwanie na pomoc Tamary było dobrym posunięciem. Cóż, inne nie przychodziło mu do głowy. No i oddzielił Tamarę, z którą uprawiał seks, od Tamary, która była prawnikiem. Po prostu wiedział, że ona zachowa pełny profesjonalizm.

A raczej to czuł.

Czuł też ból Julii.

Gdyby tylko mógł, wziąłby go na siebie. Gdyby tylko mógł, zrobiłby wszystko, aby jej pomóc. Tyle tylko, że ona nie chciała ani jego, ani jego pomocy. Rozumiał to.

Miał już do czynienia z kobietami, które doświadczyły seksualnej przemocy. Część jego pacjentek potrafiła przepracować traumę, jednak było też wiele takich, które nie umiały sobie poradzić z tym dramatem. Te kobiety widziały wszędzie dookoła siebie zło. Czaiło się ono nie tylko za rogiem, ale i w małym pokoju, w łazience, w kuchni, w mieszkaniu sąsiada. Po prostu wszędzie. Były w stanie ciągłej gotowości. Nie potrafiły zachować spokoju, odprężyć się, odpoczywać. W dłuższej perspektywie takie zachowania prowadziły do wyniszczenia organizmu. Ich ciała były cały czas spięte, można było zaobserwować problemy z poruszaniem się, zaburzenia odżywiania, problemy ze snem, ataki paniki, depresję, lęk przed bliskością czy też zaburzenia sfery seksualnej. U ponad połowy zgwałconych objawiał się również zespół stresu pourazowego.

Wystarczyło, żeby skrzywdzona kobieta została dotknięta w podobny sposób, jak podczas napaści, aby zaczęła przeżywać wszystko ponownie. Wiele z nich uważało, że poza godnością zostało im również odebrane ich ciało.

Rolą Marka było to, aby zawalczyły o siebie, aby odzyskały swoją seksualność i poczucie własnej wartości. Aby wiedziały, że mogą decydować same za siebie i nikt nie może im tego odebrać. Pracował nie tylko nad ich głowami, ale też nad duszą i ciałem.

Miał zatem doświadczenie.

Tylko że Julia nie była jego pacjentką. Była kimś więcej. Była kobietą, która miała w sobie mnóstwo radości, a teraz ktoś w brutalny sposób jej ją odebrał. Nie potrzebował potwierdzenia, żeby to wiedzieć. Nie potrzebował również detektywa, aby wiedzieć, kto to zrobił. Najgorsze jednak było to, że był w tej sytuacji bezradny.

Powieki zaczęły mu coraz bardziej ciążyć, ale nie miał siły, żeby przenieść się z fotela do sypialni. Zamknął oczy. Chwilę później obudził go dźwięk telefonu. To znaczy wydawało mu się, że nastąpiło to kilka minut po tym, jak zamknął oczy. Tak naprawdę przespał siedem godzin.

– Halo. – Nawet nie spojrzął na wyświetlacz, żeby zobaczyć, kto do niego dzwoni.

– Powiedziała mi, żebym poszła do domu i że da sobie radę – usłyszał głos Tamary. Sądząc po odgłosach, jakie jej towarzyszyły, musiała być na zewnątrz.

– Za chwilę tam będę.

– Moim zdaniem powinieneś dać jej czas. Jeśli będzie cię potrzebowała, na pewno ci o tym powie. – Tym razem usłyszał zamykanie drzwi od samochodu. Pewnie wsiadła do swojego auta.

– Pójdzie na policję? – dopytywał, ignorując rady Tamary. Wszedł do łazienki i zaczął

myć twarz. Uznał, że zrobi sobie kawę i pojedzie do Julii. Przecież nie mógł zostawić jej samej.

– Nie potrafię ci odpowiedzieć na to pytanie. Pamiętaj też, że to są w dalszym ciągu tylko przypuszczenia. Dopóki ona tego nie potwierdzi, nie można nic zrobić.

– Jak wiele kobiet nie zgłasza gwałtu?

– Zbyt wiele. Nie jest tajemnicą, że organy ścigania bardzo często podważają wiarygodność ofiar przestępstw seksualnych. Tyczy się to przede wszystkim tego, że kobieta tak naprawdę mogła wyrazić zgodę na odbycie stosunku. Prokuratorzy i sędziowie są bardzo często uprzedzeni, z góry zakładając, że ofiara manipuluje faktami. Wykazują się brakiem empatii. Zbyt często rozprawa przypomina nagonkę. Taka kobieta, jeśli już zdecyduje się na opowiedzenie o swoich przeżyciach, woli zrobić to anonimowo, niż mówić o nich przy świadkach. Oczywiście może być tak, że Julia przełamie strach i o wszystkim opowie. To ty znasz ją najlepiej i wiesz, czy jest typem ofiary, czy wojowniczką. Bo to, że została skrzywdzona, nie ulega wątpliwości. Czeka cię mnóstwo pracy.

– Dziękuję, że przyjechałaś i spędziłaś z nią czas.

– Nie musisz mi dziękować – powiedziała. – Jeśli Julia zdecyduje się złożyć zawiadomienie, poinformuj mnie. Powiem wam, z kim trzeba rozmawiać. Pomogę, jak będę mogła. I, Marek – jakby się zawahała – chciałam cię przeprosić. Ty od samego początku jasno określiłeś swoje zamiary względem mnie. A ja ubzdurałam sobie, że mogę cię okiełznać. Przyznam, że byłam na ciebie wściekła. To straszne uczucie być odtrąconą i niechcianą. Zbyt mocno się zaangażowałam w ten układ, a to od samego początku nie miało racji bytu. Nie traktowałeś mnie jak kogoś, komu mógłbyś zaufać. Nie mam ci tego za złe. Już nie mam.

– Cieszę się, że sobie to wszystko ułożyłaś w głowie. Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Będziemy w kontakcie.

– Tak, będziemy w kontakcie.

Kiedy się rozłączyli, Tamara przekręciła kluczyk w stacyjce i po chwili mknęła przed siebie ulicami Łodzi. Chociaż nie, nie mknęła. Zatrzymywała się, wrzucała jedynekę i powoli turlała do przodu. Potem dwójkę i trójkę i mogła jechać już nieco szybciej. Potem znowu jedynekę i znowu trzeba było się zatrzymać. Bo korki. Miała całkiem sporo czasu na oddanie się przemyśleniom.

– Jestem za ładna, żeby być o niego zazdrosną – powiedziała sama do siebie, a potem włączyła radio. Z głośnika popłynął kojący głos Stinga. – Pomogłam im tak, jak mogłam – ciągnęła swój monolog. – Kurwa! – uderzyła otwartą dłonią w kierownicę. – Kurwa! Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego ludzie są takimi potworami? Dlaczego nie potrafią odpuszczać?

W tym momencie uświadomiła sobie, że przecież i ona nie chciała sobie Marka odpuścić. Szalała, kiedy ją zostawił. Usłyszała dźwięk klaksonu. Uniosła wzrok i ponownie włączyła się do ruchu. Kierowca, który przed chwilą zatrąbił, wyprzedził ją z impetem, tylko po to, aby znaleźć się na tym samym pasie co ona i ostro przed nią zahamować. Jeszcze wczoraj zapamiętałaby numer rejestracyjny i przekazała go swoim kolegom z drogówki, żeby mieli go na oku. Ale dziś był inny dzień i ona była jakby inna.

Dojrzała.

Wyrozumiała.

Bardziej świadoma.

Odpuściła. Zaparkowała auto na parkingu i skierowała swoje kroki do domu. Po drodze patrzyła na twarze ludzi, którzy ją mijali. Zastanawiała się nad tym, jaką każdy z nich skrywa tajemnicę, którą bardzo często ukrywa pod maską.

Uśmiechniętą maską.

To straszne, pomyślała, otwierając drzwi od mieszkania. To straszne, że on nie może się

uśmiechać. Dużo wczoraj czytała. Trafiła również na artykuł o wadach genetycznych. Jedną z nich był Moebius. Była zażenowana sobą, że wcześniej nie zainteresowała się tym, dlaczego Marek jest taki zdystansowany w okazywaniu emocji. Z góry założyła, że ma do czynienia z gburem. Cholernie seksownym, chamskim i pozbawionym emocji. Ale też czarującym. No przecież nie będzie się oszukiwała, że już nie ma do niego słabości.

Tylko co z tego?

Nic, pomyślała. Po prostu go sobie odpuść i zajmij się sobą.

Rozdział 19

Dwa tygodnie.

Tyle czasu potrzebował kot Irysek, aby dojść do siebie. Tyle samo czasu potrzebowała Julia, żeby dotarło do niej to, co się stało.

Przez te czternaście dni unikała Marka, ignorowała jego telefony i pukanie do drzwi. Nie chodziła do pracy, kompletnie wypierając z umysłu to, że powinna tam być. Mało co jadła, nie myślała, siedziała całymi dniami na kanapie, przytulała do siebie poduszkę i patrzyła na ścianę. Ignorowała również sąsiadkę, która przejęła się jej losem tak mocno, że straciła trzy kilo ze swojej wagi. Marek przychodził pod drzwi mieszkania Julii codziennie. Codziennie też odchodził z kwitkiem. Nim jednak to zrobił, zostawiał koperty, które wsuwał przez szparę pod drzwiami.

Wszystkie leżały na podłodze w przedpokoju.

W piętnastym dniu, kiedy Julia otworzyła oczy, stało się coś, czego nie potrafiła wytłumaczyć. Usłyszała w swojej głowie głos. To znaczy ona miała wrażenie, że słyszy go ciągle, ale dopiero dziś dotarł do niej wyjątkowo skutecznie. Mówił, że są na tym świecie ludzie, którzy chcą jej pomóc. Wystarczy tylko, że wyciągnie do nich dłoń. Głos był niezwykle przekonujący. Kazał jej wstać i iść pod prysznic. Potem powiedział, żeby coś zjadła. Po dwóch tygodniach głodówki, bo picie wody i jedzenie jednej kanapki dziennie trudno nazwać prawidłowym odżywianiem, zjadła jajecznicę. Z jednego jajka, ale to zawsze coś.

Potem głos powiedział jej, żeby usiadła na kanapie i się odprężyła. To było trudne, bo miała wrażenie, że wszystko dookoła niej dzieje się szybko, co ją strasznie rozpraszało. A przecież tak naprawdę nie działo się nic. Jedynie jakaś zabłąkana mucha próbowała wylecieć przez okno. Wszystko inne było w bezruchu. Ona też.

– On mnie skrzywdził. On mnie naprawdę skrzywdził. Ja tego nie chciałam – powiedziała w końcu na głos to, co od dwóch tygodni próbowało wydostać się z jej gardła, a przed czym się skutecznie broniła, patrząc na ścianę i licząc do nieskończoności. I właśnie w momencie, w którym z jej ust wypłynęły te słowa, uświadomiła sobie, że głos, który siedział w jej głowie, to nic innego jak jej własne myśli.

Zerwała się z kanapy, chwyciła w dłoń nocną lampkę, zamachnęła się nią i rzuciła przez całą długość pokoju. Owa lampka nie miała szans w zderzeniu ze ścianą. Stolik, na którym chwilę wcześniej stała, również został przewrócony. Julia dopadła do skrzynki, w której trzymała swoje, jak to nazywała, skarby, i zaczęła rozrzucać je po całym pokoju. Były tam ręcznie robione albumy ze zdjęciami, wachlarz przywieziony z zagranicznej wycieczki, porcelanowa lalka, blaszane pudełka po ciastkach, w których pełno było misternej biżuterii. I mnóstwo innych rzeczy. Kiedy już nie było czego wyrzucać, dopadła do fotela i go przewróciła. Potem złapała za zasłony, które przy pierwszym pociągnięciu znalazły się na podłodze. Słysząc tylko, jak na podłogę spadają klamerki przypinające je do karnisza. Trwając cały czas w szale, podbiegła do jednego z kwiatów. Chciała wyrwać go z doniczki z korzeniami i cisnąć na podłogę, a potem po nim skakać.

Coś ją powstrzymało.

Osunęła się na dywan, skryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać.

– Co ja zrobiłam – zaniósł się płaczem – co ja im zrobiłam?

Wcale nie miała teraz na myśli przedmiotów codziennego użytku, które poniewierały się po całym salonie i kuchni. Chodziło o Marka i Weronikę, jedyne osoby, które były jej życzliwe. Dla których ona była ważna. Zerwała się na nogi, dopadła do drzwi wyjściowych i zaczęła je otwierać. Nim jednak to zrobiła, jej wzrok spoczął na kopertach, które leżały na podłodze.

Schyliła się, aby je pozbiierać. Otworzyła pierwszą, potem następną i kolejną. Wreszcie ostatnią. Po zapoznaniu się z zawartością wszystkich przycisnęła je do piersi. Nie powstrzymywała łez, które ciurkiem spływały po policzkach. W każdej z kopert znajdowała się kolorowa karteczka, na której Marek narysował uśmiechniętą buźkę i napisał „Jestem”. Spojrzała na zegarek. Jeśli dobrze kalkulowała, powinien przyjść za kwadrans. Tuż po skończeniu pracy. Oparła się plecami o drzwi, cały czas przytulając do siebie te bezcenne podarki.

Usłyszała pukanie. To musiał być on. Nim jednak otworzyła, zerknęła przez wizjer, żeby się upewnić, że na korytarzu nie stoi ktoś inny. Marek stał pod drzwiami jej mieszkania ze spuszczoną głową. Po chwili ją uniósł. Wyglądał tak jak zawsze, jednak jakby inaczej. Emanował z niego smutek. Palcem wskazującym oraz kciukiem przetarł powieki, a potem sięgnął do wnętrza swojej marynarki.

Wyjął kopertę.

Kiedy chciał się schylić, aby, tak jak poprzednie, precyzyjnie ją pod drzwiami, Julia nacisnęła na klamkę i pociągnęła ją do siebie. Nim on zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, ona przywarła do niego. Oplótł ją dłońmi w pasie i przyciągnął do siebie. Gdyby mógł, zmiażdżyłby ją w swoim uścisku. Wdychał jej zapach, czuł, jak jej włosy przyjemnie łaskoczą go po twarzy. Od razu zauważył, że była dużo chudsza niż wtedy, kiedy trzymał ją w swoich ramionach ostatnim razem.

– Przepraszam – wyszeptwała, szlochając. – Bardzo cię przepraszam. Potrzebuję cię.

– Nie zrobiłaś nic złego. Nic. – Tulił ją do siebie, lekko kołysząc. – Mogę wejść? – Kiedy wypowiedział te słowa, zeszytniała, co on odebrał jako strach. Nie powinien się tak śpieszyć, ale nie potrafił nad sobą panować. Czuł potrzebę przebywania jak najbliżej niej. – Przepraszam. Wcale nie muszę wchodzić.

– To nie tak – wybąkała. – Ja... – Odsunęła się od niego, a potem wskazała głową na drzwi. – Wejdz.

– Co tu się stało? Julia? – zapytał, kiedy znalazł się w środku.

– Ja to zrobiłam. To mieszkanie już nie jest moim azylem. Nie czuję się tutaj bezpiecznie. Boję się.

– Strach to choroba. Można się z niego wyleczyć. Musisz się z nim tylko zmierzyć.

– Tylko. – Zaśmiała się. Zabrzmiało to bardzo smutno. – Właśnie zdałam sobie sprawę z tego, że skrzywdził mnie ktoś, komu ufałam. – Zaczęła wykręcać palce. Marek chciał ją przytulić, ale uznał, że robi to dopiero wtedy, kiedy ona skończy mówić. O ile pozwoli mu ponownie na taką bliskość. – On tutaj przyszedł. Był wściekły. Nie powiedziałam ci, że widziałam się z nim dzień wcześniej. Przyjechał ze mną porozmawiać, ale go odprawiłam. On jednak przyszedł znowu i ja wpuściłam go do mieszkania. Byłam świeżo po rozmowie z mamą, nie ogarniałam tego, co się wokół mnie dzieje. Kiedy wszedł do mieszkania... rzucił się na mnie. On... – Spojrzała na Marka. – On mnie zmusił do seksu. Ale ja nie chciałam. Leżałam pod nim nieruchomo. Udawałam, że nie żyję. Tak było łatwiej. Kiedy skończył, powiedział mi, że ja tego chciałam. Że zaprosiłam go do domu. Że nikt mi nie uwierzy, że było inaczej. A to nie była prawda. Tylko ja się boję, że naprawdę nikt mi nie uwierzy, bo ja kiedyś z nim byłam. Marek – dopadła do niego i złapała go za poły marynarki – czy ty mi wierzysz? Ja naprawdę tego nie chciałam. Błagam, powiedz, że mi wierzysz! – krzyknęła.

– Wierzę. Pamiętasz Tamarę?

– Pamiętam.

– Tamara jest adwokatem. Powiedziała, że...

– Gdzie jest mój kot? – zapytała nagle Julia, uświadamiając sobie, że zwierzak nie kręci się jej pod nogami. – Gdzie jest Irysek? Ja... ja zupełnie o nim zapomniałam. Jak mogłam nie

dostrzec jego nieobecności? Czy on...?

– Wszystko z nim dobrze. Byłem dziś u weterynarza. Powiedzieli mi, że pojutrze będzie można go zabrać. Julia... – Przynął się do niej. – Mogę cię przytulić? – Kiedy pokiwała głową, zrobił to. – Ja wiem, że to dla ciebie bardzo trudne, ale powinnaś zgłosić sprawę na policję.

– A jeśli nikt mi nie uwierzy? Jeśli powiedzą, że ja sobie to wszystko tylko wymyśliłam? Jeśli uwierzą jemu, a nie mnie? – Patrzyła na niego wystraszonymi oczyma. Przypomniała sobie pewien film o kobiecie zgwałconej przez kolegów jej partnera. Nikt nie chciał jej wierzyć. Wiele siły kosztowało ją udowodnienie swoich racji.

Przecież w jej przypadku mogło być podobnie.

– Tamara jest adwokatem. Pomoże nam. Będę przy tobie. Od teraz już zawsze będę przy tobie.

– Chciałabym, żeby to był tylko koszmarny sen, z którego za chwilę się obudzę. Boję się, że on tutaj wróci. On zawsze wracał, a ja go przyjmowałam. To było takie... normalne. A teraz mu powiedziałam, że między nami naprawdę koniec, i on się wściekł. – Nie dało się nie zauważyć, że od samego początku Julia mówiła głosem przepelnionym lękiem.

– Spójrz na mnie. – Marek ujął jej twarz w swoje dłonie. – Zaufaj mi. Jeśli będziesz gotowa, pójdziemy na policję. Nie rób niczego pochopnie. Musisz mieć pewność, że sobie z tym wszystkim poradzisz. Nie będzie łatwo, ale nie zostawię cię samej. Masz moje słowo.

– Chcę już mieć to za sobą – wyszeptwała. – Możemy tam iść chociażby teraz. To już i tak niczego nie zmieni.

– Robiłaś test?

– Jaki test?

– Ciążowy.

– Ale po co? – Odsunęła się od niego i zakryła usta dłonią. – Boże... ja... ja... ja nie pomyślałam. Ja wcale nie brałam tego pod uwagę. Ja... ja... Co teraz?

– Powinnaś go zrobić. Dla własnego dobra.

– Nie mogę.

– Julia...

– Nie! Nie chcę! Nie mogę! Nie! – Jej ciało zeszytywniało i zaczęło wyginać się w dziwny sposób. Kręciła szyją we wszystkie strony. Wykręcała też nadgarstki, łokcie i palce. – Ja nie mogę być w ciąży! Słyszysz mnie? Nie mogę! Nie z nim! – wrzeszczała.

Nie pytając o zgodę, Marek przyciągnął ją do siebie i zamknął w niedźwiedzim uścisku. Początkowo stawiała opór, który jednak z sekundy na sekundę coraz bardziej słabł. Kiedy zrozumiała, że z nim nie musi walczyć, objęła go w pasie i zaczęła szlochać. Cierpiała, a on razem z nią. Zazwyczaj, kiedy Marek odczuwał w swoim ciele energetyczne połączenie z drugim człowiekiem, starał się na nie zamykać. Był obojętny. Tym razem nawet o tym nie pomyślał. Chciał przejąć jej ból. Jej żal do świata. Jej rozczarowanie ludźmi. Chciał z nią współodczuwać. Jedynie w taki sposób mógłby jej pomóc – doświadczając tego samego co ona.

– Czuję twój ból – powiedział i pocałował ją w czoło. – Czuję go każdą komórką swojego ciała. Chciałbym cię odciążyć. Ale ty też musisz się w to zaangażować. Jeśli nie chcesz, nie musisz robić testu. Prędzej czy później się dowiemy. Pytanie, czy chcesz czekać na to później? Czy dasz radę tkwić w tej niepewności?

– A co, jeśli będę w ciąży? Co wtedy?

– Bez względu na wszystko, ja będę.

– Nie brzydzisz się mnie?

– Nigdy.

– Kupisz mi test?

- Tak.
- Proszę, zabierz mnie stąd. Zabierz mnie daleko stąd. – Z jej oczu wycierało błaganie.
- Zabiorę.

Rozdział 20

– A co też pana tutaj sprowadza? – zapytała Weronika, z trudem przełykając ślinę. Nerwowym ruchem ręki przeczesła włosy.

To znaczy papiloty. Jeden spadł.

– Sprawy osobiste. – Rubacha wyglądał na bardzo poruszonego. – A pani... to znaczy ty, to znaczy... do cholery, nie będę ci paniował, kiedy my już razem wino piliśmy. Na dolnym rynku. Latem. Ja, ty i twoja siostra.

– Nie pamiętam. – Z tych słów nie emanowała zwykła dla Malinowskiej pewność siebie.

– Innej odpowiedzi się nie spodziewałem. Schlałaś się wtedy okrutnie. Wiesz, kim jestem?

– Wiem.

– Ja cię nie poznałem od razu. Zmylił mnie ten paskudny kolor włosów. – Prostolinijność Zenona mogła zadziwiać.

– Kiedy się domyśliłeś? – Nie było sensu brnąć dalej w tę kabałę. Wzmiankę o kolorze włosów puściła mimo uszu.

– Wtedy. – Kiwnął głową trochę w bok, a trochę w górę, patrząc przy tym na klatkę schodową. – Jak Mareczek powiedział do ciebie po imieniu. No nawet ja taki głupi nie jestem, żeby nie skojarzyć faktów. A potem dodałem dwa do dwóch i wyszło cztery. Jak w mordę strzelił, cztery. Dlaczego ty to zrobiłaś?

– Co niby? – To był ten moment, w którym człowiek doświadcza kilku nieprzyjemnych uczuć jednocześnie, jak chociażby ssania w żołądku, mdłości czy też bólu głowy.

– Już ty wiesz co! Posądziłaś mnie o kradzież pierścionka! – W dalszym ciągu miał o to do niej żal. Może już nie tak wielki jak kiedyś, ale i tak bolało go takie niesprawiedliwe potraktowanie. Właśnie dlatego podniósł głos. – Wtedy nikt nie chciał mnie wysłuchać, ale teraz nie dam się zbyć!

Weronika spuściła wzrok, dłoń zacisnęła na klamce i wydukała:

– Nie będziemy tak krzyczeć na korytarzu przecież. Właź.

– Co z kotem? – zapytał Zenon, kiedy usiadł przy kuchennym stole. Jego wzrok spoczął na szarlotce stojącej pośrodku blatu. Weronika ukroiła kawałek i postawiła przed nim talerzyk. Podziękował.

– Jest trochę markotny, ale powoli wraca do żywych. Mam się nim opiekować od przyszłego tygodnia. Gorzej z Julią. Ten diabeł na motorze – uderzyła dłonią w stół – to jest niewybaczalne, co on jej zrobił! Takich jak on to powinni... Już sama nie wiem, co im powinni robić!

– Mareczek ma teraz tak dużo na głowie, że prawie go nie widuję. A sam nie będę mu przecież dupy zawracał swoimi problemami. Wiesz może, czy byli z tym na policji?

– Byli u mnie kilka dni temu. Posiedzieli może kwadrans. Julia była taka nieswoja. Nie pytałam nawet, co dalej, bo było mi głupio. Jak ta dziewczyna zmizerniała... Sama skóra i kości z niej zostały. Tak mi jej szkoda. To takie niesprawiedliwe. Takie niesprawiedliwe.

– Ano, życie bywa niesprawiedliwe. – Oboje doskonale wiedzieli, co chciał przez to powiedzieć. – Co u Zosi? – zapytał nagle. – Ma męża? Dzieci?

Malinowska spojrzała najpierw na niego, potem na okno. Zaczęła mówić, nie patrząc mu przy tym w oczy.

– Nie żyje. Miała raka. Zmarła piątego lipca dwa tysiące dziesiątego roku.

– Piątego lipca? Mój syn też zmarł piątego lipca. – W pomieszczeniu zapanowała cisza.

Taka słowna. Bo Zenon bębnił opuszkami palców po stole. Pierwsza odezwała się Weronika.

– Ja... ja jej nigdy nie powiedziałam o tym, co zrobiłam. Chciałam. Bóg mi świadkiem, że chciałam.

– Nie było dnia, żebym nie zadał sobie pytania o to, dlaczego to zrobiłaś.

– Byłam zazdrosna o ciebie. Że ją zabierzesz. Że przestaniemy być sobie takie bliskie. Że stracimy kontakt. Dla niej liczyłeś się tylko ty. To tak bardzo bolało. Byłam taka głupia. Taka głupia. – Nawet nie powstrzymywała łez.

– Następnego dnia po tym, jak zostałem odprawiony, napadłem na sklep. Chciałem, żeby mnie złapali i wsadzili do więzienia. Dostałem trzy lata. Były to zarazem najlepsze i najgorsze chwile w moim życiu.

– Co może być najlepszego w więzieniu?

– Te trzy lata pokazały mi, że czas wcale nie leczy ran. On je jedynie zakleja kiepskiej jakości plastrem. Na chwilę jest lepiej, ale ciągle z tyłu głowy masz ulokowane, że gdzieś tam, za tym murem otoczonym drutem kolczastym, jest ktoś, kto i tak ciebie nie chce. Uciekasz więc od tego. Uciekasz i udajesz sam przed sobą, że masz wszystko i wszystkich gdzieś. I to jest dobre. W tym momencie najlepsze. Najgorsze natomiast jest to, że ten plaster z każdym dniem się odkleja, milimetr po milimetrze. Aż w końcu odleci, a rana znowu zacznie się otwierać. I krwawić. I ropieć.

– Jeśli chcesz sprawić, żebym czuła się winna, to zbyt wiele są twoje wysiłki. Czuję się tak od bardzo, bardzo dawna.

– Chciałem sprawdzić, czy żałujesz.

– Każdego dnia. A najbardziej tego, że nie wyznałam jej prawdy.

– Czy ona... czy ona kogoś... czy ona miała jakiegoś absztyfikanta? – zapytał Zenek, jękając się.

– Nigdy się z nikim nie związała. Kiedy zmarli nasi rodzice, my dalej byłyśmy pannami. Miałyśmy świadomość, że mówią już o nas „stare panny”. Zosia nic sobie z tego nie robiła i otwarcie mówiła o tym, że nie zamierza wychodzić za męża. Ja z kolei... był ktoś. Miał na imię Bartosz. Był żołnierzem. – W jej głosie dało się słyszeć nutkę nostalgii. – Chciał mnie bardzo, ale przysięgłam sobie, że znajdę męża tylko wtedy, kiedy moja siostra też stanie na ślubnym kobiercu. Nie mogłam sobie darować tego, co zrobiłam, no a przysięga to rzecz święta. I chociaż moje serce tak bardzo wrywało się do Bartosza, to odmówiłam mu swojej ręki. I tak żyłyśmy sobie tutaj razem. Bywało różnie. Wesoło i smutno, ale wiedziałam, że jest ktoś, na kim mogę polegać bez względu na wszystko. Kiedy zachorowała, mój świat się zawalił. A potem zostałam sama. Minęło już tyle lat od jej śmierci, a nie ma dnia, abym o niej nie pomyślała. – Spojrzała na niego zboląłym wzrokiem. – A jak było z tobą?

– Jak tylko wyszedłem z paki, przygruchałem sobie pannę. Człowiek swoje potrzeby miał. Zaszła w ciążę. Wzięliśmy szybki ślub. Urodził się Robert. Jakoś się nam nie układało w tym małżeństwie za bardzo. Ona robiła mi awantury o byle co. No ale i ja tak zupełnie bez winy to nie byłem. Każdy ma jakąś wadę. Zostawiła mnie. Nawet rozwodu nie mamy. Bo i po co w sumie. Z tego, co wiem, ona teraz z kimś siedzi. I chyba jest zadowolona. Tylko ten nasz syn... Wdał się w złe towarzystwo. W bardzo złe. Narobił sobie długów i musiał się ukrywać. I tak go znaleźli. I zaciukali. Pamiętam to jak dziś. Do drzwi zapukała policja. Tak żem się przestraszył, że przyszli po mnie, że prawie zawał miałem. Bo dzień wcześniej zwędziłem kilka zegarków na rynku. Ale oni przyszli powiedzieć, że mi jakieś bandziory syna zabiły. Zamordowali. Musiałem iść na identyfikację zwłok. Nigdy tak nie płakałem jak wtedy. Nigdy. Mój syn. – Zenon uderzył się w pierś. – Moja krew. Leżał na tym stole, nagusienki. Tylko prześcieradłem przykryty. Pobity. Ale ja go poznałem od razu. Od razu. I nie mogłem już nic zrobić. Nawet się zemścić, bo

i mnie by odprawili na tamten świat. A ja za dużo mam grzechów na sumieniu i boję się umierać. Bo jak pójdę, to na pewno do piekła. I nie spotkam Zosi. Już nigdy jej nie spotkam.

Zenon pociągnął kilkakrotnie nosem, otarł oczy dłonią i pokręcił głową. Kiedy tylko dotarło do niego, kim jest Malinowska, wściekł się. Czuł się oszukany i wykorzystany. Wmówił sobie, że Marek na pewno o wszystkim wiedział i sobie tak z niego zażartował. Szczęściem bardzo szybko przyszło otrzeźwienie. No bo gdzieżby znowu Mareczek posunął się do czegoś takiego?

Już nie był zły. Był rozżalony.

Kiedy te trzydzieści pięć lat temu posądzono go o kradzież pierścionka, był pewien, że to żart. Ale jak się okazało, nikomu do śmiechu nie było. Zosia powiedziała mu wtedy, że przez to, co zrobił, już nigdy nikomu nie zaufa, i że nie chce go więcej widzieć na oczy. Błagał ją, aby go wysłuchała, ale była nieugięta. Jej rodzice też nie chcieli rozmawiać. Jej siostra natomiast posłała mu litościwy uśmiech i to wystarczyło, żeby wiedział, że to ona maczała w tym swoje palce. Wiedział też, że nawet jeśli komukolwiek o tym powie, to i tak nikt mu nie uwierzy. Bez względu na to, jak bardzo by się starał, miał przypiętą łatkę złodzieja.

– Chcesz iść ze mną na cmentarz? Do Zosi? – usłyszał głos Weroniki.

– Chcę.

– Wybaczysz mi?

– Nie wiem. Zabrałaś mi szczęście. Nie wiem, czy będę umiał ci wybaczyć.

Posiedzieli jeszcze chwilę w kuchni. On dokończył ciasto. Ona wypila herbatę. A potem wyszli z mieszkania i udali się na cmentarz. Zenon usiadł na ławeczce i wpatrywał się w imię wygrawerowane na płycie nagrobka.

– Idź już sobie – powiedział do Weroniki, która cały czas stała obok niego.

– Może...

– Idź.

W milczeniu, bo pociąganie nosem trudno zaliczyć do mowy, oddaliła się. Nie poszła jednak do domu. Stała za drzewem, które dało jej schronienie od słońca i od ludzkich spojrzeń. Z tego miejsca mogła patrzeć na Zenona. Siedział na ławce z pochyloną głową.

Po godzinie wstał i odszedł. Był zgarbiony, powłóczył nogami.

Stojąca w ukryciu Weronika podeszła do grobu. Usiadła na ławce, zamknęła powieki i wystawiła twarz do słońca. Poprosiła w myślach o to, aby Zenon jej wybaczył. Po chwili wstała i ruszyła przed siebie.

Do pustego domu.

Rozdział 21

– Za chwilę będziemy na miejscu. – Marek wjechał w drogę wyłożoną brukiem. Po obu jej stronach rosły majestatyczne dęby, które swoją posturą wzbudzały szacunek. Julia pomyślała, że te drzewa są w stanie obronić się przed wszystkim. Ona tego nie potrafiła.

– Ale tu jest pięknie. Tak spokojnie i bezpiecznie. Jesteś pewien, że twoja mama nie będzie miała nic przeciwko mojej wizycie?

– Jestem pewien. – Zjechał na pobocze i zgasił silnik. Położył ręce na kierownicy i patrzył przed siebie. – Muszę ci coś powiedzieć.

Spojrzała na niego. Był zdenerwowany, o czym świadczyły mocno zaciśnięte dłonie. Zdażyła poznać go już tak dobrze, że umiała odczytywać mowę jego ciała.

– Stało się coś?

– Moja mama została zgwałcona. Zaszła w ciążę i urodziłem się ja. – Po wypowiedzeniu tych słów w samochodzie zapadła cisza. Julia siedziała w fotelu pasażera, ale tak naprawdę myślami obecna była w zupełnie innym miejscu. W swoim mieszkaniu. W swojej sypialni. Leżała na łóżku i była gwałcona przez Piotra. Chwilę później przed jej oczyma ukazał się kolejny obraz: weszła do łazienki, żeby zrobić test ciążowy, który kupił jej Marek. Bała się go wykonać. Bała się, że ujrzy na nim dwie kreski i tak naprawdę nie będzie wiedziała co dalej.

Pierwsza myśl, jaka wtedy pojawiła się w jej głowie, brzmiała: „Jeśli będziesz w ciąży, usuniesz i po kłopotcie”. Kolejna, która zadomowiła się w jej umyśle, szeptała: „Przecież to dziecko, jeśli oczywiście jakieś dziecko jest, nic nie zawiniło. Zawsze możesz je urodzić i oddać do adopcji”. Zaczęła wtedy krzyczeć. Do łazienki wszedł Marek. Kiedy zobaczył, że pudełeczko z testem nie zostało nawet otwarte, przygarnął ją do siebie i powiedział, że jeśli nie jest na to gotowa, nie musi tego robić. Nie była gotowa, ale też nie miała żadnych ciążowych objawów, więc gdzieś w głębi czuła, że robienie testu jest kompletnie zbędne.

Tylko że coś jej szeptało, aby się jednak upewniła.

Znowu znalazła się w aucie. Spojrzała na Marka.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

– Nie byłem gotowy.

– Chcesz wiedzieć, o czym teraz myślę? – Skinął głową. – O tobie i o twojej mamie. I o tym, jaki jest wynik mojego testu. Zrobiłam go dziś, przed wyjazdem, ale nie wiem, co na nim jest. – Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej pudełko. Podała Markowi. – Jeśli chcesz, możesz sprawdzić. Powiesz mi, jaki jest wynik, dopiero wtedy, jak cię o to poproszę.

– Dobrze. – Wyjął z kartonika test i przez chwilę na niego patrzył, a potem ponownie schował go do pudełka. Julia w tym czasie patrzyła w szybę. Kiedy spojrzała na Marka, wyglądał tak... no tak, jak zwykle, czyli jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Ciało również.

– Już wiesz – powiedziała.

– Wiem. Naprawdę nie jesteś ciekawa?

– I tak, i nie. Nie potrafię tego wyjaśnić. Boję się. Możemy już jechać?

– Tak. – Po chwili sunęli przed siebie.

– Czy twoja mama wie o tym, co się stało?

– Wie.

Dalszą część drogi przebyli w milczeniu. Dom, w którym mieszkała mama Marka, znajdował się w małej wiosce na granicy Wielkopolski i województwa łódzkiego. Budynek był piętrowy i obłożony dekoracyjnym kamieniem. Jedna ze ścian, wychodząca na południe, porośnięta była bluszczem. Ciągnął się on aż po dach. Dookoła domu posadzone było całe

mrowie kolorowych kwiatów. Wejście pełniło także funkcję zadaszonego tarasu. Takiej trochę werandy, na której stał stół, sześć krzeseł i dwa ratanowe fotele. Za domem płynęła Warta. Można było do niej zejść z ogrodu.

Kiedy samochód Marka zatrzymał się na podjeździe, z domu wybiegły dwa wielkie psiska – bernardyny. Tuż za nimi szła uśmiechnięta od ucha do ucha niewysoka kobieta. Za nią podążał mężczyzna. Oboje wyglądali na sześćdziesiąt lat.

– To Flip i Flap – powiedział Marek, wskazując głową na psy. – Do dziś nie wiem, który jest który. Nie bój się, są przyjazne. Można nawet powiedzieć, że uwielbiają gości. Czasem tylko je trochę ponosi w okazywaniu miłości.

– Jeśli kogoś mam się bać, to tylko ludzi. – Julia wysiadła z auta i czekała, aż Marek do niej podejdzie i przedstawi swoją mamę oraz towarzyszącego jej mężczyznę. I zapewne tak by się stało, gdyby nie to, że najpierw pojawił się jeden pies, a zaraz za nim drugi. Wpadły z impetem w Julię, co sprawiło, że straciła równowagę i po chwili leżała jak długa na ziemi. Poczowała na twarzy coś przeraźliwie mokrego. I to podwójnie mokrego. Otworzyła jedno oko, żeby cokolwiek zobaczyć i chociaż spróbować osłonić się dłońmi przed natarczym lizaniem.

– Chłopaki! – rozległ się kobiecy głos. Bardzo stanowczy i pewny siebie. – Fora ze dwora! Bo nie dostaniecie kolacji! Przez trzy dni!

Jak na zawołanie oba psy uniosły łby, dały głos i pobiegły przed siebie. To znaczy pogalopowały. Aż ziemia zadudniła.

– Za grosz kultury. – Kobieta podeszła do Julii i wyciągnęła do niej rękę. Kiedy uścisk został odwzajemniony, mocnym pociągnięciem postawiła ją do pionu. Aż dziw, że w takim drobnym ciele było tyle siły. – Przepraszam za tych dwóch. Wyczuwają dobrych ludzi na kilometr. Nazywam się Maria Wenta, miło mi cię poznać, Julio. – Ich dłonie w dalszym ciągu były ze sobą połączone. Julia patrzyła na mamę Marka i próbowała doszukać się w jej twarzy jakiegokolwiek podobieństwa do syna. Nie znalazła go. Maria z kolei patrzyła cały czas w jej oczy. – Twoje tęczęwki są zjawiskowe.

– Dziękuję – bąknęła, wyswobodziła rękę i cofnęła się o krok.

– To mój partner, Ludwik. – Maria wskazała na mężczyznę, który stanął obok niej. Ten tylko kiwnął uprzejmie głową i uśmiechnął się do Julii. Była mu wdzięczna, że nie chciał jej dotykać. Odwzajemniła skinienie, a jej usta wykrzywiły się w coś na kształt uśmiechu. Maria natomiast podeszła do Marka, wyciągnęła dłoń i położyła ją na policzku syna. Przez chwilę tylko na niego patrzyła, a na jej twarzy cały czas błąkał się uśmiech.

– Dzień dobry, mamo.

– Dzień dobry, kochanie. Tak się cieszę, że przyjechaliście.

– Ja też się bardzo cieszę. – Ludwik przywitał się z Markiem. – Zapraszamy.

Cała trójka ruszyła przed siebie. Dopiero kiedy dotarli do schodków prowadzących na taras, zorientowali się, że Julia została obok samochodu.

– Idź do niej, poczekamy, ile będzie trzeba – powiedziała Maria, chwyciła Ludwika pod ramię i weszli do domu. Marek podszedł do Julii.

– Potrzebujesz czegoś? – Ujął ją pod brodę w taki sposób, że patrzyła mu w oczy.

– Chciałabym cofnąć czas i przyjechać tutaj bez poczucia pustki. Chciałabym się znowu śmiać, żartować i opieprzać mojego kota. Chciałabym być szczęśliwa. Tak bardzo się boję, że już nigdy nie będę.

– To wszystko zaczyna i kończy się w twojej głowie. – Wierzchem dłoni pogłaskał ją po policzku.

– Myślisz, że to jest takie proste? Że wystarczy, żebym naprawiła swoją głowę? Że wtedy zapomnę? – mówiąc to, bardzo mocno gestykulowała rękoma. – Marek – nagle spuściła głowę –

ja nie wiem, czy chcę tutaj być. Ja nie wiem, czy to jest to, czego potrzebuję.

– Nie dowiesz się, jeśli tego nie sprawdzisz. Ale wiedz, że wystarczy jedno twoje słowo i wsiadamy do auta. Jedno słowo. – Chwycił jej dłoń i lekko ją głaskał. Robił to przez kilka sekund. A może i dłużej.

– Wejźmy do środka. – Julia uznała, że jeśli naprawdę poczuje się tutaj źle, powie o tym Markowi. I wyjadą.

– Dziękuję.

– Za co?

– Za zaufanie. To bardzo ważne. Ty jesteś bardzo ważna.

Wnętrze domu urządzone było trochę w stylu rustykalnym, trochę staroświeckim, a trochę nowoczesnym. Ten, zdawałoby się, celowy zabieg łączenia ze sobą różnych form w przypadku tego miejsca sprawdził się doskonale.

– To twój dom rodzinny? – zapytała Julia.

– Tak.

– Przygotowałam wam pokoje na górze. – W korytarzu, w którym stali, pojawiła się Maria.

– Pokoje? – Julia spojrzała najpierw na Marka, potem na jego mamę.

– Kochanie, doskonale wiem, przez co przeszłaś. I niestety wiem, co czujesz. – Maria podeszła i ujęła jej dłoń. – Nie chciałam cię stawiać w niezręcznej sytuacji, dlatego uznałam, że sama dokonasz wyboru.

Boże, pomyślała Julia, patrząc w oczy tej kobiety, przecież ja nawet o tym nie pomyślałam. O tylu rzeczach nie pomyślałam... Powinnam porozmawiać z Markiem o nas. Spojrzała na niego i na samą myśl o seksie, aż ją wzdrygnęło. On na pewno będzie tego chciał, a jeśli ona nie będzie chciała iść z nim do łóżka, to on ją zostawi i znajdzie sobie kogoś innego. Bo to mężczyzna. A mężczyźni mają swoje potrzeby.

W tym momencie nie myślała logicznie.

– Jeden. Niech będzie jeden – wydukała, czerwieniąc się.

– Pójdę po nasze rzeczy – powiedział Marek. Po chwili zniknął za drzwiami.

– Nie bój się go. Gdybyś mu kazała odejść, tylko dlatego, że to sprawiłoby, że będziesz szczęśliwa, on tak uczyni. On jest w stanie zrobić dla ciebie wszystko. Ja to wiem. – Po wypowiedzeniu tych słów Maria wskazała jej drzwi od łazienki. – A teraz powinnaś się umyć. Nawet we włosach masz ślinę. – Pokręciła ze śmiechem głową i weszła do kuchni.

Julia stała na korytarzu i czekała na Marka. Kiedy się pojawił, wzięła od niego swoją torbę i zniknęła w łazience. Przysiadła na brzegu wanny i patrzyła przed siebie. Jej wzrok utkwiony był w dziurce od klucza. Ta dziurka była taka niepozorna, a przecież pełniła bardzo ważną funkcję. Pilnowała, aby nikt niepowołany nie dostał się do środka.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Julia – usłyszała głos Marka – wszystko okej? Siedzisz tam już godzinę.

– Godzinę? – odpowiedziała mu pytaniem. Pomyślała sobie, że to niemożliwe. Przecież dopiero co tutaj weszła.

– Potrzebujesz czegoś?

– Daj mi chwilę. – Ściągnęła z siebie ubrania i weszła pod prysznic. Pół godziny później pojawiła się w kuchni, przepaszając za swoją opieszałość.

– Nie ma za co przeproszać. My się tutaj nigdzie nie śpieszymy. Nawet do wynoszenia śmieci – powiedziała Maria, a potem, przywołując na usta drwiący uśmiech, spojrzała na Ludwika. – No chyba że trzeba poudzielać się na pewnym wędkarskim forum, to wtedy pośpiech jest wskazany.

– To jest bardzo cenne źródło informacji – zaperzył się szpakowaty mężczyzna. – Piszą tam o trujących rybach chociażby. Nie chciałabyś, abym ci taką złowił na obiad, co? – Posłał jej spojrzenie pod tytułem „No i kto ma teraz rację, no, kto?”.

– Ludku najdroższy, w naszej rzece nie ma trujących ryb. Nikt ci o tym w internecie nie napisał?

– Ci, którzy wiedzieli o tym, gdzie można znaleźć trujące ryby, już nie piszą postów – powiedział Marek.

– Marek i jego cmentarne poczucie humoru – oświadczył Ludwik, a potem spojrzął na Julię i powiedział: – Moja Maria to kobieta o anielskim sercu, ale w pożyciu trudna.

– Skoro zrobiliśmy sobie słowną przystawkę, to pora na danie główne. – Maria zwróciła się do syna: – Rozłóż, proszę, talerze.

– Te? – wskazał na zdekompletowany stosik stojący w kredensie. Każdy półmisek pochodził z innej zastawy.

– Nie mamy czterech takich samych talerzy – rzekła, stawiając na stole żaroodporne naczynie.

– Jak to się stało?

– Emocje. Radzę sobie z nimi na swój sposób. – Posłała Julii znaczące spojrzenie. – Jedzmy.

W trakcie posiłku Julia tylko słuchała, raz, może dwa razy odpowiedziała na zadane pytanie, lecz nie odczuła, aby jej milczenie komukolwiek przeszkadzało. Do jej uszu dobiegł dźwięk dzwoniącego telefonu. Rozpoznała melodię, tym samym bez patrzenia wiedziała, kto jest po drugiej stronie połączenia.

Dzwoniła mama.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Wstała od stołu, czując zbliżającą się katastrofę. Po chwili znalazła się na piętrze. Na korytarzyku stał skórzany fotel. Usiadła na nim i spojrzała na telefon. Cały czas dzwonił. Bardzo niechętnie, ale odebrała.

– Mamo... – Ledwo się odezwała, matka jej przerwała.

– Nawet się nie zainteresujesz, co u schorowanej matki słyhać! Czy jeszcze żyję! Pewnie leżysz do góry dupą i baki zbijasz! Od naszej ostatniej rozmowy minęły trzy tygodnie, a ty co? Masz mnie gdzieś? Najlepiej, żebym umarła? – Honorata zaatakowała córkę. Julia z kolei doskonale wiedziała, ile czasu minęło od ich ostatniej rozmowy. Przecież chwilę później stało się TO.

– Mamo... – Pokręciła głową, zastanawiając się nad tym, co by powiedziała jej mama, gdyby dowiedziała się o tym, co ją spotkało. Odpowiedź była może nie do końca oczywista, ale bliska górnej granicy pewności. Obwiniłaby o wszystko Julię. – Przepraszam, miałam na głowie dużo spraw.

– Umówiłam nas jutro do notariusza – powiedziała Honorata, ignorując wzmiankę o tym, że jej córka miała na głowie dużo spraw. Wcale jej to nie obchodziło.

– Jakiego notariusza?

– A skąd niby wezmę pieniądze na leczenie raka? – zapytała poirytowana.

– Mamo. – Julka poczuła, jak jej dłonie drętwieją, a głowę zaczyna rozsadzać przeraźliwy ból. – Nie pomyślałam o tym. Przepraszam. – Czuła się winna, że nie zainteresowała się stanem zdrowia matki.

– Zdechłabym tu, a ciebie by to wcale nie obeszło! – Honorata wchodziła w ton wpędzający w mocne poczucie winy. Potrafiła to robić.

– Obchodzisz mnie, tylko ja... Naprawdę mnie obchodzisz. Tylko mnie nie ma teraz w domu. Wracam za kilka dni. Odwołaj, proszę, tego notariusza. Albo po prostu to ja wezmę ten

kredyt pod zastaw mieszkania. Nie będziesz musiała zawracać sobie głowy formalnościami. – Julia była teraz gotowa zrobić wszystko, żeby mieć spokój.

– Mowa o dwustu tysiącach – powiedziała, wyzbywając się wszelkich zasad moralnych względem córki. Było jej już bez różnicy, kto weźmie ten kredyt. Najważniejsze były pieniądze.

– Dobrze, mam. Zajmę się wszystkim, jak tylko wrócę do domu.

– Kiedy?

– Za kilka dni. Nie wiem dokładnie kiedy.

– Mam dwa tygodnie na podjęcie decyzji o leczeniu. Dwa tygodnie to bardzo mało czasu – pojawiła się sugestywna odpowiedź.

– Razem pokonamy tego potwora. – Julia pomyślała, że może ta sytuacja je do siebie zbliży. Może kiedy będzie się opiekowała mamą w chorobie, ich kontakt się poprawi, a ona sama podejdzie do tego w sposób terapeutyczny i zapomni o krzywdzie, jaka ją spotkała. Gotowa była się poświęcić i zadłużyć, żeby tylko zyskać jej szacunek.

– Zadzwoń, jak będziesz miała informacje z banku – powiedziała Honorata i rozłączyła się.

Pod powiekami Julii wezbrały łzy. Zagryzła dłoń, żeby tylko się nie rozplakać. Tak bardzo pragnęła matczynej miłości i akceptacji, że nie dopuszczała do siebie tego, że matka ją wykorzystuje. Kiedy zeszła na dół, wszyscy siedzieli w salonie. Dopiero teraz zobaczyła, że stoi w nim fortepian. Na jej ustach pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

– Pani też gra? – Skierowała pytanie do Marii.

– A broń cię Panie Boże. Moje granie może konkurować z marcowaniem kotów. Marek próbował mnie uczyć najprostszych melodii, ale jestem na tę wiedzę odporna jak teflon. Poprzestałam na słuchaniu.

– Mój dziadek grał. Był multiinstrumentalistą. Babcia z kolei pięknie śpiewała. Można powiedzieć, że połączyła ich muzyka. Bardzo się kochali. Dziadek miał nastroić fortepian w domu rodziców mojej babci. I tak go nastroił, że po roku na świat przyszła moja mama. – Była to najdłuższa wypowiedź, jakiej Julia udzieliła od momentu, kiedy przekroczyła próg tego domu.

– W naszej rodzinie tylko Marek ma pojęcie o muzyce – powiedziała Maria, patrząc na syna. – Jestem z niego bardzo dumna. O wszystko, co ma, zawalczył sam. I nie mam tutaj na myśli tylko zamiłowania do gry.

– Mamo, gdyby nie ty i twoja determinacja, nie byłbym tym, kim jestem. Wcale by mnie nie było. – Słowa te zrobiły na Julii ogromne wrażenie. Dodatkowo Maria patrzyła na Marka w taki sposób, jakby był jej najcenniejszym skarbem. Dla Julii było to wręcz niewytłumaczalne. Kiedyś, przed TYM, co ją spotkało, pomyślałaby pewnie, że siedząca naprzeciwko niej kobieta jest typem matki, która bardzo wspiera swojego syna w dążeniu do celu. Czyli jak większość matek, oczywiście wyłączając jej rodzicielkę. No ale dziś, będąc bogatszą o swoje własne doświadczenia i mając świadomość, że Maria, tak jak i ona, została pozbawiona godności, w dodatku zaszła w ciążę ze swoim oprawcą, Julia czuła, że jej głowa paruje. Potrzebowała ją przewietrzyć. Mama Marka chyba czytała jej w myślach.

– Nie wiem jak wy, kochani, ale ja lubię się po obiedzie zdrzemnąć. Jeśli nie macie takich samych zapędów, to może idźcie na spacer albo weźcie rowery i zróbcie sobie przejażdżkę po okolicy. Ostrzegam jednak, że jeżeli zostanieie z Ludwikiem, to on zanudzi was opowieściami o złowionych przez siebie metrowych szczupakach.

– Jeszcze nigdy nie złowiłem metrowego szczupaka! – Ludwik udał oburzonego.

– Co noc je łowisz, skarbie.

– Wiadomo, jestem świetny w tym, co robię. Nawet przez sen. – Z dumą wypiął odzianą w kraciastą koszulę pierś.

– Przecież ja zawsze mówiłam, że jesteś najlepszy.
– Komu mówiłaś?
– Sobie, w myślach.
– A właśnie – powiedział Ludwik, a jego oczy aż się zaświeciły. – Marek, masz ochotę iść rano na ryby?
– Pewnie.
– Wspaniale. – Starszy z mężczyzn aż klasnął w dłonie z zachwytem. – Pobudka przed czwartą.
Po chwili salon opustoszał.

Julia i Marek wyprowadzili rowery z garażu i udali się na przejażdżkę. Ona potrzebowała poukładać w głowie wszystkie myśli i trochę też się zmęczyć. On chciał być obok niej.

Ludwik przechadzał się po ogrodzie i układał w głowie plan jutrzejszego dnia. To znaczy poranka. Uwzględnił w nim wędki, spławiki i może nie metrowe szczupaki, ale przyzwoitych rozmiarów sandacze na pewno. Kiedy zarzucał wędkę i czekał, czasem nawet kilka godzin, aż coś się złapie, w jego głowie kłębiło się wiele myśli. Poczynając od codziennych planów, poprzez związek jego i Marii, aż do podróży w przeszłość. Nigdy nikomu nie powiedział, że gdyby wykazał się większą odwagą, do żadnego gwałtu by nie doszło. Nigdy nikomu nie zdradził, że wiedział, kim był ten, który tak bardzo skrzywdził Marię. Przez czterdzieści lat nie zdobył się na szczerość i był bardziej niż pewien, że zabierze ten sekret ze sobą do grobu.

Maria udała się do sypialni. Wcale nie miała ochoty na drzemkę. Potrzebowała być sama. Kiedy Marek kilka dni temu opowiedział jej o Julii, siedziała w kuchni i przygotowywała obiad. Przez całą rozmowę z synem zachowała spokój, lecz gdy tylko nacisnęła na czerwoną słuchawkę, tama trzymająca złe wspomnienia puściła. Właśnie wtedy potłukła większość talerzy, jakie miała w domu. Była wściekła, że pomimo upływu czasu nie potrafi się z tym wszystkim uporać. Była wściekła, że takie rzeczy się działy i dzień w dzień tysiące kobiet narażonych było na krzywdę. Była wściekła i bezradna. Patrząc na Julię, widziała siebie sprzed wielu, wielu lat. W oczach dziewczyny dostrzegała pustkę i strach.

– Muszę jej pomóc – wyszeptwała. – Sobie też muszę pomóc.

Rozdział 22

– Patrz, Stachu, jaka ładniutka. – Mirek, jeden z lokalnych koneserów tanich win, odezwał się do swojego kolegi głosem wskazującym na porządne odurzenie alkoholowe. – Ty! – wykrzyknął, przecierając zapijaczone oczy z niedowierzaniem. – Czy to nie jest czasem Wenta? Ten, co to z nami do szkoły chodził? Ten wiecznie zły? Kurwa, to on! Chodź. – Klepnął kompana w plecy.

Chwiejnym krokiem, co wynikało z przyjęcia płynów powodujących problemy z zachowaniem równowagi, obaj mężczyźni ruszyli przed siebie. To znaczy pokonali dwadzieścia metrów, jakie dzieliły ich od przystanku autobusowego, który zaanektowali sobie na prywatną melinę, do stojącego po drugiej stronie ulicy sklepu. To właśnie tam zatrzymali się Julia i Marek. Ona została i pilnowała rowerów, on poszedł kupić wodę.

– Uszanowanie. – Julia usłyszała bełkotliwe powitanie. Nim się zorientowała, poczuła, jak jakiś zupełnie obcy facet obejmuje ją w talii i przyciąga do siebie. Mężczyzna czknął. Z jego ust wydobył się kwaśny i odpychający odór. Przerażona Julia patrzyła na tego człowieka, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego słowa. On odczytał tę reakcję zupełnie inaczej, aniżeli wskazywało na to jej zachowanie, o czym oczywiście musiał wspomnieć swojemu kompanowi. – Stachu, chłopie, pa na nią. No nienormalna jakaś. Się dobrali jak w korcu maku – zarechotał.

Drzwi od sklepu otwarły się z impetem. Istniało prawdopodobieństwo, że siła, z jaką Marek je popchnął, spowodowała, że odcisnęły się na ścianie budynku. Stojący za ladą sprzedawca musiał pomyśleć o tym samym, bo przykleił nos do szyby, żeby to sprawdzić. Żeby przy okazji popatrzeć na to, co się będzie działo przed jego sklepem, też.

– Zabieraj od niej te łapy! – Nie czekając na reakcję swojego dawnego szkolnego kolegi, który zapowiadał się na bardzo ambitnego i pracowitego, ale jakoś mu nie poszło i w chwili obecnej jedynym źródłem jego utrzymania była zapomoga z gminy i różne dorywcze prace, Marek odciągnął go od Julii i przyparł do sklepowego muru. Drugi z mężczyzn, ten sam, który cały czas stał obok i śmiał się z niewybrednych komentarzy swojego druha, zachował się tak, jak na „prawdziwego przyjaciela” przystało. Wziął nogi za pas i uciekł. Pomimo procentów krążących we krwi potrafił oszacować nierówną siłę. No i gdyby znowu wrócił do domu z obitym ryjem, toby go Kryśka na zбитy pysk wywaliła.

– Cooo, chcesz się bić!?! – Agresywny mężczyzna uważał, że w tym momencie jest w stanie zawojować świat, a już na pewno da sobie radę z co najmniej o głowę wyższym przeciwnikiem. Był w błędzie, z czego naturalnie nie zdawał sobie sprawy. Zapewne dlatego zaczął wymachiwać rękoma, próbując dosięgnąć Marka.

Na tych próbach się skończyło.

– Nigdy więcej tego nie rób – powiedział do niego Marek. – Ktoś może sobie nie życzyć takiego spoufalania się.

– Bo co?! – warknął pijaczyna. Biła od niego złość i frustracja.

– Bo może cię zabołec.

– W dupie byłeś, gówno widziałeś, chujka wiesz!

– Szkoda mojego czasu na ciebie. – Marek go puścił i ruszył w kierunku Julii, która cały czas stała w tym samym miejscu. Była przerażona, co nie tylko widział, ale też poczuł. Był na nią otwarty, pozwalał, aby każda emocja, która w niej mieszkiała, dotknęła też jego. Przygarnął ją do siebie. Trzęsła się.

– Rycerzyk, kurwa jego mać. – Mirek poprawił bluzę, podciągnął spodnie, splunął pod nogi i burcząc pod nosem coś, co brzmiało jak „Ja ci jeszcze, kurwa, pokażę, kto tu rządzi”,

ruszył przed siebie. To znaczy na przystanek, bo nic innego i tak nie miał do roboty. Usiadł na ławce, zaplótł dłonie na piersiach i z nienawiścią spozierał w stronę Marka i jego partnerki. Po trzech minutach wyteżonego patrzenia jego powieki zaczęły się same zamykać. Po pięciu chrapał, przedstawiając sobą obraz nędzy i rozpacz.

– Już dobrze. – Marek ujął twarz Julii w dłonie, nawiązując z nią kontakt wzrokowy. – Nic ci nie grozi. Wiesz to? – W odpowiedzi pokiwała głową, a potem spojrzała na przystanek. Mężczyzna, który ją zaczepił, spał, jeśli można tak to ująć, złożony w pół. Istniało prawdopodobieństwo, że za chwilę spadnie z ławki. I tego mu Julia życzyła, myśląc, że może jak się uderzy w głowę, to do jego pustego łba wpadnie trochę rozumu.

– Chcę już wracać do domu. To znaczy do domu twojej mamy. I proszę, nie mówmy nikomu o tym, co się tutaj stało.

– Jakoś mam przecucie, że jutro cała okolica będzie wiedziała. – Marek spojrzał na sklepową szybę, za którą stał sprzedawca, największy we wsi plotkarz.

– Marek, bo ja... to znaczy... czy my... to znaczy... bo ja powiedziałam twojej mamie o jednym pokoju, ale wolałabym... to znaczy nie zrozum mnie źle, ale czy my moglibyśmy spać osobno...? – Z trudem wyartykułowała swoje myśli.

– Oczywiście.

– Dziękuję. Ja chyba nie potrafię o tym mówić.

– Zatem wrócimy do tej rozmowy, jak będziesz gotowa – rzekł, doskonale odczytując jej myśli. I nie kierował się teraz żadnymi paranormalnymi umiejętnościami. Julia miała wypisane na twarzy przerażenie.

– A jeśli nigdy nie będę gotowa? Co wtedy?

– Ja będę przy tobie.

– A jeśli...

– Nie patrz na życie przez pryzmat gdybania i przypuszczeń. – Dotknął swoim czołem jej czoła i wyszeptał: – Kocham cię.

Julia uniosła głowę, rozchyliła wargi i nabrała w płuca powietrza. Jej usta chciały mówić, ale nie potrafiły. Z niebieskiego oka popłynęła łza. Po chwili i brązowe zaczęło płakać.

– Nie potrafię w tej chwili nazwać tego, co do ciebie czuję. Przepraszam – wyszeptała, a potem spuściła głowę.

– To był długi dzień, należy ci się odpoczynek. Jedziemy czy prowadzimy? – W jego głosie nie było słyhać żadnej pretensji.

– Jedziemy. – Chociaż brakowało jej sił na jakąkolwiek aktywność fizyczną, świadomość, że dzięki temu szybciej dotrą do bezpiecznej przystani, podziałała na nią mobilizująco. Kiedy tylko znaleźli się na podwórzu, Julia powiedziała do Marka, że musi się położyć, a potem pobiegła do domu. Potrzebowała być sama. Na szczęście po drodze do pokoju nie natknęła się ani na Marię, ani na Ludwika. Polubiła ich, ale nie był to dobry moment na towarzyskie dyskusje. Był za to idealny na zrzućcie ciuchów i zawinięcie się w bezpieczny kokon z kołdry.

Położyła się na boku, podkuliła kolana i objęła je ramionami. Kiedy dziś poczuła na sobie dotyk dłoni tego człowieka, doświadczyła tak wielu emocji, poczynając od niechęci, poprzez strach, na bezsilności kończąc. Kiedy z kolei znalazła się w ramionach Marka i mogła się w nich skryć z całym swoim lękiem, odczuła namiastkę bezpieczeństwa. Z sekundy na sekundę było coraz lepiej. Przez jedną krótką chwilę było jej cudownie. Przez jedną krótką chwilę nie myślała o gwałcie. A potem wszystko popsuka swoją niepewnością i pytaniami... no, czymś na kształt pytań.

– On mnie kocha – wyszeptała, zagryzając zaciśniętą pięść. – Kocha i nikomu nie pozwoli mnie skrzywdzić. Opiekuje się mną i mi ufa. On mnie nie skrzywdzi. Nie robi mi tego,

co... Nie skrzywdzi mnie. Na pewno mnie nie skrzywdzi.

Zasnęła. Obudziły ją głosy dobiegające z korytarza. Po chwili dotarło do niej, że to Marek i Ludwik wybierają się na ryby. Czyli musiało być po czwartej. Przez kilka chwil leżała na łóżku, mając nadzieję, że za chwilę zmorzy ją sen. Kiedy jednak stało się dla niej jasne, że już nie zaśnie, zeszła do kuchni, żeby zrobić sobie herbaty. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, spotkała tam Marię.

– Dzień dobry. – Kobieta uśmiechnęła się do niej serdecznie. – Ranny ptaszek z ciebie.

– Wczoraj położyłam się bardzo wcześnie i dlatego tak... – wybąkała, czerwieniąc się. Miała nadzieję, że nie uraziła jej swoją nieobecnością.

– Chcesz herbaty? – zapytała Maria. W głosie kobiety słychać było szczerą troskę.

– Poproszę.

– Jeśli masz ochotę, możemy iść na taras. Są tam koce. – Maria patrzyła na nią pytająco, a kiedy tylko Julia pokiwała głową, uniosła tacę i po chwili obie, opatulone pledami, siedziały na werandzie.

– Cudownie. – Julia grzała się kocem i kubkiem gorącej herbaty. Do jej uszu docierał ptasi trel, a nad podwórkiem unosiła się lekka mgiełka. Do dziś takie obrazy widywała tylko w romantycznych filmach.

– Jesteś pierwszą kobietą, którą Marek mi przedstawił – powiedziała Maria, przerywając ciszę. – Trochę się bałam, że ten moment nigdy nie nastąpi.

– Dlaczego?

– Martwiłam się o to, jak kobiety będą reagowały na jego wadę. Zastanawiałam się, czy w ogóle znajdzie się ktoś, kto go zaakceptuje takim, jakim się urodził. – Upiła łyk herbaty i mówiła dalej: – To ogromna odpowiedzialność wiązać się z kimś takim jak on.

– Jakim Marek był dzieckiem?

– Odważnym, byстрыm i pomysłowym. Ale też wyszydzanym i wyśmiewanym. Nie miał przyjaciół, nie licząc tych wymyślonych. Ciągłe sam. Ciągłe pod górkę. Ciągłe musiał udowadniać, że sprosta wymaganiom, jakie przed nim stawiano. I Bóg mi świadkiem, robił to.

– Czy pani od samego początku wiedziała o jego chorobie?

– Nie, ale uważam, że przyczyną może być mój poród kleszczowy albo to, że w trakcie ciąży ćpałam. – Maria odstawiła kubek z herbatą na stół, a potem oparła głowę na zagłówek fotela, przymknęła powieki i zaczęła mówić: – Lata temu w tym domu mieszkali moi dziadkowie, a ja, od kiedy tylko pamiętam, spędzałam u nich całe wakacje i wszystkie weekendy. Tutaj każdy każdego znał, nikt nikomu krzywdy nie wyrządzał. Kiedy dziadek zmarł, w domu mieszkała tylko moja babcia. Zawsze miałyśmy świetny kontakt. Uwielbiałam tu przyjeżdżać. W sąsiedniej wiosce co sobota odbywały się zabawy. Chodziliśmy tam większą grupą. Było wesoło, popijaliśmy wino, czuliśmy się wtedy bardzo dorośli. Podobałam się chłopakom, szczególnie tym starszym. Miałam duże piersi, które bardzo lubiłam eksponować. Nogi też lubiłam pokazywać. Moja babcia zwykła mówić, że pókim młoda, nie mam co się pod długimi kiecami chować. Myślałam sobie wtedy, w to mi graj. Lubiałam flirtować. Lubiałam się podobać. – Maria przestała mówić i otarła łzę, która spłynęła po jej policzku.

– Przecież to nie była pani wina, że... To nie była pani wina! – Julia uniosła głos.

– Też tak uważam, chociaż milicja była innego zdania. Funkcjonariusze, którzy byli obecni przy zgłoszeniu, wielokrotnie komentowali mój strój, sugerując, że jest prowokacyjny i odważny. Jeden powiedział nawet, że on jako mężczyzna pomyślałby, że swoim wyglądem zachęcam do odbycia stosunku seksualnego. Żałuję, że to zgłosiłam. Żałuję, że posłuchałam mojej babci i pojechałyśmy na komisariat. Minęło ponad czterdzieści lat, a ja w dalszym ciągu nie wiem, czy bardziej upokorzył mnie gwałt, czy przesłuchanie.

– Ja jeszcze nie byłam na policji.

– Myślę, że od tego czasu wiele się zmieniło. Chociażby to, że teraz w policji pracuje więcej kobiet. One rozumieją. Nie uważam oczywiście, że mężczyźni nie potrafią wczuć się w nasze położenie. – Maria spojrzała na nią wymownie. – Niemniej uważam, że zostaniesz potraktowana dobrze. Zostaniesz wysłuchana i nikt nie wyda wyroku na podstawie twojego wyglądu lub zachowania.

– Jak... jak do tego doszło? – zapytała ją Julia.

– To było w maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. Kiedy zostałam zgwałcona, miałam dziewiętnaście lat. Poszliśmy w kilka osób na zabawę. Było koło północy. Wysłałam z remizy, żeby ochłonać, przespacerować się kawałek drogą. Dosłownie kawałek. Nie bałam się, w końcu byli tam sami moi. Kiedy szłam przed siebie, moja głowa zajęta była myślami. Za trzy tygodnie odbywało się wesele mojej kuzynki, a ja miałam jej świadczyć. Cieszyłam się tym bardzo. Szłam sukienkę u krawcowej. Wiedziałam też, że będzie tam chłopak, który mi się podobał. Ja jemu też. Wtedy poczułam, jak ktoś łapie mnie za włosy i przykłada do gardła nóż. Krzyknęłam i chciałam się wyrwać. Wtedy poczułam, jak przyciska ostrze do mojej szyi jeszcze mocniej. Byłam tak przerażona, że mnie sparaliżowało. Nie potrafiłam zrobić żadnego ruchu. Pociągnął mnie w bok i popchnął na ziemię. Leżałam na brzuchu, a on usiadł na mnie okrakiem, przyciskając głowę do podłoża. Drugą ręką próbował podciągnąć moją spódniczkę do góry. Jakimś cudem wróciła mi odwaga i zaczęłam wołać o pomoc, wymachiwać rękami. Uderzył mnie, a po chwili przekręcił na plecy. Ja znowu zaczęłam się szamotać. Rozerwał mi ubranie. Znowu mnie uderzył i przystawił nóż do gardła. Od tego momentu nie wydobyłam z siebie żadnego dźwięku. Żadnego. I nie poruszyłam się. Myślałam, że jak zacznę walczyć, to on mnie zabije. Rozerwał mi bluzkę, rozciął stanik i dotykał moich piersi. Było tak ciemno, że nie widziałam jego twarzy. Nawet zarysu. Potem rozerwał mi rajstopy i majtki i zaczął mnie gwałcić. Podałam się całkowicie. Nie czułam bólu. Nie czułam nic. Nie potrafię powiedzieć, ile to trwało, bo miałam wrażenie, że mnie tam wcale nie ma. Że odcięłam się od mojego ciała i tego, co się z nim dzieje. Dziś wiem, że takie zachowanie ma swoją nazwę. To dysocjacja.

– Dysocjacja – powtórzyła Julia, myśląc o swoich doświadczeniach. Jakże były podobne do tych, o których opowiadała Maria.

– Kiedy skończył, przyłożył ostrze do mojego gardła. Byłam pewna, że za chwilę je poderżnie. A on uderzył mnie w głowę i uciekł. Zamoczyło mnie na kilka chwil. Nie widziałam jego twarzy, nie słyszałam jego głosu, jedynie jęki. Nie mam pojęcia, kim był. Nie wiem, czy to ktoś, kogo znam, czy nie. Nic nie wiem. Kiedy powiedziałam o tym milicjantom, powiedzieli, że tak się kończy prowokowanie mężczyzn. Uwierzyłam im wtedy, czułam się współwinna. Cały czas zastanawiałam się nad tym, czy gdybym nie ubierała się tak odważnie, mogłabym tego uniknąć.

– To nie była pani wina – powtórzyła Julia.

Maria westchnęła. Po chwili z jej ust wydobyły się kolejne słowa:

– Przez kilkanaście minut leżałam w krzakach i płakałam, a potem wstałam, poprawiłam ubranie i poszłam do domu. Obudziłam babcię. Jak mnie tylko zobaczyła, zrobiła znak krzyża. Kazała mi zarzucić coś na siebie i pobiegłyśmy do sąsiada, żeby zawiózł nas na komisariat. Jak było na milicji, to już wiesz. Wzywali mnie trzy razy, a potem umorzyli postępowanie przez wzgląd na niemożność znalezienia sprawcy. Ten, kto mnie skrzywdził, mógł czuć się bezkarnie. I mógł to zrobić jeszcze innym kobietom. Do dziś zastanawiam się nad tym, czy byłam jedyna, czy skrzywdził jeszcze kogoś.

– Ja wiem, kto mnie skrzywdził. Ufałam mu. My... my kiedyś byliśmy razem –

powiedziała Julia, patrząc na Marię, która tylko pokiwała głową. – A Marek? Jak... to znaczy... bo ciąża...

– Jak ci wcześniej wspominałam, miałam być świadkiem na weselu u mojej kuzynki. Babcia sugerowała, żebym odmówiła, ale postanowiłam, że jednak podołam. Musisz też wiedzieć, że nie powiedziałam o tym wszystkim rodzicom, chociaż moja babunia była przeciwna. Nalegała, żebym to zrobiła. Przykleiłam do twarzy sztuczny uśmiech i jakoś przetrwałam ten dzień. Tańczyłam tylko z moim tatą, co w pewnym momencie wydało się dziwne mojej mamie. Przyparła mnie do muru, a ja powiedziałam jej o wszystkim, a potem zaczęłam wymiotować. Byłam pewna, że to wina stresu, bo nie alkoholu. Nie tknęłam nawet kieliszka. W poniedziałek, po weselu, mama zaciągnęła mnie do lekarza. Potwierdził ciążę. Trzeci tydzień.

– Jak zareagowała pani mama?

– Kazała pozbyć się problemu.

– Aborcja?

– Tak. W tamtych czasach wykonywano aborcję w prywatnych gabinetach lekarskich albo na życzenie. W tym drugim przypadku kobieta musiała przedstawić stosowny dokument o ciężkiej sytuacji życiowej albo ten informujący o tym, że ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego. Dostawało się wtedy skierowanie do szpitala. Bywali lekarze, którzy nie akceptowali oświadczeń i z przyczyn światopoglądowych odmawiali wykonania zabiegu. I ja na takiego lekarza trafiłam. – Na ustach Marii pojawił się lekki uśmiech. – To znaczy on nie odmówił mi wykonania zabiegu. On zasugerował, abym rozważyła urodzenie dziecka i jeśli nie będę w stanie go zaakceptować, oddała do adopcji. Powiedział, że mój młody wiek i wrażliwość, jaką przejawiam, mogą odbić się negatywnie na mojej psychice po podjęciu tak radykalnego kroku. Byłam u niego z mamą, która zrobiła awanturę. Był niewzruszony i powiedział, że w związku z tym, że jestem pełnoletnia, ostateczna decyzja należy do mnie. Byłam przerażona.

– Co sprawiło, że zdecydowała się pani urodzić?

– Dzień przed wyznaczonym terminem zabiegu miałam sen. Przyśnił mi się mały chłopczyk o ciemnej czuprynie. Miał może roczek. Uśmiechał się do mnie i nazywał mamą. Było to takie realistyczne, że kiedy rano się obudziłam, zaczęłam go szukać obok siebie. Pojechałam jednak z mamą do lekarza. Ona koniecznie chciała wejść ze mną do gabinetu, ale lekarz jej zabronił, co akurat było zrozumiałe. Kiedy mu powiedziałam, że mam wątpliwości, oświadczył, że bardzo go to cieszy. Zapytałam go, jak mam żyć ze świadomością, że moje dziecko jest owocem gwałtu. Jak mam na nie patrzeć? A co, jeśli je znienawidzę? Jeśli będę chciała zrobić mu krzywdę? Powiedział mi wtedy, że nie potrafi odpowiedzieć na te pytania, ale ma przeczucie, że sobie poradzę. Zaczęłam się wtedy śmiać. Przeczucie? Taka trochę loteria. To była cholernie odpowiedzialna decyzja, a ja miałam dziewiętnaście lat i świadomość, że cały czas mam maskę na twarzy. Oszukiwałam nawet siebie samą, że jestem silna. Że podołam. Że to, co się stało, nie robi na mnie wrażenia. A robiło. Wyszłam z gabinetu i powiedziałam mamie, że już po wszystkim. Okłamałam ją. Chciałam dać sobie czas na wymyślenie, co dalej, a tak naprawdę się bałam. Bałam się aborcji. Bałam się reakcji moich rodziców. Bałam się tego, że będą mną rozczarowani. Bałam się też swojej reakcji. Pojechałam do babci. Mimo wszystko to u niej czułam się najbezpieczniej. Potrzebowałam też zmierzyć się z własnymi demonami. Tylko tam mogłam to zrobić. – Maria upiła łyk herbaty, która była już tylko chłodnym wspomnieniem gorącego naparu.

– Nie bała się pani tutaj wrócić?

– Nie skrzywdziło mnie to miejsce. Skrzywdził mnie zły człowiek. To tutaj byłam najszcześniejsza. To tutaj czułam się najlepiej. Ten dom to część mojego życia. Nie mogłam pozwolić, aby ktokolwiek mi to odebrał. Byłam pewna, że jestem tak silna, że dam radę. Byłam

jednak słaba. Słaba i bezbronna. Wakacje zbliżały się ku końcowi, a do mnie nagle dotarło, że nie jestem w stanie urodzić. Tyle tylko, że było już za późno na zabieg. Moi rodzice przyjechali tutaj, żeby zabrać mnie do domu, a ja przywitałam ich z brzuchem. W tamtych czasach niechciana ciąża była tematem bardzo wstydlwym. Mama, kiedy tylko mnie zobaczyła, zrobiła babci awanturę, a gdy próbowałam powiedzieć, że to przecież była moja decyzja, spoliczkowała mnie. Widziałam ją wtedy po raz ostatni. Zresztą tak samo jak i tatę.

– Moja mama... – zaczęła Julia, pozwalając łzom płynąć po policzkach. – Ja nie mam z nią za dobrych relacji. Nigdy nie miałam. Biła mnie, a potem wyrzuciła z domu, bo ukradłam jej pieniądze. Na lody. Mieszkałam z dziadkami.

– Ty jesteś taka sama jak ja. – Maria pokiwała głową z uśmiechem. – Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to właśnie ciebie dobry Bóg postawił Markowi na drodze.

– Co się stało później?

– Stoczyłam się. Zaczęłam brać narkotyki. Nie przeszkadzało mi to, że jestem w ciąży. One sprawiały, że zapomniałam. Ukradłam babci ślubne obrączki, żeby tylko mieć na używki. Babcia nie mogła sobie ze mną dać rady. Miała udar. Na szczęście z tego wyszła. Dopiero wtedy się opamiętałam. Urodziłam. O dziwo, pomimo tego, jak się prowadziłam w ciąży, dziecko urodziło się zdrowe. Tak się przynajmniej wtedy wydawało. Dziś, mając dostęp do wielu informacji, może nie mam stu procent pewności, ale nie wykluczam, że to moje nieodpowiedzialne zachowanie przyczyniło się do tego, że on nie może się uśmiechać.

– Nie może pani tego potwierdzić.

– Ale nie mogę też wykluczyć.

– Pokochała go pani od samego początku?

– Nie. Nie mogłam na niego patrzeć. Brzydziłam się nim. Ilekroć o nim pomyślałam, miałam przed oczyma tamtą noc. Nie chciałam go widzieć. Pielęgniarki myślały, że to szok poporodowy, a ja nie wyprowadzałam ich z błędu. Marzyłam o tym, aby go zabrały. Aby zniknął. No i zabrały. Ale szybko oddały, bo okazało się, że nie chciał jeść z butelki. Miał problemy ze ssaniem. Zostałam zmuszona do tego, żeby przystawić go do piersi. Mówiąc ci o tym, mam świadomość tego, ile minęło lat. A tak naprawdę mam wrażenie, że to wszystko działo się wczoraj. – Maria wstała i objęła się ramionami. – Pielęgniarki przystawiły go do mojej piersi, pomimo tego, że kategorycznie odmówiłam. Zrobiły to na siłę, bez patyczkowania się i głaskania po głowie. Krzyczały na mnie, wyzywając od złych matek. Doszły do wniosku, że jak nie prośbą, to groźbą. Marek natomiast, ledwo dotknął mojej piersi, zaczął ją ssać. Nieco nieporadnie, ale wiedział, co ma robić. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam tak cudownego uczucia. Patrzyłam na niego jak zaczarowana. Już go chciałam. Był mój. Tylko mój. Nie miało znaczenia to, jak został poczęty. Nie miało znaczenia nic. Tylko on. Dostał imię po moim dziadku. Zanim się obejrzałam, wróciliśmy do domu. Do babci. Napisałam list do moich rodziców. Myślałam, że będą chcieli przyjechać. Nie chcieli. Było mi przykro, ale Marek wynagradzał mi wszystko. Robi to do dziś.

– Kiedy pani się zorientowała, że jest chory?

– Moja babcia uznała, że coś jest nie tak. Mówiła, że już dawno powinien się uśmiechać, a tutaj nic. Doszliśmy do wniosku, że najwidoczniej taki ma charakter, ale niepokoiło mnie to coraz bardziej. Lekarze z kolei nie potrafili go zdiagnozować, a musisz wiedzieć, że odwiedziłam ich wielu. Nie jestem w stanie zliczyć ilu. Niby wszystko było tak jak trzeba, bo ani fizycznie, ani emocjonalnie nie odstawał od swoich rówieśników, ba, nawet ich przerastał, ale bardzo martwiło mnie to, że nie ma w sobie żadnych emocji. To znaczy on je miał, ale ich nie okazywał. W końcu trafiliśmy na cudowną panią doktor, która stwierdziła u Marka porażenie nerwów czaszkowych. Natomiast mądre ciotki, córki mojej babci, uznały, że on wcale nie jest chory, tylko opóźniony w rozwoju. Nie był. Nauczył się czytać i pisać, jak skończył cztery lata. W szkole miał najlepsze

stopnie, a i tak nikt nie chciał się z nim przyjaźnić. Dzieci się go bały i wytykały palcami. Nawet nauczyciele trzymali go na dystans, chociaż wiedzieli, że jest chory. Tylko moja babcia i Ludwik traktowali Marka jak normalnego człowieka.

– Jak to się stało, że wy jesteście razem? Pani i pan Ludwik?

– Na wsi krążyły plotki, że dzieciaka zrobił mi jakiś żonaty warszawiak. Cóż, nie mogłam ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, ale nie chciałam, aby koło mnie kręcili się jacyś mężczyźni. Ze szpitala przywiózł mnie Ludwik. Znalismy się od dziecka, zawsze go lubiłam. Przez całą drogę powrotną mówił mi, że jeśli tylko będę potrzebowała pomocy, wystarczy, że go poproszę. Zapytałam go wtedy wprost, czy wierzy w te plotki, jakie chodzą po okolicy. Powiedział, że nie wierzy. Zapytałam, czy chce znać prawdę. Powiedział, że chce. Powiedziałam mu. Zatrzymał się na poboczu i zaczął płakać. Nie mogłam pojąć tego, jak to nim wstrząsnęło. Od tego czasu widywalismy się codziennie. Nie bałam się go. Kiedy Marek skończył trzy miesiące, zapytałam Ludwika, czy pójdzie ze mną do łóżka. Potrzebowałam przepracować traumę, odzyskać wiarę w swoją kobiecość i na nowo pokochać swoje ciało. Wiedziałam, że jeśli kiedykolwiek zdecyduję się na taki krok, to tylko z kimś, komu ufam. Doświadczyłam krzywdy, na którą nie miałam wpływu, ale nie mogłam pozwolić, aby to zło przejęło kontrolę nad moim ciałem. I duszą. Wiedziałam, że gwałt nie ma nic wspólnego z seksem, ale aby naprawdę to zrozumieć, musiałam rozdzielić te dwa doświadczenia. No i najważniejsze, w dalszym ciągu byłam dziewczyną, emocjonalną. – Maria spojrziała na Julię. – Ufasz Markowi?

– Tak.

– To dobrze. Ja też ufałam Ludwikowi. A najbardziej zaufałam mu, kiedy słysząc moją propozycję, oblał się pąsem. Dotarło wtedy do mnie, że jeszcze nigdy z nikim nie był. Między wierszami zasugerował, że może lepiej, gdyby to był ktoś inny, bo on boi się, że mnie skrzywdzi. I wiesz co? To ja się bałam, że skrzywdzę jego. Kiedy doszło do pierwszego zbliżenia, robiłam wszystko, aby nie poczuł, że się go boję. Tak się tym zaaferowałam, że kompletnie zapomniałam o sobie. W życiu nie sądziłam, że przepracuję to tak szybko. To znaczy tak mi się wtedy wydawało. Bo później bywało różnie. Czasem płakałam, czasem miałam ataki paniki i odpychałam go od siebie albo, jak podczas gwałtu, leżałam jak kłoda, nie czując kompletnie nic. A on był tak cierpliwy i czuły. Skupiony na mnie i na tym, aby to mnie było jak najlepiej. Będę mu za to wdzięczna do końca życia.

– Kocha go pani?

– Jak przyjaciela. Zamknęłam się na miłość do mężczyzn. I on o tym wie.

– Jakim cudem ma pani w sobie tyle optymizmu? Jak sobie pani z tym poradziła?

– Moje życie można podzielić na dwie części: przed gwałtem i po gwałcie. Nie ma dnia, abym o tym nie pomyślała. Zdarza się, że nawiedzają mnie koszmary, ale i tak wiem, że zawsze nadejdzie ranek, a ja się obudzę i przetrwam. To doświadczenie sprawiło, że najważniejszy dla mnie jest mój komfort i moje granice. Nie pozwalałam przekraczać ich wszystkim. Kiedy coś mi nie pasuje, staram się to zmieniać. Gdy ktoś sprawia mi przykrość, mówię mu o tym. Wiem, że jestem silna, wartościowa i kochana. I chociaż zdarza się, że mam gorszy dzień, to staram się bardzo szybko do siebie dochodzić. Nie mogę pozwolić na to, aby cokolwiek mnie pokonało. – Na chwilę zamilkła i przyglądała się Julii. – Pewnie chciałabyś wiedzieć, co czuję, patrząc na Marka. Nie mam pojęcia, jak tego dokonałam, ale w moim odczuciu on nie ma i nigdy nie miał ojca. Mam świadomość, że do poczęcia dziecka potrzeba dwojga ludzi, ale wiem też, że to, co mnie spotkało, było dewiacją. Możesz uważać, że okłamuję sama siebie, ale ten, kto mnie skrzywdził, nie zasłużył na to, aby być dla Marka ojcem. Patrząc na niego, widzę mojego syna. Tylko i aż.

– Kiedy powiedziała pani Markowi o tym, co się stało?

– Kiedy skończył osiemnaście lat. Bałam się tego dnia, ale potrzebowałam, aby on o tym wiedział. Aby wiedział o wszystkim. O tym, że mogłam zrobić z niego kalekę też. I wiesz, co mi odpowiedział?

– Co?

– Że jest ze mnie dumny, bo przetrwałam. Bo mimo wszystko dałam nam obojgu szansę.

Julia podeszła do Marii i objęła ją ramieniem. Przez chwilę obie trwały w ciszy, każda skupiona na swoich myślach.

– Co byś zrobiła, gdybyś była w ciąży? – zapytała nagle Maria.

– Nie wiem, co zrobię, jeśli okaże się, że jestem w ciąży. Zrobiłam test, ale nie wiem, jaki jest wynik. Marek go widział. Ja się boję.

– Kochasz mojego syna?

– Kocham go, pani Mario – wyszeptała Julia. – Kocham jak nikogo na ziemi.

– Miłość to wolność.



Rozdział 23

– Te ryby to chyba na wakacje wyjechały – sarknął Ludwik, kręcąc głową z niezadowoleniem.

– Może nad morze pojechały – powiedział Marek. Jemu absolutnie nie wadziło, że od dobrej godziny jego spławik ani drgnął. Lubił ciszę i spokój. Był też cierpliwy. Potrafił godzinami siedzieć, wpatrywać się w jeden punkt i milczeć. Można by pomyśleć, że układał sobie wtedy w głowie plan działania na najbliższy czas. Nic bardziej mylnego. Marek mało co planował, jeśli już, to przegląd techniczny auta, opłacenie ubezpieczenia czy wizytę u dentysty, czyli rzeczy, do których musiał się ustawiać w kolejce.

Wszystko inne po prostu się działo.

Podobnie było z jego zawodową karierą. Po skończeniu liceum poszedł na studia. Przez chwilę myślał o doktoracie, ale uznał, że to jednak nie dla niego. Wkręcił się za to bardzo w rozwijanie swoich zdolności, zastanawiając się też przy okazji, co może zrobić, aby wykorzystać je do pomagania innym. Wymyślił własny gabinet terapeutyczny. Inny niż wszystkie. Idący z duchem czasu. Dosłownie, bo zdarzało się, że pacjenci nazywali go pogromcą duchów, a robili to z sympatią i wdzięcznością. Początki nie były łatwe, ponieważ ludzie traktowali go z dystansem. Przez wygląd, wiadomo. Ale jeden pacjent polecił go kolejnemu, tamten następnemu i powoli, powoli wszystko zaczynało się układać.

Potem w jego życiu pojawiła się Julia. Kobieta zjawiskowa i wyjątkowa pod każdym względem.

– Masz w sobie dość siły, żeby jej pomóc? – Do uszu Marka dobiegło pytanie Ludwika.

– Mam.

– To dobrze. To bardzo dobrze.

Po wymienieniu ze sobą tych kilku słów obaj zatopili się w myślach. Marek ufał, że naprawdę ma w sobie siłę i będzie w stanie pomóc Julii. Ludwik z kolei... Ludwik walczył z własnymi demonami. Tymi samymi, które uporczywie, dzień w dzień, przypominały mu o tym, że wie więcej niż inni, a wiedza ta mogłaby przynieść mu zgubę. Jedna jego decyzja wpłynęła na los tak wielu ludzi. Gdyby był odważniejszy, silniejszy, bardziej pewny siebie... Marię nie spotkałaby krzywda. I nie urodziłaby Marka.

I właśnie ta myśl sprawiała, że ilekroć nachodziły go demony chcące zabawić się kosztem jego udrećzonej duszy, stawiał im czoła. Czuł się odpowiedzialny za Marka. I za Marię.

Wrócił myślami do przeszłości. Do TEGO dnia.

– Fajna ta twoja sąsiadka – powiedział Mietek, kuzyn Ludwika. Obaj stali pod remizą i popijali alkohol.

– Woli starszych – odpowiedział mu Ludwik. Lubił Marysię. Znali się od dziecka. Podobała mu się, ale był zbyt nieśmiały, żeby jej o tym powiedzieć. Podziwiał ją więc tylko w swoich myślach.

– To dziś zrobi wyjątek – zarechotał kuzyn i ruszył w jej stronę. Nim jednak zdążył do niej podejść, obok dziewczyny pojawił się inny chłopak. Sporo od niego starszy. Maria, kiedy tylko go zobaczyła, przechyliła głowę, założyła włosy za ucho i zaczęła flirtować. Po chwili chłopak chwycił ją za rękę i oboje zniknęli w budynku remizy. Mietek zaklął szpetnie, kopnął kamień, wsadził dłonie do kieszeni i poszedł się wysikać. Ludwik zaśmiał się pod nosem. Jakieś pół godziny później sam potrzebował opróżnić pęcherz. Wszystkie wychodki były zajęte, a on nie czuł się komfortowo, gdyby musiał załatwiać swoją potrzebę pod płotem, na oczach innych. Wyszedł na drogę i skierował się w pobliskie krzaki. Był ciut podпиты, więc kiedy tylko skończył,

usiadł na chwilę na trawie i zapatrzył się w niebo. Pomyślał sobie wtedy, że cudownie by było, gdyby teraz obok niego siedziała jakaś dziewczyna. Mogłaby być to Maria, a on mógłby ją przytulić. Położył się na plecach, zaplótł dłonie pod głowę, przywołał na usta leniwy uśmiech i przymknął powieki.

Nagle coś usłyszał.

Krzyk i szamotaninę. Otworzył oczy, uniósł głowę i ujrzał coś dziwnego. Jakiś bardzo niekształtny cień. Przynajmniej tak to wyglądało z odległości kilku metrów. Po chwili ów cień zwałił się na ziemię, a Ludwikowi zdawało się, że ktoś rozdziera ubranie. Bardzo powoli położył się na plecach i nasłuchiwał. Do jego uszu dobiegło wołanie o pomoc. Trwało ono może dwie sekundy. Może trzy. Znał ten głos. Należał do Marii. Dłonie Ludwika zaczęły się trząść, puls przyspieszył, a serce prawie wyskoczyło mu z piersi. Bał się opuścić swoją bezpieczną kryjówkę. Bał się poruszyć. Bał się zrobić cokolwiek. Usłyszał jęki, które mogły świadczyć tylko o jednym. Przez cały czas ich trwania Ludwik wmawiał sobie, że Marysia na pewno na to pozwoliła. Że jest świadoma. Że ona tego chciała. Że mężczyzna, który ją posiadał, ma jej przyzwolenie.

Jęki ustały. Ludwik usłyszał, jak ktoś biegnie. Potem usłyszał kobiecy płacz. Później nastąpiła cisza, a on dalej leżał w krzakach, nie mogąc dojść do siebie. Odwaga przyszła kilka godzin później, wraz z pierwszymi promieniami słońca. Powłócząc nogami, dotarł do domu. Od trzech lat mieszkał tylko z ojcem, bo mama zmarła. Dopiero kiedy otworzył drzwi, przypomniał sobie o tym, że przecież na imprezę poszedł razem z kuzynem. Ufał, że Mietek, pomimo upojenia alkoholem, jakoś trafił do domu i już śpi.

Skierował swoje kroki do kuchni. Nalał sobie wody i wypił duszkiem. Po chwili wlał w siebie kolejną szklanekę, a potem, nie mając pomysłu na to, co dalej, powłókł się do swojego pokoju. Kuzyn spał na rozłożonym na podłodze materacu. Kiedy i on chciał się położyć do łóżka, usłyszał hałas. Dobiegał z kuchni. Poszedł tam.

Przy piecu stał jego ojciec. Był pijany. Miał na sobie rozdartą, pobrudzoną trawą i ziemią koszulę. Próbował rozpalić w piecu. Szło mu bardzo nieporadnie. Z jego ust co chwilę wypływały wulgaryzmy. Nie miał świadomości, że w drzwiach stoi jego syn.

– Ale co sobie poruchałem na tej młodej Wentównie, to moje. – Po wypowiedzeniu tych słów ojciec zaśmiał się rubasznie, a potem wrzucił koszulę do pieca.

Rozdział 24

– Dziś na obiad będzie zupa rybna? – zapytała Maria. Była dziesiąta trzydzieści, a Ludwik i Marek właśnie weszli do domu. Mina tego pierwszego wskazywała na to, że nie jest zadowolony z połowu.

– Na zupełną mamy podstawowy składnik: wodę. Brakuje tylko ryb – odpowiedział Ludwik, machając z rezygnacją dłonią.

– Może przerzucić się na hodowlę pszczół?

– To nie jest głupi pomysł. Poczytam trochę o tym. Tak, Mario, na forum dla pszczelarzy. – Ludwik wypiął pierś, po czym zniknął w łazience. Maria zaczęła się śmiać.

– Widziałaś się z Julią? – zapytał ją Marek.

– Tak. Czeka na ciebie na górze – odpowiedziała, posyłając synowi uśmiech. – Lubię ją.

– Ja też ją lubię.

– Nie da się ukryć.

Do kuchni wrócił Ludwik. Jego policzki były zaróżowione, co świadczyło o tym, że myśli o czymś bardzo intensywnie. W rzeczy samej, tak właśnie było.

– Mario, te pszczoły to naprawdę dobry pomysł. Musimy wszystko przedyskutować. Gdzie postawimy ule...

– Jakie ule? – Patrzyła na niego jak na kogoś niespełna rozumu.

– No a gdzie umieścimy nasze pszczoły? – I vice versa, mówiło w tym momencie spojrzenie Ludwika.

– A to MY razem będziemy się tym zajmować? – zapytała go Maria, unosząc brew.

– Oczywiście. – Odchrząknął i mówił dalej: – Mąż mojej kuzynki ma pasiekę. Romek, wiesz, ten z Kalisza. Ten chudy. Ten z bródką. Ten mały. Ten...

– Wiem który.

– Najlepiej będzie, jak pojedziemy do niego i on nam wszystko opowie. – Ludwik wyglądał w tym momencie jak dziecko, które czeka na pierwszą gwiazdkę.

– Pewnie. Za piętnaście minut wyjeżdżamy, tylko się przebiorę – powiedziała Maria, kręcąc głową z niedowierzaniem. Oczywiście tylko sobie zażartowała z tym wyjazdem.

– Zaraz do niego zadzwonię. – Ludwik z kolei, kiedy tylko napalił się na jakieś nowe hobby, a miał ich w swoim życiu naprawdę wiele, pięć minut później wprowadzał je w czyn. Nim Maria zdążyła mu powiedzieć, że ona nie ma zamiaru nigdzie jechać, jego już nie było w pomieszczeniu.

– I co ja mam teraz zrobić? – zapytała Marka, który przysłuchiwał się tej, doprawdy, dziwnej wymianie zdań.

– To, co zwykle robisz, gdy Ludwik wpadnie na kolejny genialny plan. Wspierać go.

– Uwielbiam tę jego spontaniczność. I błogosławię to, że sam płaci za te wszystkie swoje pomysły – powiedziała, a potem poszła się przebrać. Oczywiście, że mogłaby wybić mu ten pomysł z głowy. Ale uznała też, że Marek i Julia potrzebują chwili tylko dla siebie. Kwadrans później zabytkowy duży fiat, którego Ludwik odziedziczył po ojcu, mknął przed siebie. W tym samym czasie Marek wspinał się po schodach na piętro i pukał do drzwi jednego z pokoi. Odpowiedziało mu ciche zaproszenie. Wszedł do środka. Julia siedziała na łóżku.

– Mama i Ludwik wyjechali. Wrócą przed wieczorem. Masz może ochotę na spacer? – zapytał, stając na środku pokoju.

– Może później. Teraz chciałabym z tobą porozmawiać. – Poklepała miejsce obok siebie, zapraszając go, aby tak jak i ona usiadł na łóżku. Kiedy to zrobił, oparła głowę na jego ramieniu

i powiedziała: – Rozmawiałam dziś rano z twoją mamą. Głowa mi pęka od natłoku myśli, ale wiem, że nie mogę już dłużej być bierna.

– To znaczy?

– To znaczy, że chcę iść na policję. Do tej pory oddalałam od siebie podjęcie tej decyzji. Uważałam, że w taki sposób zapomnę o tym, co mnie spotkało. W przeciwieństwie do twojej mamy ja wiem, kto mnie skrzywdził. Nie chcę, aby skrzywdził kogoś innego.

– Jak tylko wrócimy, pójdziemy na policję. – Marek splótł swoją dłoń z dłonią Julii.

– Moja mama jest chora. Ma raka. Prosiła... To znaczy ona potrzebuje pieniędzy na leczenie za granicą. Wezmę kredyt, żeby jej pomóc. Chciałam, żebyś o tym wiedział.

– Przykro mi to słyszeć. Jaki to rak? Czego? Znam kilku świetnych onkologów, może będą w stanie pomóc twojej mamie.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – powiedziała. Wbiło ją to w jeszcze większe poczucie winy. – Tak bardzo skupiłam się na sobie, że nawet się tym nie zainteresowałam. To znaczy pytałam się mamy, ale ona była zdenerwowana i mi nie odpowiedziała. Nie dociekałam. A powinnam. Jestem okropną córką. Nawet nie chcę myśleć, co ona teraz przeżywa.

– Nie jesteś okropna.

– Nie potrafię się z nią dogadać. Wiem, jak to zabrzmi, ale po zaledwie jednym dniu, jaki spędziłam z twoją mamą, czuję się tak, jakbyśmy znały się całe życie. Z kolei o mojej mamie tak naprawdę nie wiem nic. Tak samo jak i ona o mnie. Nie powiedziałam jej o gwałcie. Wstydzę się.

– Rodzina to bardzo skomplikowana układanka. To może boleć, ale bardzo często ci, z którymi nie łączą nas żadne więzy krwi, są nam bliżsi niż nasi rodzice, bracia, siostry. Oczywiście nie zawsze, ale tak bywa.

– Ty i twoja mama jesteście sobie bardzo bliscy.

– Tak – potwierdził.

– Podziwiam ją. Ona tak cię kocha. – Julia zamilkła, przygotowując się na zadanie pytania, które kłębiło się w jej głowie od czasu rozmowy z Marią. – Boję się o to zapytać, ale wiem, że nie mam wyjścia. I że nie mogę uciekać i czekać na to, aż mój brzuch zacznie rosnać, żeby dotarło do mnie, że...

– Test wyszedł negatywnie. Nie jesteś w ciąży.

Z ust Julii wydobyło się głośne westchnienie. Poczowała ulgę.

– Możesz mnie przytulić? – Kiedy skinął głową i położył się na łóżku, obróciła się i przywarła do niego plecami. Objął ją ramionami. Bardzo ciasno. – Chciałabym mieć dziecko. Bardzo. Ale nie w taki sposób. Nie z nim. Nie wiem, czy potrafiłabym... czy umiałabym...

– Nie marnuj energii na zastanawianie się nad tym. Nie jesteś w ciąży.

– Twoja mama to bardzo silna kobieta.

– Tak samo jak i ty.

– Chciałabym się z tobą kochać teraz, natychmiast, ale jak tylko o tym pomyślę, to widzę jego. – Mówiąc to, Julia poczuła, jak jej ciało zaczyna sztywnieć. Zrobiło się jej bardzo nieprzyjemnie. – Boję się, że nie dam sobie z tym wszystkim rady. Że ten strach mnie pokona. Boję się, że cię stracę.

– Jeśli tylko mi pozwolisz, pomogę ci. – Odwrócił ją twarzą do siebie i pocałował w usta, a potem zaczął głaskać po policzkach. Ten dotyk dawał jej ukojenie. Twarz Marka, na pozór pozbawiona emocji, sprawiała, że Julia czuła spokój. Jego dłoń sunęła po jej ramieniu to w górę, to w dół. Sprawiał wrażenie, jakby ta niewinna pieśczęta dawała mu ogrom radości. Jakby w tym momencie nie liczyło się nic więcej. Drugą rękę położył sobie w zagłębieniu szyi, dzięki czemu mógł cały czas patrzeć na Julię, która uniosła dłoń i położyła ją na pokrytym zarostem policzku Marka. Nie potrafiła powstrzymać łez.

– Kocham cię – wyszeptała. – Kochaj się ze mną. Tak bardzo tego potrzebuję. Tak bardzo potrzebuję ciebie. Ale bardzo się boję.

– Ustalmy hasło. Jeśli będziesz chciała, żebym przerwał, dasz mi znak. Niech to słowo będzie symbolem. Zawsze, kiedy je wypowiesz, będę wiedział, że mam się zatrzymać.

– Dysocjacja – powiedziała pierwsze słowo, jakie przyszło jej w tym momencie do głowy.

– Dysocjacja – powtórzył za nią Marek, a potem uniósł jej koszulkę i ściągnął ją przez głowę. Ujął jej twarz w obie dłonie i patrzył w oczy. – Jesteś piękna. Jesteś moim uśmiechem. Moją radością. – Z każdym wypowiedzianym słowem zbliżał swoje usta do ust Julii. Skubnął górną wargę, odpinając w tym samym czasie stanik. Kiedy go zdjął, jego oczy zapłonęły pożądaniem. Dłoń Julii z kolei wśliznęła się pod jego koszulkę i zaczęła głaskać podbrzusze pokryte kępką włosów. Marek rozchylił usta i przeniósł wzrok na jej piersi. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, którą najpierw possać. Wybrał lewą. Polizał brodawkę, która momentalnie zaczęła się prężyć. To samo zrobił z prawą.

Julia westchnęła. Był to odgłos ulgi. I chociaż gdzieś z tyłu jej głowy krążyły myśli, które bardzo, ale to bardzo chciały jej przypomnieć o koszmarze sprzed kilku tygodni, to świadomość, że jest dotykana przez Marka, bardzo skutecznie powstrzymywała ją przed przerwaniem tych pieszczot.

Usta Marka objęły jeden z sutków i zaczęły go ssać.

– Dysocjacja – powiedziała nagle. Marek momentalnie się od niej odsunął.

– Przepraszam. Byłem zbyt nachalny.

– To ja przepraszam. Chciałam sprawdzić... To znaczy... chciałam mieć pewność, że... że przerwiesz. Przepraszam.

– Mogę kontynuować? – Zbliżył usta do piersi, którą jeszcze chwilę temu ssał.

– Możesz – wyszeptała Julia. – Tylko proszę, patrz na mnie. Chcę cię widzieć. Potrzebuję tego. Ja wiem, że ty to ty, ale...

– Nie zrobię niczego, czego byś nie chciała. – Ułożył się na boku, podparł głowę jedną ręką, drugą zbliżył do piersi. Ledwo jej dotknął, Julia wygięła się w przyjemny dla oka łuk. Marek potarł kciukiem najpierw jedną, potem drugą brodawkę, patrząc przy tym cały czas w jej oczy. Uniósł dłoń i przesunął nią w dół, w kierunku podbrzusza. Kiedy tam dotarł, zaczął je głaskać. – Pamiętaj – wyszeptał – możemy przerwać w każdej chwili.

– Nie chcę, żebyś przerywał. – Ujęła jego dłoń i nakierowała na złączenie ud. Ledwo palec Marka potarł jej łechtaczkę, z ust Julii wydobył się gardłowy pomruk podniecenia, którego nie można było pomylić z niczym innym. – Potrzebuję tego – wycharczała. – Błagam, błagam... – jęczała. Cały czas też trzymała go za dłoń, chcąc mieć kontrolę nad wszystkim. W chwili, w której jej ciałem wstrząsnął kolejny, jakże przyjemny dreszcz, odrzuciła rękę Marka i zaczęła płakać. – Dysocjacja – wyszeptała, przełykając łzy.

– Nic na siłę – powiedział.

– Nie mogę. Przepraszam, nie mogę. Ja już nigdy nie będę mogła. To moja wina, to wszystko moja wina. Nie musiałam go wpuszczać. Mogłam krzyczeć. Mogłam uciekać. A ja nie zrobiłam nic. Nic – zawodziła, szukając ukojenia w ramionach Marka. Skuliła się, a on objął ją i zaczął głaskać po głowie.

– Nie jesteś niczemu winna. To nie był twój świadomy wybór. Zostałaś do tego zmuszona. Kiedy ludzie doświadczą zagrożenia, najczęściej uciekają, stawiają opór albo wręcz przeciwnie, są sparaliżowani. Na to, która z tych reakcji zostanie uruchomiona, wpływa wiele czynników. Chociażby to, że każdy z nas ma inne doświadczenia życiowe i jego układ nerwowy zachowa się inaczej niż u kogoś, kogo spotkała identyczna trauma. Nie ma jednego

prawidłowego zachowania, jakie powinno wystąpić w danej sytuacji. Reakcja na lęk nie jest zależna od nas. To się dzieje automatycznie. Dlatego nie czuj się winna. Nie myśl, że jesteś odpowiedzialna. Że mogłaś postąpić inaczej. Wiem, że to, co teraz powiem, niczego nie zmieni, ale w przypadku napaści seksualnej, bez względu na to, czy zgwałcona zostaje kobieta, czy mężczyzna, bardzo często dochodzi do zamrożenia. Człowiek zastyga w bezruchu. I milczy. Nie myśli racjonalnie. Tak jak ty wtedy.

– To mężczyzna też może zostać zgwałcony? To znaczy przez kobietę? – zapytała, odsuwając się na taką odległość, że dalej ją obejmował, ale widziała jego twarz.

– Może.

– Ja zawsze uważałam, że... No wiesz... że mężczyzna może zawsze. – Policzki Julii zapłonęły czerwienią.

– Po pierwsze, utarło się, że jesteśmy silniejsi od kobiet, więc z łatwością możemy się obronić. A już na pewno przed napastliwymi przedstawicielkami płci przeciwnej. Po drugie, jeśli mowa o seksie, to uważa się, że każdy facet będzie postrzegał to jako coś bardzo pozytywnego. No i zawsze „mu stanie” i zawsze będzie tego chciał. Ludzie uważają erekcję za oznakę zainteresowania seksualnego i przyzwolenia na odbycie stosunku płciowego. Tymczasem wzwód bardzo często wiąże się z fizyczną stymulacją, więc i wystraszona ofiara może go osiągnąć. Nawet kobieta, która jest zmuszona do seksu, może doświadczyć orgazmu, gdyż jej ciało reaguje na stymulację fizyczną. Bardzo często takie osoby wmawiają sobie, że w ten sposób dały przyzwolenie i tak naprawdę do niczego złego nie doszło. Wmawiają to sobie tak długo, aż w pewnym momencie kłamstwo staje się prawdą.

– Czy znasz jakiegoś mężczyznę, który został zgwałcony przez kobietę?

– Tak. Jeden z moich pacjentów był napastowany seksualnie. To się stało na imprezie w domu jego znajomych. Było mnóstwo ludzi, nie wszystkich znał. Była tam też dziewczyna, która ciągle się do niego przymilała. On nie był nią zainteresowany. Nie był gejem, po prostu nie miał ochoty na przenoszenie tej znajomości do łóżka. Dawał jej to do zrozumienia. Poszedł spać. Obudził się, kiedy poczuł, że panna robi mu loda. Kazał jej przestać. Nie posłuchała. Skończyło się seksem, więc wszystko wskazuje na to, że w ostateczności się zgodził. Nic z tych rzeczy. To bardzo nieśmiały mężczyzna. Brakowało mu wtedy asertywności w podejmowaniu decyzji. Kiedy opowiadał o tym kolegom, klepali go po plecach i gratulowali zaliczenia. Nikt mu nie wierzył, że stało się to wbrew jego woli. Przez chwilę zastanawiał się nawet nad tym, czy on naprawdę tego chciał i czy czasem nie przesadza, bo tak naprawdę nic wielkiego się nie zdarzyło. Chłopak stracił do siebie szacunek.

– Pomogłeś mu?

– On sam sobie pomógł, mierząc się ze strachem. Ja tylko podpowiedziałem, jak ma to zrobić. Moja wiedza, nieskromnie mówiąc, jest duża, ale na nic się zda, jeśli pacjent nie będzie chciał sam siebie zrozumieć. Ja mogę mówić i mówić, i mówić, ale to nie będzie trafiało do głowy, która jest zamknięta. Tylko ty jesteś w stanie uporać się ze swoimi demonami. Tylko ty. – Popukał ją zgiętym palcem w czoło. – O, tutaj masz rozwiązanie każdego swojego problemu.

– Spróbujemy jeszcze raz? – zapytała i szybko dodała: – Kiedyś. Chodziło mi o kiedyś. Nie dziś.

– Spróbujemy, a teraz chodź, zrobimy sobie reanimacyjną kawę.

Poszli.

Na kawę i na spacer.

Rozdział 25

Maria i Ludwik wrócili do domu przed godziną dwudziestą. Zazwyczaj, kiedy wysiadali z auta, prowadzili ze sobą ożywioną rozmowę okraszoną śmiechem i ciętymi ripostami, których autorką była Maria. Tym razem było inaczej. Oboje byli milczący, można nawet powiedzieć, że smutni. Również psy wyczuły, że to nie jest dobry moment na zabawę, i trzymały się z daleka. Kiedy Maria weszła do domu i zobaczyła Marka, podeszła do niego i bez słowa wyjaśnienia przytuliła się do syna.

– Mamo – powiedział, wyczuwając jej emocje. – Co się stało?

– Po drodze widzieliśmy wypadek – odpowiedzi udzielił mu strapiiony Ludwik. – Motocyklista zderzył się z ciężarówką. Widzieliśmy to. Młody chłopak. Za młody. – Pokiwał głową z rezygnacją i poklepał Marka po plecach. A potem wszedł do salonu i włączył telewizor.

– To też był czyjś syn – zawodziła Maria. – Nie przeżyłabym tego, gdyby tobie się coś stało. Rodzice nie powinni chować swoich dzieci.

– Mamo. – Złapał ją za ramiona. – Spójrz na mnie. Mamo! – Musiał podnieść głos, żeby go posłuchała. – To bardzo przykre, ale takie rzeczy się dzieją i mogą spotkać każdego z nas. Żyjmy tu i teraz i czerpmy radość z tego, co nas otacza.

– Tak, tak, masz rację. Masz rację. Ale i tak jest mi przykro, bo jakaś matka dowie się, że dziś straciła swoje dziecko.

– Właśnie mówią o tym wypadku w telewizji – usłyszeli głos Ludwika dobiegający z salonu. Maria powiedziała, że ona nie chce już na to patrzeć, i zniknęła w kuchni. Potrzebowała побыć chwilę sam na sam z melisą. Julia i Marek dołączyli do Ludwika.

– Mówią, że jest w stanie krytycznym i walczy o życie w szpitalu. Przetransportowali go tam śmigłowcem – powiedział Ludwik.

Z telewizyjnego odbiornika dobiegł głos prezentera:

– Jak udało nam się ustalić, mężczyzna poruszający się jednośladem to trzydziestoletni mieszkaniec Łodzi. Sprawcą wypadku był czterdziestodwuletni kierowca ciężarówki, który miał ponad dwa i pół promila alkoholu w wydychanym powietrzu. Mężczyzna został zatrzymany i oczekuje na przesłuchanie. Sprawą zajmuje się prokuratura rejonowa.

– Ale pobojuwisko – powiedział Ludwik, kiedy na ekranie pokazano miejsce zdarzenia.

– To on! To Piotrek! – wykrzyknęła nagle Julia. – To jego motocykl. Jestem tego pewna... – Patrzyła na obrazy, które przewijały się w telewizji, i nie czuła nic. Po prostu nic. Boże, pomyślała, czy ja się całkowicie wyzbyłam współczucia? Czy przez to, co on mi zrobił, we mnie nie ma już człowieczeństwa? Poczowała na ramieniu czyjś dotyk. Odwróciła głowę i napotkała brązowe pytające spojrzenie. – To jego zabrali do szpitala – powiedziała, chociaż Marek nie zadał jej pytania na głos.

– Skąd wiesz, że to on?

– Na baku jego motocykla był rysunek kobiety z czerwonymi ustami i z napisem „Pioter”. Bardzo charakterystyczny. Pokazali to. I jeszcze pokazali pomarańczowo-zielony kask. On miał identyczny. Powiedzieli też, że ma trzydzieści lat. Marek, to nie może być przypadek. A jeśli to kara za to, co on mi zrobił? – Nie czekając na odpowiedź na swoje pytanie, wstała i ruszyła w stronę wyjścia.

– Mam iść z tobą?

– Nie.

Kiedy Julia wyszła z salonu, Ludwik spojrzał na Marka i zapytał:

– Czy ja dobrze zrozumiałem, że człowiek, o którym mówiła Julia, to ten sam mężczyzna,

który ją skrzywdził? I o którym mówią w kontekście tego wypadku?

– Tak.

– Jednak sprawiedliwość dosięgnie każdego – powiedział Ludwik, a w jego głosie dało się słyszeć coś na kształt satysfakcji.

– Śmierć nie jest sprawiedliwością.

– Mam inne zdanie.

– Masz do tego prawo – rzekł Marek. Po chwili i on wyszedł z pomieszczenia, zostawiając Ludwika samego. Stał na tarasie, oparł się o barierkę i zapatrzył przed siebie. Zaskoczyły go słowa Ludwika, albo nie, nie słowa, raczej sposób, w jaki się wyraził, a także barwa jego głosu, która świadczyła o tym, że był zadowolony i dziwnie pobudzony. Marek może i zacząłby się nad tym głębiej zastanawiać, gdyby nie krzyk, który dotarł do jego uszu.

Kobiety wrzask. Dochodził znad rzeki.

Nie bacząc na to, że jest na bosaka, popędził przed siebie. Kiedy znalazł się przy pomoście, ujrzał Julię. Klęczała na drewnianej konstrukcji i bujała się to w przód, to w tył. Ruszył w jej kierunku, a gdy był już tuż obok, usiadł, opierając plecy o jeden ze słupków podtrzymujących pomost. Zachował przy tym dystans, aby ona nie czuła się osaczona ani w żaden sposób zagrożona.

Julia z kolei wcale nie zdawała sobie sprawy z obecności kogoś jeszcze, więc uważała, że może dać upust swoim emocjom. Zaciśnęła dłonie, uniosła głowę i zaczęła krzyczeć. Nie były to żadne konkretne słowa, raczej pojedyncze literki, wyartykułowane po to, aby przynieść jej ukojenie. Nie przyniosły. Opadła plecami na deski, zakryła twarz dłońmi i zaczęła szlochać. Marek uznał, że to jest właśnie ten moment, kiedy może się do niej zbliżyć. Podobnie jak ona położył się na plecach, z tą różnicą, że on wsadził sobie ręce pod głowę. Nie miał potrzeby ukrywania się przed światem.

– Gdybyś mnie potrzebowała, jestem – powiedział i zapatrzył się w niebo. Odpowiedziało mu westchnięcie.

– Nie czuję nic. Kompletnie nic – usłyszał głos Julii. – Nie ulżyło mi, ale nie uważam też, że spotkała go zasłużona kara. Nie jest mi też go szkoda. Co ze mną jest nie tak?

– Myślę, że się zablokowałaś. Wyparłaś ze świadomości to, że ten człowiek był kiedyś dla ciebie kimś naprawdę ważnym.

– Czy to źle?

– A jak czujesz?

– Nie potrafię nazwać tego, co w tym momencie we mnie siedzi. Nie wiem, co mam robić. Jeszcze chwilę temu byłam przekonana, że jak tylko wrócimy, pójdę na policję. A teraz co?

Marek przekręcił się na bok i potarł wierzchem dłoni policzek Julii.

– Czas pozwoli ci wszystko zrozumieć. Daj go sobie. Nie jest ci zimno?

– Nie. Tu jest tak spokojnie. – Tym razem to ona przekręciła się na bok. Bardzo długo patrzyli sobie w oczy. Świat dookoła nich powoli, acz subtelnie zatapiał się w ciemności. Julia kierowana potrzebą bliskości przełożyła nogę przez biodro Marka i chwilę później leżała na nim, opierając dłonie na jego piersiach.

– Skończmy to, co zaczęliśmy rano – wyszeptła, zbliżając swoje usta do ust Marka. Ledwo je musnęła, poczuła, jak on zaciska ręce na jej pośladkach. W odpowiedzi na tę pieszczotę zaczęła poruszać biodrami w taki sposób, jakby go ujeżdżała. Stymulacja ta bardzo szybko przyniosła efekt w postaci sztywnego penisa, doskonale wyczuwalnego pod materiałem dżinsów, które Marek miał na sobie. Dłonie Julii zawędrowały do rozporoka. Rozpięła go, ściągając spodnie wraz z bokserkami do zadowalającej ją wysokości. Jej ręka wodziła po podbrzuszu Marka.

Chwilę później przesuwiała nią po penisie.

Drażniła go. Rozochociała. Doprowadzała do szału.

I pragnęła. Czuł to.

Jego oddech przyśpieszył. Wsunął dłoń pod koronkowe majtki dziewczyny i zaczął ją pieścić. Ich usta natarły na siebie tak, jakby to miał być koniec świata. Ewentualnie zapowiedź jakiejś wojny, w której wszyscy mogli zginąć, więc czas, jaki im pozostał, należało spożytkować w bardzo przyjemny i intensywny sposób. Seks był uplasowany na samym czubku listy rzeczy do zrobienia przed ewentualną śmiercią.

Julia odchyliła skrawek majtek i uniosła pośladki, aby po chwili nadzieć się na członka. Ledwo ich ciała się ze sobą połączyły, jęknęła. Można nawet rzec, że był to bardziej krzyk aniżeli subtelne poinformowanie partnera o tym, że sprawy mają się bardzo, ale to bardzo przyjemnie. Marek nie pozostał dłużny, dlatego z jego gardła wydobyło się coś pomiędzy westchnieniem rozkoszy a warknięciem. Ściemniło się na tyle, że ledwo widzieli zarysy swoich ciał, dlatego w ruch poszły dłonie. Sukienka, którą Julia miała na sobie, świetnie nadawała się do tego, aby zsunąć ją z ramion wraz ze stanikiem. I właśnie to zrobił Marek. Po chwili materiał oplatał biodra dziewczyny. Z każdym posuwistym ruchem, jaki wykonała Julia, jej ręce napierały na tors Marka. On w ramach rewanżu zaczął dotykać jej piersi. Były idealne, wprost stworzone dla jego dłoni, które po chwili przeniosły się na krągłe biodra.

Julia opadła na Marka i przycisnęła wargi do jego ramienia. Chciała zdusić jęki, które wydobywały się z jej ust. Całe jej ciało pulsowało. Czowała dreszcze, a ekstaza uderzyła jej do głowy niczym kilka butelek dobrze wstrząśniętego szampana. Poczwała, jak Marek przekręca się na bok i z niej wychodzi. Potem poczuła jego ciepłe nasienie na swoim udzie.

– Jakie to było cudowne – wycharczał, łapiąc oddech. Potrzebował chwili na dojście do siebie.

Julia cały czas leżała na plecach. Patrzyła w niebo. Usłyszała, że Marek się podnosi i poprawia ubranie. Przez chwilę panowała między nimi kompletna cisza, a potem poczuła na udzie dotyk mokrego materiału. Spojrzała na to, co działo się poniżej jej pasa. Marek zdjął z siebie koszulkę, którą musiał też zamoczyć w wodzie, aby wytrzeć jej udo ze swojej spermy. Ten gest wydał się jej tak samo dziwny, jak uroczy.

– Wracamy do domu? – zapytał. W odpowiedzi wyciągnęła do niego dłoń. Pomógł jej wstać, objął i ruszyli przed siebie. Na tarasie siedział Ludwik. Palił fajkę. Marek wiedział, że robił to bardzo rzadko. Najczęściej wtedy, kiedy zatapiał się we wspomnieniach. Tych złych. Wiedział o tym od swojej mamy.

– Właśnie przed momentem powiedzieli, że ten motocyklista zmarł w szpitalu. Tyle dobrego, że pobrali organy do przeszczepu – powiedział. Marek po raz kolejny usłyszał w jego głosie coś dziwnego. Poczwał też aurę, jaka biła od Ludwika.

Nie były to dobre emocje.

Nagle w jego głowie pojawiło się wspomnienie z przeszłości. Tego dnia zmarł ojciec Ludwika. Chyba tylko Marek zauważył, że mężczyzna nie wykazywał żadnego żalu z powodu straty. On był wtedy nastolatkiem i też czuł, z tą różnicą, że nie zdawał sobie sprawy ze swojego daru. Jednak i wtedy, i teraz doświadczył identycznych uczuć – czuł od Ludwika mściwą satysfakcję.

Objął Julię w pasie i weszli do domu.

Następnego dnia wrócili do Łodzi.

Rozdział 26

Droga powrotna do domu upłynęła w ciszy. Zarówno Julia, jak i Marek skupili się na swoich przemyśleniach. Oboje rozmyślali o śmierci. Różnica polegała na tym, z kim łączyli to najbardziej zagadkowe na świecie zjawisko.

Julia myślała o mężczyźnie, który sprawił, że zaczęła tracić wiarę w ludzi. Teraz, kiedy wiedziała, że on naprawdę nie żyje, co potwierdziły i telewizyjne doniesienia, i informacje ukazujące się na portalach społecznościowych, wcale nie czuła się lepiej. Bo niby dlaczego miałyby się tak czuć?

Śmierć nie była karą. Śmierć czekała przecież każdego.

Myśli Marka z kolei krążyły wokół osoby Ludwika. Jego umysł analityka, który dostrzegał znacznie więcej, aniżeli był w stanie przyswoić sobie przeciętny człowiek, skupiał się na zachowaniu starego przyjaciela. Nagle sprawy, które kiedyś wydawały się być błahe, teraz nabrały większego znaczenia. Marek był na pogrzebie ojca Ludwika, starego Bartczaka. Jego jedyny syn nawet nie podszedł do trumny. Patrzył na zmarłego ojca w taki sposób, jakby cieszył go ten widok. Kilka dni po pogrzebie Marek wybrał się na ryby. Na pomoście siedział Ludwik. Był pijany. Śmiał się w głos i wykrzykiwał, że w końcu kogoś spotkała kara za to plugastwo, którego się dopuścił. Marek nie wiedział wtedy, o kim on mówi.

Kiedy zaparkował samochód pod kamienicą, w której mieszkała Julia, był pewien tego, że Ludwik wiedział, kim był człowiek, który skrzywdził Marię. Był to jego ojciec.

Wiedza ta była dla Marka... kompletnie bezużyteczna. Znał Ludwika od zawsze. Ufał mu, tak samo jak Maria, która postanowiła zaprosić go do swojego życia na stałe. Przez te czterdzieści lat nie zdarzyło się nic, co nadszarpnęłoby to zaufanie. Wręcz przeciwnie, Ludwik każdego dnia udawał, jak bardzo Maria jest dla niego ważna, a i o niego, Marka, dbał tak, jakby był jego... może nie synem, ale kimś bliskim. Na przykład dużo młodszym bratem.

Ta wiedza nie zmieni już mojego życia, nie wpłynie na to, jakim jestem człowiekiem, uznał w duchu, mogłaby za to zmienić życie mojej mamy. Na gorsze. Życie Ludwika również uległoby zmianie. Też na gorsze.

Bilans ewentualnych zysków, a raczej strat, był zbyt wysoki, aby podejmować ryzyko.

– O czym myślisz? – Marek usłyszał głos Julii.

– O szafie pełnej trupów. Znajdują się one chyba w każdym domu. Nie uważasz, że w twojej potrzebne są generalne porządki?

– Chyba tak – westchnęła. – Zostaniesz u mnie na noc?

– Mam ci pomóc sprzątać w szafie? – zapytał, wydając przy tym dźwięk, który świadczył o tym, że się śmieje.

– Lubię, kiedy jesteś obok.

– Gabinet jest zamknięty do końca tygodnia, czyli mamy trzy dni na pobycie ze sobą. I z twoim kotem.

– I zastanowienie się nad życiem.

– Nad czym konkretnie? – zapytał Marek.

– Nie wiem, co mam zrobić. Nie wiem, czy powinnam pójść na policję, czy może zamknąć ten rozdział mojego życia? No bo, kurde, co teraz? Mam obwiniać kogoś, kto nie żyje? Boże – pokręciła głową – to brzmi strasznie. A jeszcze gorsze jest to, że ja w dalszym ciągu nic nie czuję.

– Możliwe, że w pewnym momencie poczujesz. Możliwe, że twoje emocje się kumulują i nadejdzie taka chwila, że wybuchną. Jeśli mam rację, chciałbym wtedy, oczywiście w miarę

możliwości, być przy tobie.

– Chodzi o niego – dodała szybko. – Chodzi o to, że jego śmierć jest mi obojętna. Że on...

– Julia, jak on miał na imię? – zapytał ją Marek. Oczywiście, że to wiedział. Julia też wiedziała, tylko starała się nie wypowiadać imienia swojego gwałciciela na głos.

– Przecież wiesz – powiedziała, spuszcżając głowę.

– Wiem. I ty też wiesz. Strach przed imieniem nie jest dobry. Zdystansujesz się do każdego, kto nazywał się tak samo? Skrzywdził cię człowiek, nie jego imię. Nie wymagam od ciebie tego, żebyś się do czegośkolwiek zmuszała, żeby tylko udowodnić mi, że nie mam racji. Chciałbym, żebyś po prostu podeszła do tego racjonalnie. Dla własnego dobra.

– Postaram się.

– Dziękuję.

– Idzie... – Julia przerwała w pół słowa, otwierając usta. – Przecież to moja mama. – Jej wzrok zatrzymał się na kobiecie, która stała przy kamienicy. Konkretnie to pod oknem mieszkania Weroniki Malinowskiej.

– Zapraszałaś ją? – zapytał Marek, przyglądając się niewysokiej szatynce. Wyglądała na wzburzoną i rozemocjonowaną.

– Nie. Co ona tutaj robi?

– Zapytajmy. – Marek wysiadł z auta. Julia została w środku. Spotkanie z matką nie było tym, co sprawiłoby jej w tym momencie radość. Wczoraj Honorata napisała do niej SMS-a, w którym pytała, kiedy córka wraca do domu. Julia poinformowała ją, że nazajutrz w godzinach popołudniowych. Nie sądziła jednak, że rodzicielka będzie czekała na nią pod domem. Zerknęła na swój telefon. Wyłączyła dźwięki na czas podróży.

Była pewna, że mama do niej dzwoniła.

Owszem, dzwoniła. Dwadzieścia siedem razy.

Julia z ociąganiem wysiadła z samochodu.

A jeśli coś jej się stało? A jeśli jest już za późno na leczenie? Z każdym wykonanym krokiem w głowie Julii kłębiły się myśli wpędzające ją w poczucie winy. Nie czuła się z tym dobrze.

– Gdzie ty się szlajasz? – Krzyk Honoraty sprawił, że stanęła w miejscu. – Miałas być po południu! Jest prawie wieczór! Czy ty uważasz, że ja mam czas i siłę, żeby na ciebie czekać? Że nie mam nic ciekawszego do roboty?

– Ale ja nie wiedziałam, że przyjedziesz – wybąkała Julia, zbliżając się do matki. Czuła się w tym momencie jak niesforne dziecko, które zasłużyło na naganę. – I proszę, nie denerwuj się. To może odbić się na twoim zdrowiu.

– Boisz się, że umrę? Nagle strach cię obleciał? – zakpiła Honorata. Jej wzrok przeniósł się na Marka. Na chwilę jakby straciła rezon. Po raz pierwszy w życiu patrzyła na człowieka, który może jej nie przerażał, ale czuła przed nim respekt. Zwróciła się do niego, grając wielce pokrzywdzoną przez życie: – Nie wiem, kim pan jest, bo to dziewczyszko – spojrzała na Julię jak na karalucha – nie ma w sobie dość przyzwoitości, aby mnie przedstawić. Jestem zdenerwowana, a mój stan zdrowia nie pozwala mi się denerwować. – Zaczęła się wachlować dłonią. – Nazywam się Honorata Radosna. Jestem jej matką. – Słowo „jej” w ustach Honoraty zabrzmiało jak obelga.

– Nazywam się Marek Wenta. Może przejdziemy do mieszkania i tam porozmawiamy? – zaproponował.

– O... oczywiście. – Cholera, pomyślała Honorata, przecież ja chciałam rozmawiać tylko z nią. Dlaczego, u licha, się zgodziłam, żeby i on z nami szedł? – To znaczy ja wolałabym porozmawiać z córką. Tylko z nią. To sprawa rodzinne.

– Julia obecnie jest w takim stanie emocjonalnym, że wolałbym przy niej być. Obligują mnie do tego ostatnie wydarzenia, które miały miejsce w jej życiu. – Ton jego głosu nie zachęcał do dyskusji. Wstukał kod na domofonie. Gestem zaprosił Honoratę do środka. Przez chwilę się wahała, ale w końcu przekroczyła próg kamienicy.

– Napije się pani czegoś? – zapytał Marek, kiedy znaleźli się w mieszkaniu.

– Najlepiej alkoholu – sarknęła, a potem dodała: – Może być woda.

– A ty, kochanie? – Drugie pytanie skierował do Julii. Ona również poprosiła o wodę.

Honorata rozsiała się w fotelu i rozglądała po salonie.

– Za dużo tutaj śmieci. Powinnaś to wyrzucić. – Wskazała dłonią na ramę od roweru wiszącą na ścianie. Julia pochyliła głowę i patrzyła na swoje stopy. To się nigdy nie zmieni, pomyślała, ona zawsze będzie dostrzegała we mnie wszystko to, co najgorsze. W tym przypadku w moim mieszkaniu.

– Dlaczego? – zapytał Marek, który usiadł na kanapie tuż obok Julii. Ujął jej dłoń w swoją. Była lodowata.

– Co dlaczego? – Honorata spojrzała na Marka.

– Dlaczego Julia powinna wyrzucać cokolwiek ze swojego mieszkania? – Kiedy to mówił, gładził dłoń dziewczyny.

– Nie podoba mi się ta dekoracja. Jest dziecinna i śmieszna. Całe to mieszkanie to graciarnia. Ja nie mogłabym tutaj mieszkać – powiedziała to takim tonem, jakby chciała zakończyć dyskusję, udowadniając przy okazji swojemu rozmówcy, że on się myli, a ona ma rację. Jak zwykle zresztą.

– No i nie mieszka pani. To Julia ma się czuć dobrze w swoim mieszkaniu, więc nie rozumiem pani stanowiska. Czy gdybym przyszedł do pani i powiedział, że nie podoba mi się ten czy tamten mebel, wyrzuciłaby go pani? Czy może wyrzuciłaby mnie?

Honorata otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Po chwili jednak je zamknęła. W tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Julia zerwała się z kanapy i pobięła je otworzyć. Nie da się ukryć, że poczuła pewnego rodzaju ulgę. Dałaby sobie obciąć pukiel włosów, że po drugiej stronie stoi sąsiadka. Kiedy wchodzili do kamienicy, firanki w jej oknie się poruszyły.

– Juleczko, skarbie... – Do mieszkania faktycznie weszła Weronika Malinowska. Trzymała na rękach Iryską. – Widziałam, że przyjechaliście. Irysek nie mógł się doczekać, aż cię zobaczy.

– I ja się za nim stęskniłam. Za panią też. – Przytuliła do siebie kobietę, a potem wzięła od niej pupila.

– Dzień dobry, pani Weroniko. – Z salonu dobiegł głos Marka.

– Dzień dobry, dzień dobry. – Zajrzała do pokoju, żeby się z nim przywitać. Oczywiście wiedziała, że w mieszkaniu Julii znajduje się ktoś jeszcze. Ma się rozumieć, że doskonale wiedziała kto, bo przecież z okna swojego mieszkania miała świetny widok na to, co działo się przed kamienicą. Co nieco też usłyszała, kiedy matka Julii, poirytowana nieobecnością córki, skarżyła się przez telefon niejakiemu Stefanowi. No tak się akurat złożyło, że Weronika miała uchylone okno w kuchni i świetny słuch.

Usiadła na taborecie, ignorując wzburzone spojrzenie Honoraty.

– My to się chyba nie znamy. Jestem sąsiadką Julii. Nazywam się Weronika Malinowska – powiedziała, mierząc ją bardzo dziwnym spojrzeniem. Trochę ironicznym, trochę oskarżycielskim.

– Radosna – odpowiedziała tamta głosem pełnym najprawdziwszego wkurwienia. Starła się z całych sił trzymać emocje na wodzy. – Honorata Radosna. – A potem zwróciła się do córki,

która weszła do salonu. – Czy możemy porozmawiać w spokoju? Bez świadków? Czy możesz poświęcić swojej chorej matce kilka minut? – Honorata położyła ogromny nacisk na słowo chora.

– Na co pani choruje? – zapytała ją Weronika.

– To nie jest pani sprawa – warknęła Honorata. – Chciałam porozmawiać z Julią. Sama. – Posłała córce mrozące krew w żyłach spojrzenie, oczekując, że tamta zrobi coś, co sprawi, że pozostała dwójka zniknie z tego pomieszczenia.

– Mamo... – Julia patrzyła na nią błagalnie.

– To na co pani choruje? Bo przepraszam, ale nie dosłyszałam. – Malinowska powtórzyła swoje pytanie, ignorując niechęć, jaką ewidentnie wykazywała się matka Julii w stosunku do jej osoby. To znaczy Honorata tak naprawdę ową niechęć czuła do wszystkich, którzy znajdowali się w tym pomieszczeniu, nawet do kota.

– Mam raka. Możliwe, że zostało mi kilka miesięcy życia, a pani... pani mnie przesłuchuje? Jak pani śmie? Jak pani śmie gnębić chorą osobę? Jestem u kresu życia i wytrzymałości, a pani...

– A ten rak to, przepraszam, czego? – przerwała jej Weronika, uśmiechając się... radośnie.

– Trzustki! MAM RAKA TRZUSTKI! – wrzasnęła Honorata, zrywając się na równe nogi. Jej dłonie zacisnęły się w pięści. Jej oddech przyśpieszył. Jej twarz przybrała kolor dojrzałego pomidora.

– Trzeba przyznać, że wybrała sobie pani wyjątkowo śmiertelny przypadek. – Zaśmiała się Malinowska, a potem posłała zszokowanej Julii uśmiech. Do Marka, który wyglądał tak, jakby ta dyskusja wcale nie zrobiła na nim wrażenia, też się uśmiechnęła. Marek, ma się rozumieć, był bardzo zaintrygowany ową sytuacją. W jego mniemaniu Honorata wcale nie wyglądała jak ktoś chory, ale przecież mógł się mylić. To, że na samym początku poprosiła o alkohol, mogło świadczyć jedynie o całkowitej rezygnacji i frustracji. Osoby chore bardzo często nie zachowują się racjonalnie.

Tylko że...

Tylko że matka Julii wydała mu się dziwna. Bardzo dziwna. Bardzo negatywnie dziwna.

Spojrzał na Weronikę i uznał, że ona musiała wiedzieć coś więcej. To, co chwilę później powiedziała, upewniło go w tej teorii.

– Czyli ustaliliśmy, że to rak trzustki. To gdzie spędzi pani ostatnie chwile swojego życia? Na Malediwach?

– Jak śmiesz tak do mnie mówić, ty wstrętny babochłópie? – Twarz Honoraty zrobiła się czerwona. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć. Nic takiego się jednak nie stało. Mało tego, kontynuowała swoje wrzaski, nie bacząc na nic. Ani na nikogo. – Ty lepiej spójrz w lusterko! Jesteś najbrzydszą kobietą, jaką widziałam! Zero klasy! Julia! W tej chwili wyrzuć to... to coś z mieszkania! Nie życzę sobie, żeby ona tutaj była! Słyszysz mnie? Nie życzę sobie! A pan?! – Spojrzała na Marka, który irytował ją swoim beznamiętnym wyrazem twarzy. – Mógłby pan zareagować!

– Uwierz mi, nie chcesz, żeby on w jakikolwiek sposób reagował – powiedziała Weronika, strzepując niewidzialny pył ze swojej seledynowej, plisowanej spódnicy. Jej zdaniem pięknie współgrała z żółtą koszulą w czerwone kropki i fioletową opaską we włosach.

Julia patrzyła to na matkę, to na sąsiadkę i prawdę mówiąc, nie rozumiała nic a nic z tej wymiany zdań. Za to Irysek, który leżał w jej ramionach i który zaprzyjaźnił się z Weroniką, miał ochotę podrapać tę drugą kobietę. Tylko nie miał na to za bardzo siły. Po przejściach, jakie zaserwował mu Piotrek, nie odzyskał jeszcze pełnej sprawności. Ostatnie dni spędził, wylegując się na parapecie w kuchni Weroniki Malinowskiej. Był to dobry parapet. Pełen słońca i pysznego

jedzonka.

Swoje niezadowolenie okazał prychnięciem.

– Pani Weroniko – powiedziała Julia, spoglądając to na swoją mamę, to na sąsiadkę – czy może mi pani wyjaśnić, o co tutaj chodzi?

– Owszem, mogę. Wydaje mi się, że twoja mama nie jest chora na raka. Jakiś Stefan chce zainwestować w kryptowaluty i ona postanowiła wejść z nim w biznes. – Malinowska westchnęła i spojrzała na pobladałą Honoratę. Mimo wszystko zrobiło się jej szkoda tej zakochanej bez pamięci kobiety. – Na moje oko ten twój Stefan cię okłamuje i wykorzystuje. Najpierw oskubie, a potem zniknie. Nim zaprzeczysz i podasz moje słowa w wątpliwość, powiem ci, że słyszałam waszą telefoniczną rozmowę. Potrafię łączyć ze sobą fakty.

– Mamo? – Julia stanęła przed matką. – Czy to, co powiedziała pani Weronika, jest prawdą? Tylko, proszę, bądź ze mną szczerą. – W dwukolorowych oczach dziewczyny pojawiły się łzy. Podświadomość podpowiadała jej, że tak, że to wszystko, co usłyszała, jest prawdą. Świadomość natomiast nie dopuszczała do siebie tych informacji.

– Jesteś moim największym życiowym rozczarowaniem – wycodziła Honorata przez zaciśnięte zęby. Nawet ona nie była taka głupia, żeby iść do końca w zaparte. Chciała wyjść z tego mieszkania z podniesioną głową. Niestety, w pakiecie uwzględniono też poczucie odniesionej porażki. Jedyne, co mogła zrobić, to ulżyć sobie poprzez wyżycie się na Julii. Oczywiście, że nie mogła sobie tego darować. – Wstydzę się ciebie. Wstydzę się tego, że mam taką córkę. Jesteś złodziejką. Wybrykiem natury. Jesteś nic nie warta. Byłam dla ciebie za dobra. Powinnam cię...

– Cztery tygodnie temu zostałam zgwałcona przez człowieka, z którym się kiedyś spotykałam. Wczoraj zginął w wypadku. Chcę, żebyś miała świadomość tego, co mnie spotkało. Chcę, żebyś wiedziała, że kiedy ty knułaś swoją intrygę, ja przeżywałam prawdziwy koszmar – mówiąc to wszystko, patrzyła swojej matce w oczy, a głos nawet przez chwilę jej nie zdradzał.

Honorata postąpiła krok do przodu. Stała w odległości kilku centymetrów od Julii i patrzyła na córkę. W jej wzroku brakowało współczucia czy też zrozumienia, o matczynej miłości nie wspominając.

– Zasłużyłaś sobie na to. I nie masz już matki. – Obróciła się na pięcie i wyszła z salonu. A potem z mieszkania. Na odchodne trzasnęła głośno drzwiami. Ten dźwięk sprawił, że Julia aż podskoczyła, a potem zaczęła szlochać. Malinowska zerwała się z taboretu i ją objęła.

– Stop! Zatrzymaj ten film. Ja oglądałam go zbyt wiele razy i wiem, do czego to może prowadzić. Zapomnij o tym, co ona ci powiedziała. Zapomnij.

– Ona mnie nigdy nie kochała – powiedziała zrezygnowana Julia.

– Są na tym świecie ludzie, którzy cię kochają. Marek, ja. I Irysek, chociaż on nie jest człowiekiem. – Cały czas głaskała Julię po głowie. – Upiekłam ciasto z rabarbarem. Przyjdziecie do mnie?

– Teraz potrzebuję spokoju. Jeśli będę się czuła na siłach, to przyjdę. – Julia spojrzała na Marka. – To znaczy przyjdziemy.

– Julia, ja musiałam ci to wszystko powiedzieć. Nie mogłam pozwolić na to, żeby ta kobieta cię oszukała.

– Dziękuję, pani Weroniko.

– Jesteś dla mnie jak córka. – Były to ostatnie słowa, jakie wypłynęły z jej ust, nim wyszła z mieszkania.

Julia skinęła głową. Nie była w stanie nic powiedzieć. I nie dlatego, że się wzruszyła, słysząc to wyznanie. No może trochę. Ale głównym powodem było to, że właśnie w tym momencie uświadomiła sobie że jej własna matka się jej wyrzekła.

– Chciałabym, żeby to wszystko się skończyło. Jestem taka zmęczona – powiedziała, wtulając się w Marka.

– Gwarantuję, że spotka cię w życiu jeszcze wiele dobrego. A to, co stało się dziś, musiało się wydarzyć. Pewina, która łączyła ciebie i twoją mamę, została raz na zawsze przecięta. Miej świadomość, że zrobiłaś to sama.

– Dlatego tylko obserwowałaś?

– Tak.

– Zdrzemnę się chwilę, a potem pójdziemy na ciasto. Potrzebuję tego.

– Dodatkowych kilogramów?

– Dobrej energii.

Rozdział 27

Honorata wyszła z kamienicy z uniesioną wysoko głową. Wcale nie musiała zachowywać się jak królowa czy też inna ważna persona. No ale chciała tego. Nie chciała za to przebywać dłużej w tym miejscu.

– Pani chyba zakochana jest, że tak się śpieszy. – Nagle usłyszała męski śmiech. Wpadła na jakiegoś człowieka. Wyglądał jak zakapior na emeryturze. To był Zenek. Szedł do Weroniki. Był uśmiechnięty. Za pazuchą trzymał wino. Tanie, ale kupione z potrzeby serca. Miał jej wiele do powiedzenia, ale najważniejsze było to, że jej wybaczył.

– Niech się pan ode mnie odczepi, bo zawałam policję! – warknęła, wymijając jegomościa i krokiem bardzo prędkim ruszyła przed siebie.

– A wołaj se. Ja z nimi jestem na ty – odpowiedział, chociaż ona już tego nie słyszała. Nie usłyszała również tego, że mężczyzna podśpiewuje sobie pod nosem wesołą piosenkę, a potem wchodzi do kamienicy, z której ona chwilę wcześniej wyszła. Nie zobaczyła także tego, jak w tym samym czasie po schodach schodziła Weronika Malinowska, którą ona zdążyła zniechęcić całym swoim sercem. Tego, że ten mężczyzna roześmiał się na jej widok i po prostu ją do siebie przytulił, Honorata też nie mogła zobaczyć, bo parła przed siebie niczym rozpedzony buldożer, który zniszczy wszystko, co stanie mu na drodze.

Jej nawigacją była wściekłość, która doprowadzała ją do szału. I na najbliższy przystanek tramwajowy. Stamtąd dojechała do miejsca, z którego odjeżdżały busy do Łowicza. Dopiero kiedy znalazła się w połowie drogi do domu, uspokoiła się na tyle, aby móc zadzwonić.

– Stefan, Stefan, och, Stefan – szlochała do telefonu. – Nie uwierzysz, co się stało. – Przedstawiła mu w obszernej relacji to, co ją spotkało w mieszkaniu córki. Oczywiście ubarwiła nieco swoją opowieść, mówiąc o tym, że została potraktowana jak jakaś najgorsza, że wszyscy na nią krzyczeli, że córka podniosła rękę. Oczekiwała współczucia.

– Żabciu – powiedział Stefan, z trudem powstrzymując ziewanie – słyszę co drugie twoje słowo. Mam kiepski zasięg. Zobaczymy się wieczorem i wszystko mi opowiesz.

– Tak bardzo cię potrzebuję – wyjęczała.

– Wieczorem. Przyjadę do ciebie wieczorem. Kocham cię, ptaszyno. – Na zakończenie rozmowy powiedział jej dokładnie to, co chciała usłyszeć. Nieco się uspokoiła. To znaczy na tyle, aby oddychać naturalnie, a nie tak, jakby ktoś skakał jej po klatce piersiowej.

Wieczorem Stefan nie przyjechał. Zadzwonił i powiedział, że dopadł go przeraźliwy ból zęba i właśnie jeździ po całej Warszawie, i szuka stomatologa. Oczywiście nie mógł długo rozmawiać ze względu na doskwierającą mu niedyspozycję. Następnego ranka napisał SMS-a, że dopiero kładzie się spać, a minioną noc była jak z horroru. Obiecał odezwać się później. Nastąpiło to kolejnego dnia przed południem.

– Perełko – jego głos brzmiał tak, jakby dobiegał z zaświatów – jeszcze nigdy mnie tak ząb nie bolał. Co ja przeżyłem... Ach, gdybyś ty wiedziała. – Cóż, gdyby Honorata wiedziała, co on naprawdę przeżył, wytrzeszczyłyby oczy i możliwe, że miałyby atak serca. Zająęcie, któremu oddawał się Stefan, z bólem zęba nie miało nic wspólnego. Z inną kobietą i seksem, to i owszem.

Stefan już od pewnego czasu szukał sposobności, aby zakończyć tę relację, ale wiadomo, że musiał to zrobić w białych rękawiczkach. To znaczy było jeszcze kilkaset tysięcy do wyciągnięcia, a że on pozbawiony był kręgosłupa moralnego i jakichkolwiek zasad, nie miał żadnych ograniczeń, które powstrzymałyby go przed огоłoceniem konta bankowego Honoraty. I dopiero wtedy będzie mógł zniknąć.

– Kiedy do mnie przyjedziesz? – zapytała go.

– No właśnie jestem w trasie. Chciałem ci zrobić niespodziankę, chociaż nie jestem jeszcze w pełni sił. Ale wiem, że mnie potrzebujesz. – A ja potrzebuję twoich pieniędzy, dodał w myślach.

– Ugotuję ci obiad. Na co masz ochotę?

– Zjadłbym konia z kopytami, ale mogą być prazuchy. Ty robisz takie pyszne. – To akurat była prawda. Honorata nie przepadała za pitraszeniem, jednak dla Stefana przełamywała swoją niechęć i stawiała się Magdą Gessler w wydaniu łowickim. – Kocham cię, myszko.

– Ja ciebie też kocham. Ty jeden mnie rozumiesz – powiedziała, a potem zabrała się za przygotowywanie obiadu. Wieczorem, kiedy siedzieli w salonie, popijając wino, Honorata głośno westchnęła i rzekła:

– Chciałam dobrze, a zostałam potraktowana jak śmieć.

– Najwidoczniej twoja córka nie zasługuje na taką matkę – podsycił w niej nienawiść do własnego dziecka, dając jej też do zrozumienia, że jeżeli może na kogoś liczyć, to tylko na niego. – Ja cię nie zawiodę. I zawsze będę przy tobie. Wiesz, tak sobie pomyślałem, że może sprzedamy samochód i zainwestujemy pieniądze w te nasze kryptowaluty? To, co się obecnie dzieje na giełdzie... – Pokręcił głową w sposób, który dawał jasno do zrozumienia, że dzieją się tam takie rzeczy, że po prostu trzeba zainwestować pieniądze natychmiast. Najlepiej jutro. Bo dziś to już nie da rady. Propozycja z autem to był blef. Dałby sobie obie dłonie obciąć, że ona każe mu zarzucić ten pomysł, ale musiał przecież pokazać, że i on jest gotowy ponieść ofiarę.

– Chyba sobie żartujesz! Nie zgadzam się na sprzedaż samochodu! Nie po to go kupowałam, żeby sprzedawać! – odpowiedziała zgodnie z przewidywaniami. – Te trzysta tysięcy, które mam, to za mało?

– To nie jest tak, że za mało. Ale zawsze można więcej, co przełoży się na zysk. Wiesz co – machnął ręką – już mi głowa pęka od tego wszystkiego. To chyba znaczy, że ten pomysł nie jest wcale taki dobry, jak mi się na początku wydawało.

– Czytałam, że ludzie zarobili mnóstwo pieniędzy, inwestując w te kryptowaluty. Jestem gotowa zaryzykować. – Gdyby tylko miała świadomość tego, jak olbrzymie ryzyko chce ponieść... Chociaż nie, to nawet nie było ryzyko. To była zapowiedź totalnej katastrofy.

– Ja nie chcę, żebyś inwestowała wszystko, co masz. Trzeba z czegoś żyć. – Użył kolejnego argumentu, który postawił go w dobrym świetle.

– Po jakim czasie zaczniemy zarabiać?

– Pół roku. Plus minus.

– Dam radę przez pół roku opłacać rachunki z tego, co mam na drugim koncie. – Puściła do niego oczko.

– Nie jestem przekonany do tego pomysłu. – Udawał, cóż, mało przekonanego, chociaż w głębi duszy już liczył pieniądze, które dostanie od Honoraty.

– Stefan, męska decyzja.

– Jesteś pewna?

– Z tobą, oczywiście.

– Zróbmy to zatem.

I zrobili. To znaczy ona wypłaciła z banku trzysta tysięcy, co wymagało kilku dni. On przejął je od niej, a potem pojechał do Warszawy, rzekomo inwestować. Przyjechał do Łowicza jeszcze trzy razy, co tylko upewniło Honoratę, że Stefan to człowiek na wskroś uczciwy. W jej głowie pojawiła się mściwa satysfakcja, ukierunkowana na osobę Weroniki Malinowskiej, która to wysnuła pod jego adresem oskarżenia. Honorata nawet przez jedną sekundę nie zwątpiła w szczerą intencję tego człowieka. Nawet wtedy, kiedy powiedział jej, że musi wyjechać w interesach za zachodnią granicę. Potem okazało się, że został wydelegowany jeszcze dalej, bo

do Francji. Był wściekły, to ona musiała go uspokajać i pocieszać.

Pewnego dnia jego telefon przestał odpowiadać.

Po kilku dniach ciszy Honorata wpadła w panikę i wcale nie dlatego, że nagle uświadomiła sobie, że została oszukana. Bała się, że coś mu się stało. Zgłosiła zaginięcie na policję. Kiedy została zapytana o to, jakie stosunki łączyły ją z zaginionym mężczyzną, oblała się czerwienią. Wydukała, że są przyjaciółmi. Funkcjonariusz zapytał, ot tak, od niechcenia, czy udzielała mężczyźnie jakiegokolwiek pożyczki.

Gorliwie zaprzeczyła.

Nie uwierzył jej, dlatego zapytał o to jeszcze dwa razy. Poirytowała się, dalej trwając przy swojej wersji – że nie, że ona nie dawała mu żadnych pieniędzy. I że łączyła ich serdeczna przyjaźń.

Wynajęła prywatnego detektywa. Wydała na niego wszystkie swoje oszczędności. Z raportu, jaki jej przedstawiono, wynikało, że Stefan spotykał się w tym samym czasie z trzema kobietami. Nie chciała uwierzyć. Pracownik firmy detektywistycznej poradził jej, żeby poszła na policję i zgłosiła, że padła ofiarą oszusta.

Nie poszła.

Przez wiele tygodni karmiła się własnymi kłamstwami, które upewniały ją w przekonaniu, że Stefan ją kocha i wróci. A to, że nie daje znaku życia... No mógł mu się przecież telefon popsuć, prawda?

Kiedy pewnego dnia otworzyła oczy, świat wydał jej się dziwny. Podeszła do okna. Było ciemno i padał śnieg. Dotknęła dłonią zimnej szyby i zaczęła w nią stukać. Robiła to długo, bardzo, bardzo długo. Nagle przestała i tak jak stała, czyli w cieniutkiej halce, wyszła z domu, wprost na zaśnieżone ulice pustego miasta. Szła przed siebie. Nie minął jej żaden samochód. Żaden człowiek. Słyszać było tylko ujadanie psów.

Była zmęczona. Jej mięśnie zaczęły się napinać, ciałem wstrząsały dreszcze. Bolały ją uda, dłonie, sztywniał kark. Nie czuła stóp. Upadła. Nie miała siły wstać. Czuła za to ciepło. Było jej nawet gorąco.

– Kwiatuszku – usłyszała głos ukochanego mężczyzny. – Kwiatuszku. Tutaj jestem.

– Wróciłeś do mnie. – Zobaczyła przed sobą uśmiechniętą twarz Stefana. Miała halucynacje, które były następstwem zamarzania. Umierała.

– Przyszedłem po ciebie. – Wyciągnął do niej dłoń, uśmiechając się pogodnie. Ujęła ją i wstała. Odzyskała siły. Stefan ją uratował.

Jej zamarznięte ciało znaleziono rano.

Jej dusza trafiła do ciemnego miejsca. Dostała mnóstwo czasu na zrozumienie swojego postępowania za życia.

Rozdział 28

O pogrzebie Piotra trąbiły gazety, regionalna telewizja i media społecznościowe. W jednym z artykułów jego mama mówiła, że on by muchy nie skrzywdził, że zawsze był pomocny i chętny do pracy, że ludzie go lubili.

– Czy to jest norma? – Julia zapytała Marka. – Czy to zawsze „dobry człowiek był”?

– W obliczu śmierci ludzie są idealizowani i przypisuje się im wiele zasług. Niekoniecznie prawdziwych. Rodzina i przyjaciele chcą zachować w pamięci obraz człowieka bez skazy. Potrzebna jest im taka kotwica.

– Nie umiałabym znaleźć dobrych cech w mojej mamie. Nie mam z nią ani jednego miłego wspomnienia – powiedziała. – Nie okłamywałabym sama siebie, żeby tylko wyzbyć się wyrzutów. I nie znaczy to, że mam jakiegokolwiek wyrzuty. Skutecznie mnie z nich wyleczyła swoim zachowaniem.

– Ci ludzie też się nie okłamują. Oni nie mają pojęcia o tym, co on ci zrobił. Dla nich to w tym momencie człowiek bez skazy.

– Rozmawiałam z Tamarą. Ona uważa, że gdybym to zgłosiła, poprawiłabym tylko statystyki. I że teraz, kiedy on jest oplakiwany przez tak wielu, byłoby to źle widziane. Mogłabym sobie nie dać rady z medialną nagonką.

– I co masz zamiar zrobić?

– Chciałabym, aby wszyscy o tym wiedzieli. Ale nie mam już siły na rozdrapywanie tych ran. Na mówienie o tym znowu i znowu, i znowu. Bo mam świadomość, że tak właśnie by było. – Pokręciła głową, posyłając mu smutne spojrzenie.

– Jednak czujesz potrzebę podzielenia się swoimi doświadczeniami z innymi?

– Tak.

– W takim razie napisz o tym książkę.

– Książkę? Ja? – Zaczęła się śmiać. – Zwariowałeś.

– Wiesz, dlaczego jednak zdecydowałem się ciebie zatrudnić, chociaż na pierwszym spotkaniu sprawiałaś wrażenie osoby niepełnosprawnej umysłowo?

– Jakiej?

– Przypomnij sobie swoje zachowanie w dniu rozmowy kwalifikacyjnej. To powinno rozwiać wszelkie wątpliwości. Przekonał mnie twój mail. Ten, w którym dowiedziałem się o sobie wielu ciekawych rzeczy. Pomijając wszystkie inwektywy skierowane w moją stronę, to w twoim pisaniu jest błysk.

– Ale...

– Napisz ją dla siebie. Kiedy skończysz, zdecydujesz, co z nią zrobić. Może się okazać, że wystarczy ci samo pisanie. Że taka forma terapii będzie satysfakcjonująca.

– Pomyślę o tym. – Przez chwilę jakby się zastanawiała, czy to zrobić, ale w końcu wtuliła się w niego. Zaczął głaskać ją po głowie. – Przyjemnie – westchnęła. Jej powieki zaczęły opadać. Zasnęła. Kiedy się obudziła, Marek siedział przy stole, przed nim stał laptop. Ona była przykryta kocem. Zerknęła na zegar wiszący na ścianie. Spała dwie godziny.

– Jak się czujesz? – usłyszała pytanie.

– Jestem w dalszym ciągu zmęczona. Od kilku dni moim ulubionym zajęciem jest spanie. Wydaje mi się, że w taki sposób odreagowuję stres.

– Jesteś pewna?

– Co masz na myśli? – Posłała mu pytające spojrzenie.

– Pytam, czy jesteś pewna, że twoje zmęczenie wynika ze stresu i z tej całej sytuacji?

– Tak mi się wydaje. Bo niby z czego? Ostatnimi czasy w moim życiu nie brakowało momentów, które mogłyby podrażnić mój układ nerwowy.

– Może zrób sobie morfologię. Będę spokojniejszy.

– Nic mi nie jest. No co się tak patrzysz?

– Jak?

– Tak jak zawsze, tylko inaczej. Ktoś inny mógłby się nabrać, ale ja znam cię zbyt dobrze. Widzę w twoich oczach dezaprobatę. Marek, ja naprawdę czuję się dobrze. Jestem tylko zmęczona. Ale okej, zrobię te badania. Dla ciebie. – Ostatnim słowem towarzyszyło wymowne spojrzenie w sufit.

– Jeśli już, to dla siebie.

– Myślę o czymś – powiedziała, zmieniając temat. Potem zmieniła pozycję na kanapie z leżącej na siedzącą. – Chciałabym iść na jego grób. Nie chcę iść na pogrzeb. Tylko na cmentarz. Potrzebuję tego.

– Skoro tego potrzebujesz, ja nie widzę przeciwwskazań. Mam iść z tobą?

– Tak. To znaczy nie. To znaczy chciałabym, żebyś mnie zawiózł na cmentarz i na mnie poczekał. Chcę to zrobić sama. Jutro. Pisali, że pogrzeb odbędzie się na małym podmiejskim cmentarzu, nie powinnam mieć więc problemu ze zlokalizowaniem grobu. Będzie na nim najwięcej kwiatów – powiedziała. W jej głosie można było usłyszeć żal.

– Julia, jego już tutaj nie ma. Twój żal zaszkodzi tylko tobie. Czy to, że chcesz iść na jego grób, nie jest czasem formą manifestacji twojej złości?

– Nie wiem – powiedziała całkiem szczerze. – Nie wiem, co to jest, ale potrzebuję tego.

Marek pokiwał głową. Kiedy następnego dnia zaparkował samochód pod cmentarzem na obrzeżach miasta, zwrócił się do siedzącej obok Julii:

– W dalszym ciągu chcesz iść tam sama? – W odpowiedzi tylko pokiwała głową, a potem chwyciła za klamkę. Przez chwilę trwała w bezruchu, a jej mina świadczyła o tym, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę. Spojrzała na Marka, posyłając mu smutny uśmiech.

– Chcę już mieć to za sobą – powiedziała, a potem otwarła drzwi i wysiadła z samochodu. Kiedy przekroczyła bramę cmentarza, zatrzymała się i zaczęła rozglądać dookoła. Nigdzie w zasięgu wzroku nie widziała świeżego grobu. Ruszyła przed siebie. Z każdym krokiem jej pewność siebie rosła i utwierdzała ją w przekonaniu, że postępuje dobrze. W końcu znalazła grób. Zgodnie z przypuszczeniami przykryty był ogromną liczbą wieńców. Na środku, tuż przy tabliczce, ktoś postawił mały motocykl. Ktoś inny zostawił maskotkę z sercem. Z szarf, które były przyłączone do wiązanek, aż kłuło od pełnych miłości i smutku napisów:

„Najdroższemu Piotrusiowi – Matka Chrzestna”, „Wspaniałemu przyjacielowi – ekipa motocyklowa”, „Ukochanemu synowi – mama Jolanta i tata Zbigniew”.

Julia przysiadła na ławce przynależącej do sąsiedniego pomnika.

– Nie czuję ulgi, że ciebie już nie ma. – Kiedy wypowiedziała te słowa, wypuściła powietrze i spojrzała w niebo. Było niebieskie, pozbawione chmur. Ponownie spojrzała na grób. – Skrzywdziłeś mnie tak, że już bardziej nie można. Jedyna radość, jaka mi pozostała, to ta pochodząca z mojego nazwiska. Przez ciebie boję się ludzi. Boję się mężczyzn. Najchętniej nie wychodziłabym z domu. Ale nie mogę do końca życia leżeć na kanapie zawinięta w koc. Chcę udowodnić sama sobie, że jestem wartościowa. Że nie powinnam odczuwać wstydu ani życiowej porażki. Że to wcale nie była moja wina. A wiesz, co cały czas słyszę w swojej głowie? Że jestem zerem, że jestem popsuta, wybrakowana. Wierzę jednak w to, że te głosy przycichną. Że będą tylko ledwo słyszalnym tłem dla mojego istnienia. Aż kiedyś po prostu znikną. A ty, gdziekolwiek teraz jesteś, mam nadzieję, że odpracowujesz w pocie czoła to, co mi uczyniłeś. – Na chwilę zamilkła, a potem wstała z ławki. Nim odeszła od grobu, powiedziała: – Może kiedyś

będzie nam dane się spotkać w innym, lepszym świecie.

– Dzień dobry – usłyszała za plecami głos. Odwróciła się. Patrzyła na nią szczupła, około siedemdziesięcioletnia kobieta. Miała niesamowicie intensywne, niebieskie oczy. Ubrana była na czarno. Jej włosy były krótkie i siwe. – Ja też uważam, że spotkam się z nim w innym, lepszym świecie. Mój biedny synek. – Trzęsącą się dłonią zaczęła grzebać w swojej torebce w poszukiwaniu chusteczek. Kiedy je wyciągnęła, wytarła oczy, a potem usiadła na ławce. – Miałam go jednego. Ukochany, wychuchany, wycackany. Miał wszystko, czego tylko zapragnął. Jak się go pytałam, kiedy zrobi ze mnie babcię, to tylko się śmiał i mówił, że nie śpieszy mu się do żeniaczki. I co? – Spojrzała na Julię ze smutkiem. – Nikogo po sobie nie zostawił. Żadnego wnuka ani wnuczki. To był taki dobry dzieciak. Taki dobry.

Julia stała obok kobiety, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Czuła się, jakby ją wmurowało w ziemię. Musiała na chwilę usiąść, bojąc się tego, że upadnie. Jedyne wolne miejsce znajdowało się na tej samej ławce, na której siedziała, wszystko na to wskazywało, matka Piotrka.

– Dobrze znałaś mojego syna? – zapytała ją kobieta. – Nigdy cię nie widziałam.

– Ja... – Julka otworzyła usta. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Nie spodziewała się takiego obrotu spraw. – Ja z nim studiowałam – powiedziała w końcu, co swoją drogą było kłamstwem.

– Dziękuję ci za to, że do niego przyszedłaś. – Kobieta poklepała ją po ramieniu. – To dla niego bardzo ważne. Ja wierzę, że on teraz na nas patrzy. Śnił mi się dziś. Był uśmiechnięty. To dobry znak.

Julia zdążyła odnotować w myślach, że kobieta nie słyszała jej monologu. Jedyne ostatnie zdanie. Odetchnęła. Zerknęła na nią. Po jej policzkach ciurkiem płynęły łzy. Kapały na czarną bluzkę.

– Mój synek. – Kobieta wyciągnęła dłoń w stronę grobu. – Całe moje życie. Ja wiem, że on miał swoje wady. Że jeździł na tym motorze za szybko. Że był pyskaty. Ale mógł jeszcze żyć. Mieć żonę, dzieci. Masz dzieci? – Julia usłyszała pytanie.

– Nie.

– Jak będziesz miała, to mnie zrozumiesz. Będą dla ciebie najważniejsze, choćby nie wiem co zrobiły złego. Będiesz w stanie wybaczyć im wszystko. Miłość matki do dziecka to nierozzerwalna więź – powiedziała, a potem wyciągnęła z torebki różaniec i zaczęła odmawiać cichą modlitwę. Julia natomiast siedziała obok niej i układała w głowie swoje myśli. Kiedy poczuła się na siłach, wstała.

– Do widzenia. – Nie była w stanie powiedzieć nic więcej, a już na pewno nie była gotowa na to, aby wyznać tej kobiecie okrutną prawdę o jej synu. Darowała też sobie informowanie o tym, że ta matczyna więź, niestety, ale nie zawsze jest taka silna i nierozzerwalna. Znała to przecież z własnego doświadczenia.

– Do widzenia, moje dziecko – usłyszała w odpowiedzi. – Bóg z tobą. – Kobieta pogrążyła się na nowo w modlitwie.

Kiedy Julia wsiadła do auta i poczuła, że wreszcie może wyrzucić z siebie nagromadzone emocje, z jej ust wydobyło się ciche, ale jakże wymowne:

– Kurwa mać, tego to ja się nie spodziewałam – spojrzała na Marka i opowiedziała mu o wszystkim.

– Współczujesz jej?

– Tak. Bardzo.

– Czego najbardziej?

– Nie wiem, czy bardziej tego, że jest tak zaślepiona, czy tego, że straciła syna. Ona autentycznie cierpi. Przecież gdyby dowiedziała się o tym, co on mi zrobił, załamałaby się.

– Myślę, że nie dopuszczałyby do siebie tej myśli. Myślę też, że przelałyby na ciebie całą swoją złość i nienawiść. I nawet mogłyby zacząć cię obwiniać o śmierć swojego dziecka.

– To byłoby nienormalne. Przecież to nie ja w niego wjechałam.

– Juleczko – nachylił się nad nią i położył dłoń na jej ramieniu – niektórzy ludzie są w stanie wmówić sobie największe kłamstwo, aby tylko mieć powód do nienawiści. Inni znowu wierzą w to, w co chcą wierzyć, chociażby wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że się mylą. A jeszcze inni stawiają czoła największym problemom. I dają sobie z nimi radę. Bo są silni i wiedzą, że bez względu na to, co ich w życiu spotka, będą szli przed siebie z wysoko uniesioną głową.

– Kiedy mogę wrócić do pracy?

– Jeśli czujesz się na siłach, choćby w poniedziałek.

– W takim razie widzimy się w poniedziałek w pracy, szefie. A ten rozdział – wskazała głową na cmentarz – zamykam.

– Gdybyś jednak chciała go kiedyś otworzyć, zawołaj mnie. Przeczytamy go razem.

– A wiesz, że chyba napiszę tę książkę. Mam nawet tytuł: „Wada”. Co myślisz?

– Myślę, że jest świetny.

Samochód powoli wytoczył się z parkingu. Nim dojechali do domu Marka, Julia miała w głowie treść pierwszego rozdziału. Ledwo wjechali na podwórko, wyskoczyła z auta i pognęła do domu. Konkretnie do laptopa. Położyła się na łóżku, lekko przygryzła wargę i zaczęła pisać pierwsze zdanie swojej książki:

– *Cholera jasna, zasnęłam!*

Rozdział 29

– Zrobiłaś te badania?
– Nie – wybąkała Julia, czerwieniąc się intensywnie. – Zrobię. Obiecuję.
– Obiecujesz od przeszło miesiąca.
– No co ja ci poradzę, że mam tyle na głowie. – Rozłożyła dłonie, jakby to miało ją wytłumaczyć.

– Ja wiem, że jesteś zajęta pisaniem. Dodatkowo praca w gabinecie też bardzo mocno cię pochłania, ale chyba nie dostrzegasz tego, co widzę ja.

– Niby czego?
– Wyglądasz źle. Schudłaś, śpisz strasznie dużo, twoja skóra straciła blask. To trwa już kilka ładnych tygodni.

– Schudłam, bo ćwiczę.
– To nie jest zdrowe chudnięcie.
– Dobrze, tato. – Wywróciła oczyma, uznając, że to go nieco udobrucha. Nic z tego. Był zły. Martwił się o nią. I wcale nie chodziło o to, że sobie coś wkręcił. – Pójdę. Jutro. Obiecuję. A żebyś był spokojniejszy, możesz wziąć mnie za rączkę i zaprowadzić pod same drzwi.

– Nie jutro, tylko dziś.
– No wątpię, żeby o godzinie siedemnastej ktoś zrobił mi badanie krwi. Bo ty sobie tego życzysz, mości panie.

– Chcesz się założyć?
Wypuściła z płuc powietrze i zrobiła niezadowoloną minę, jednak założyła kurtkę i zimowe buty, a potem grzecznie poszła za Markiem do samochodu. W trakcie jazdy on wykonał jeden telefon. Nie zdziwiło jej wcale to, że miał jakieś znajomości w prywatnej przychodni i badanie zostanie zrobione na cito. No już, dziewczyno, ogarnij się, ofuknęła samą siebie w myślach, on chce dla ciebie dobrze.

– Przepraszam – powiedziała, a potem położyła dłoń na jego karku. Zawsze tak robiła, kiedy jechali autem. Zaczęła go głaskać po szyi. – Praca nad książką pochłonęła mnie tak bardzo, że zapomniałam o tym. To znaczy pamiętałam, ale jak zaczynałam pisać, to wszystko inne przestawało mieć znaczenie. No i przecież czuję się dobrze. To, że straciłam na wadze, wcale mi nie przeszkadza. Fakt, wiem, że dużo śpię i to powinno mnie zaniepokoić. Niemniej uważam, że wszystko jest dobrze i nie ma żadnych powodów do zmartwień.

– Chciałbym mieć to czarno na białym.
– Za chwilę będziesz miał.
Kiedy weszli do przychodni, Julia praktycznie od razu została poproszona do pokoju zabiegowego. W jej oczach pojawiło się uznanie dla Marka. Zaraz po tym, jak wyszła z gabinetu, pielęgniarka kazała jej iść do pokoju oznaczonego cyfrą siedem. Nim to zrobiła, rozejrzała się po korytarzu. Marek nigdzie nie było. Wzruszyła ramionami i weszła do siódemki. W środku siedział Marek. Naprzeciwko niego mężczyzna w okularach. Mogli być rówieśnikami.

– Dzień dobry. – Jej przywitanie było nieco nieśmiałe.
– Dzień dobry. – Mężczyzna uśmiechnął się do niej i wskazał jej miejsce obok Marka. – Pozwoliłem porwać sobie mojego szanownego kolegę na chwilę rozmowy. Ja i Marek studiowaliśmy razem. Dobrze to były czasy. – Puścił do niej oczko. – A Marek był królem wszystkich imprez. Największy ubaw mieliśmy wtedy, kiedy ktoś nie miał pojęcia o jego wadze i wchodził z nami w zakład o to, że go rozśmieszy. Trochę kasy żeśmy na tym zarobili.

– Chcesz mi powiedzieć, że zarabiałeś na swojej wadze? – Zwróciła się bezpośrednio do

Marka.

– Studenci mają się każdego zajęcia – odpowiedział jej, wzruszając ramionami.

– Aż nie wiem, co powiedzieć.

– Ja za to mogę uraczyć cię kilkoma anegdotami, które niezmiennie mnie śmieszą. Marek brał w nich bardzo czynny udział. – Mężczyzna spojrzął na zegarek. – Właśnie skończyłem swój dyżur, twoje wyniki badań będą za pół godziny. W trzydzieści minut można skompromitować człowieka aż miło.

– Zamieniam się zatem w słuch – powiedziała Julia. Jak się pół godziny później okazało, doktor Tomasz Karwowski mógł mówić i mówić, i mówić. Na swoje szczęście robił to zabawnie. W chwili, kiedy do pokoju weszła pielęgniarka z wynikami badań, Julia ocierała łzy z oczu. Nie pamiętała już, kiedy się tak ostatnio śmiała.

– Pamiętaj, Tomaszu, że i ja mam kilka ciekawych historyjek w zanadru – powiedział Marek. – Szczególnie w pamięci utkwiła mi ta, kiedy ty i nasza młoda pani profesor zatrzęsęliście się w magazynku.

– I jak to się skończyło? – zapytała Julia.

– Problemami z kręgosłupem, nerwicą i kurwicą – odpowiedział jej doktor Tomasz.

– To znaczy?

– Mam trojaczki. Musiałem zmienić kierunek studiów, bo bycie ojcem dzieci mojej promotorki nieco kolidowało z zasadami etycznymi. I oto jestem, cały na biało. – Wskazał na swój kitel, a potem spojrzął na wyniki badań. Zmarszczył nieco brwi, poprawił okulary i intensywnie wpatrywał się w kartkę. Potem spojrzął na Julię, a później na Marka. I znowu na Julię, i znowu na Marka. Westchnął.

– Odezwij się z łaski swojej – powiedział Marek. Swoje niezadowolenie okazał impulsywnym stukaniem dłoni w blat biurka.

– Skoro przy temacie dzieci jesteśmy, to gratuluję. Bardzo gratuluję. Zrobiono ci też profilaktycznie badanie beta-HCG. Wartość hormonu wskazuje na dwunasty tydzień ciąży.

– Na co? Jakiej ciąży? – Julia zeszywniała. – Jaki dwunasty tydzień? Przecież ja... – Spojrzała na Marka. – Przecież robiłam wtedy test. Wyszedł negatywny. Marek, przecież ty widziałeś ten test – zaczęła się jąkać, patrząc przerażonym wzrokiem na Marka.

– Wszystko wskazuje na to, że wynik testu był fałszywie ujemny. Bardzo rzadko, ale się zdarza. Mogę na dziewięćdziesiąt dziewięć procent stwierdzić ciążę. USG potwierdzi moją teorię. Albo rozwieje wątpliwości, w co szczerze wątpię. – Lekarz patrzył to na jedno, to na drugie, uznając, że chyba są w szoku. No, może po Marku nie było tego widać, ale po tej dziewczynie na pewno. – Kiedy miałaś ostatni okres? – zapytał Julii.

– Ja... nie pamiętam. Mam tyle na głowie. Nie wiem. Ja już nic nie wiem. – Uniosła rękę. – Muszę wyjść. Przepraszam.

– Ona nie powinna być teraz sama – zasugerował doktor Tomasz, kiedy Marek nie wyszedł razem z Julią.

– Uwierz mi, że właśnie powinna być sama.

– Nie chce dzieci?

– Chce. I to bardzo. Ale – Marek potarł czoło – to jest cholernie skomplikowane.

– Powiedz, pomogę, jak tylko będę mógł.

– Została zgwałcona. Sprawca nie żyje. Zginął w wypadku motocyklowym kilka tygodni temu. Tuż przed śmiercią przetransportowano go do szpitala, w którym pracujesz. Na pewno o nim słyszałeś.

– Ja pierdołę, muszę się napić – powiedział Tomasz, a potem otworzył szafkę biurka i wyjął z niej butelkę z alkoholem. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy skorzystać ze

szklanki, czy może jednak śladami przodków, walczących pod monopolowymi, przechylić flaszkę i napić się z gwinta. Zwyciężyły dobre maniery. – Kurwa, nie wierzę. Jak go przywieźli do szpitala, byłem akurat na dyżurze. Strasznie to wszystko wyglądało. Miał przy sobie zgodę na pobranie organów. Czyli był świadomy. Bardzo mnie wtedy podbudował. Nie wiedziałem tylko, że taki z niego skurwiel. Gdybym to wiedział...

– I co by ci ta wiedza dała? Dołożyłbyś mu cierpienia? Przecież wiemy oboje, że nie. Bez względu na wszystko musimy być obiektywni. I ludzcy.

– Kogo my leczymy? – powiedział, przechylając szklankę.

– Tak ci tylko powiem, że to idzie w dwie strony. Nie myśl sobie, że każdy twój kolega po kitlu to chodzący ideał, który pracuje tylko po to, aby nieść ludziom ukojenie. Znajdziesz tam wielu damskich bokserów, psychopatów i innych zwyrodnialców. Tak samo jak w każdej grupie społecznej.

– Ten świat jest skurwiały.

– Nie świat, tylko ci, którzy go niszczą. I siebie nawzajem.

– Masz rację. Muszę wezwać taksówkę. I muszę przytulić moją panią.

– Ja też jestem potrzebny – powiedział Marek, odczytując wiadomość na telefonie. – Jak sytuacja się nieco uspokoi, zadzwonię.

– Trzymaj się, chłopie. Wierzę w ciebie. Zawsze potrafiłeś wydobyć człowieka z największego gówna.

Kiedy Marek znalazł się na ulicy, Julia stała oparta o samochód. Mimo chłodu i śniegu miała rozpiętą kurtkę. Ledwo go zobaczyła, podbiegła do niego i zawisła mu na szyi.

– Dziękuję, że pozwoliłeś mi pobyc samej. Potrzebowałam tego.

– Wiem. – Przygarnął ją do siebie.

– I co teraz? Co ja mam zrobić?

– Ty? Urodzić. Natomiast MY – zaakcentował ten króciutki zwrot – pokochamy to dziecko i je wychowamy. Razem.

– Ja nie wiem, czy będę...

– Jesteś silna, odważna i cudowna. Jesteś moją bohaterką. Jestem z ciebie dumny i wiem, że nic, ale to nic nie jest w stanie cię złamać.

Miał rację.

Miał cholerną rację, bo kiedy następnego dnia Julia dostała telefon z informacją, że jej matka została znaleziona zamrożona, przyjęła to bardzo spokojnie.



Epilog

– Dziadku! Dziadku! No, dziadku! Ryba! Mam rybę! Wieloryba chyba złapałem! – Sześćcioletni Julian mocował się z wędką. – Mogę go trzymać w domu? W wannie? Będę się nim opiekował. Proooszę.

– Wątpię, żeby mama się na to zgodziła – powiedział Ludwik, a potem poinstruował chłopca, co ma robić dalej. Julek był niezwykle pojętnym uczniem, więc chwilę później na pomoście szamotał się, no może niekoniecznie wieloryb, ale okazałych rozmiarów szczupak. – No i mamy szczupaka. Na oko z pół metra ma – pochwalił wnuka. Teoretycznie przyszywanego, praktycznie był to najprawdziwszy wnuczek.

– Tata się na pewno zgodzi. – Chłopiec zaczął się śmiać. – Babcia Marysia też.

– Cóż – rzekł Ludwik – babcia Marysia to się godzi na wszystko, o co ją poprosisz.

– Gorzej z mamą. Ale zapytam. – Tym razem w głosie Julka brakowało pewności.

– Dobrze, ja w tym czasie wrzucę go do wiadra, a ty biegnij do mamy.

– Dobra. – Malec puścił się pędem przed siebie. Tuż za nim biegły dwa olbrzymie psy, bernardyny, które od czasu do czasu pełniły nawet funkcję dziecięcych kucyków. I było im z tego powodu bardzo dobrze. – Mamo, mam sprawę! Możemy mieć nowe zwierzątko? Mamo, tak bardzo proooszę! – Z rozpędu wskoczył Julii na kolana i objął ją za szyję. Akurat siedziała na leżaku i czytała książkę. Swoją. Zawsze, kiedy z drukarni przychodził papierowy egzemplarz, mimo że знаła treść na pamięć, czytała od deski do deski swoje dzieło. To była jej siódma książka.

– Złapałeś konika polnego? – zapytała go, całując kilka razy w policzki, nos i czoło. Mogła to robić bez ustanku.

– No, weź, no, mama! Nie całuj! Szczupadła złapałem! – odpowiedział jej z dumą. – Sam!

– Szczupadła mówisz. I gdzie on jest?

– No u dziadka. To co, zatrzymamy go sobie?

– To nie jest dobry pomysł. No i mamy przecież Iryska, twojego najlepszego przyjaciela.

– Ale ja pokazałbym tego szczupadła chłopakom z zerówki. Nikt takiego nie ma.

– No tak, a co, jeśli on ma w tej wodzie swoją rodzinę? Żonę i dziecko? Chyba byłoby mu przykro, gdyby więcej ich nie zobaczył. Mnie byłoby bardzo przykro, gdyby ktoś mi ciebie zabrał. – Przytuliła go do siebie, na co łaskawie pozwolił. – Tata chyba się zapłakał.

– Nieprawda. Tata nie płacze. On jest twardzielem.

– Płakałem, kiedy się urodziłeś – powiedział Marek, który wylegiwał się na hamaku. – Twoja mama nie mogła mnie uspokoić.

– Tak było, kochanie.

– Czyli szczupadło musi wrócić do domu. No dobra – powiedział, robiąc smutną minę, a potem wyswobodził się z uścisku Julii po to, aby wskoczyć Markowi do hamaka. – Tato, pogramy w piłkę?

– No pewnie, mistrzu.

– Mamo, wiesz, że mamy najlepszego tatę na świecie. Lepszego nie mogłaś mi wybrać. – Zdanie to Julia słyszała przynajmniej raz w tygodniu, jeśli nie częściej.

– Wiem – potwierdziła, posyłając im swój najpiękniejszy uśmiech. Julian wiedział, że Marek nie jest jego biologicznym ojcem, chociaż nie do końca to rozumiał, bo przecież mówił do niego „tato”, miał na nazwisko tak samo, jak on, i bardzo go kochał. Rodzice obiecali jednak, że jak będzie większy, to wszystko mu wyjaśnią. O dziwo, nie dociekał.

– Pójdę powiedzieć dziadkowi, że trzeba wypuścić szczupadło.
– No co? – powiedziała Julia, kiedy syn pobiegł z powrotem nad jezioro. – Chcesz mi coś powiedzieć?
– Zastanawiam się po prostu nad tym, którego z nas kochasz mocniej – odpowiedział jej Marek.
– Obu was kocham dokładnie tak samo mocno, ale inaczej.
– Dawno o tym nie rozmawialiśmy. Chodzi mi o jego prawdziwego ojca... – zaczął Marek.
– Niczego w życiu nie żałuję. Niczego – odpowiedziała, a on nawet nie musiał kończyć zdania. – Życie przeorało mnie przeokrutnie, ale wstałam, otrzepałam się i dalej idę przed siebie. Trzymając ciebie za rękę.
– A czasem za coś innego. – Spojrzał wymownie na swój rozporek.
– A czasem za coś innego. – Patrzyła na niego swoimi dwukolorowymi oczyma, uśmiechając się radośnie.

KONIEC

Copyright © by Iza Maciejewska

Copyright © by Wydawnictwo Magnolia, Łódź 2023

REDAKCJA Anna Zygmanska | annazygmanska.pl
KOREKTA Joanna Kasprzyk,

Sylwia Mej, Anna Zygmanska | annazygmanska.pl

ZDJĘCIE NA OKŁADCE depositphotos.com
PROJEKT OKŁADKI www.janpaluch.pl
ŁAMANIE I KONWERSJA Małgorzata Kazek-Baranowska
ISBN 978-83-964494-6-7-999
WYDAWNICTWO MAGNOLIA
ŁÓDŹ 2023
WYDANIE PIERWSZE

